



ROK LIX

№ 32

BLUSZCZ TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 7 SIERPNI 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: W imię własnego dobra — *Z. Bogórska*. Z życia osadników na Wołyniu (korespondencja Bluszczu) — *H. Ceysingerówna*. Zamiast radja — *M. B. Ł.* Pięćdziesiąta rocznica śmierci pani George Sand — *K. Bielańska*. Z nad Nilu — *Zofja Grzymalowska*. Trwoga. — Człowiekowi obojętnemu — *Janina Brzostowska*. Z wędrówek po dole — *Z. Reutt-Witkowska*. Panna Kamilcia (d. c.) — *Cecylja Walewska*. Córka Boga (d. c.) — *Z. Zawiszanka*. Tajniki świata zwierzęcego (d. c.) — *Janina Maszewska-Knappe*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Ubrania kobiece pod kontrolą państwową. Dział praktyczny: Mody i roboty. Jumper szydełkowy, wyszywany jedwabiem. Smokingi a pasiaki. Polska współczesna. Przemysł ludowy na Wołyniu — *H. Ceysingerówna*. O kukurydzy, czyli „tureckiej pszenicy“ słów kilkoro — *K. Bielańska*. Łód sztuczny — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię“ — *Concha Espina* (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza). Arkusz wzorów. Tablica krojów.

W IMIĘ WŁASNEGO DOBRA.

Kiedy w Nr. 20-ym Bluszczu z d. 15 maja b. r. umieściłam na końcu swego artykułu informacyjnego o międzynarodowym kongresie kobiecym w Paryżu wezwanie do naszych stowarzyszeń kobiecych, aby zechciały w kongresie tym wziąć udział, przynajmniej w charakterze gości, dla poinformowania opinii międzynarodowej o naszych stosunkach, naszej pracy i osiągniętych przez nas rezultatach — nie przypuszczałam, że ten głos mój okaże się „głosem wołającego na puszczy“, i że na kongresie paryskim znajdą się reprezentantki wszystkich państw i narodów, za wyjątkiem Polski.

Jedynym oddźwiękiem mego artykułu był skierowany pod moim adresem przez jedno z większych pism prowincjonalnych zarzut, że, nawołując do udziału w tym kongresie, prowadzę propagandę feministyczną.

Przed zarzutem tym nie widzę potrzeby nawet się bronić. Propaganda feministyczna w kraju, gdzie konstytucja gwarantuje kobietom równe prawa obywatelskie, byłaby śmiesznym i niepotrzebnym anachronizmem. Osobiście zresztą nigdy nie hołdowałam feminizmowi, uważając, że w okresie niewoli, głoszenie hasła równości obu płci wobec prawa nie może mieć miejsca tam, gdzie wszyscy obywatele państwa są tych praw pozbawieni. My, kobiety polskie, byłyśmy faktycznie równouprawnione z mężczyznami już w epoce niewoli — dzieliłyśmy te same prace i trudy, niebezpieczeństwa, a często więzienie i wygnanie. Jedynym też prawem, którego dzisiaj, zdaniem moim, kobieta polska domagać się winna — to prawo brania udziału w pracy dla dobra wskrzeszonej Ojczyzny.

Tyle co do moich poglądów na feminizm i prawa kobiety w Polsce. Powracam teraz do zasadniczego tematu, mianowicie do udziału naszych przedstawicielek w międzynarodowych kongresach kobiecych.

Przedewszystkiem stwierdzić muszę, że najważniejszym celem tych kongresów nie jest już dziś, jak to było jeszcze przed kilkunastu laty, domaganie się praw obywatelskich dla kobiet różnych krajów. Prawa te zostały im już w większości państw europejskich, a we wszystkich prawie pozaeuropejskich, przyznane całkowicie lub częściowo. Kongresy dzisiejsze mają przedewszystkiem na celu skoordynowanie pracy kobiecej w różnych krajach i na różnych polach, rozwiązanie całego szeregu zagadnień, żywo obchodzących świat kobiecy, skonsolidowanie opinii kobiecej, a przez to i wywieranie także, pośrednio, wpływu na opinię publiczną międzynarodową.

Czy kobiety polskie nie miałyby nic do powiedzenia na tych kongresach? Czy nie mamy żadnych zainteresowań i zagadnień, wspólnych z kobietami innych krajów? Czy nie mamy wreszcie obowiązku przypomnienia opinii zagranicznej — na tem polu pracy, jak i na każdym innym — że Polska istnieje, pracuje, rozwija się i wciąż idzie naprzód?

Ale może zarzuci mi kto, że wysnuwam zbyt pośpieszne i pesymistyczne wnioski z pojedynczego faktu nieobecności kobiet polskich na kongresie paryskim. Może reprezentantki nasze biorą udział w innych międzynarodowych zjazdach i kongresach, może tylko Międzynarodowy Związek Równouprawnienia Kobiet jest organizacją, nieodpowiadającą swym celem, lub kierunkiem naszym stowarzyszeniom kobiecym, i dlatego jest przez nie bojkotowany?

Biorę do ręki pierwszy z brzegu numer któregośkolwiek z zagranicznych pism kobiecych — w tym wypadku jest to „International Woman News“, organ tegoż Związku, zamieszczający z całkowitą bezstronnością informacje o ruchu i działalności kobiet we wszystkich krajach świata. W rubryce „Wiadomości Międzynarodowe“ rzuca mi się odrazu w oczy następująca notatka:

„Kobiety z krajów Małej Ententy odbyły w grudniu r. z. zjazd w Atenach. Na zjeździe tym były obecne delegatki Rumunii, Czechosłowacji, Jugosławii i Grecji — brakowało tylko przedstawicielki Polski.“ Podkreślenie pochodzi odemnie — redakcja pisma nie dodaje od siebie żadnej uwagi, zadawałmiając się prostym stwierdzeniem nieobecności Polek, poświęca natomiast sporo miejsca temu zjazdowi, na którym, jak pisze, „rozważane były różne doniosłe i aktualne zagadnienia, między innymi, kwestja rozwodów, przeciwko którym delegatki krajów katolickich wypowiedziały się stanowczo, podczas gdy reprezentantki krajów, gdzie dominuje wyznanie greckie, zapatrywały się na tę kwestję w sposób bardziej tolerancyjny.“

Otwieram teraz jeden z numerów miesięcznika „The Catholic Citizen“, — organu angielskiego „Związku Społecznego i Politycznego im. Św. Joanny“ (St. Joan's Social and Political Alliance) — i czytam:

„D. 1 czerwca r. b., z inicjatywy naszego Związku, odbyło się w gościnnie użyczonym przez przewodniczącą, panią Corbett-Ashby salonie hotelu Lutetia, zebranie delegatek z krajów katolickich, przybyłych na kongres paryski. W zebraniu tem brało udział trzydzieści cztery panie, reprezentujące trzynastę krajów: Anglię, Szkocję, Irlandję, Francję, Belgię, Hiszpanję, Austrię, Niemcy, Jugosławję, Ukrainę, Stany Zjednoczone Północnej Ameryki, Peru i Newfundlandję. Pomiedzy zebraniem specjalną uwagę zwracała księżna de Croy, bohaterka wielkiej wojny, uwięziona, jak wiadomo, za pomoc, którą okazała Edycie Cavell, oraz księżna Radziwiłłowa, członkini Sekretarjatu Ligi Narodów.“

„Princess Radziwill“. A więc — zdawałoby się — mieliśmy i my swą reprezentantkę na tem zebraniu delegatek krajów katolickich. Jednak imię Polski nie figuruje na liście owych trzynastu krajów, pomiedzy Jugosławją, Peru a Ukrainą. Widocznie owa „Princess Radziwill“, jeśli jest Polką (czego nie mogłam się dowiedzieć), nie podkreśliła dostatecznie silnie swej polskości i wolała być zamieszczoną na liście obecnych jedynie, jako delegatka Sekretarjatu Ligi Narodów. Nie znajduję też żadnej wzmianki o zabieraniu przez nią głosu w dyskusji na owem zebraniu, chociażby podczas tak interesujących enuncjacji, jak następująca:

„Madame Szeparowycz, delegatka ukraińska, należąca do Kościoła Unickiego Ukraińskiego, opowiedziała w niezwykłe zajmujący sposób, jak w jej małym znanym kraju, zamieszkanym przeważnie przez ludność włościańską, kobiety łączą w sobie gorący katolicyzm z entuzjazmem dla sprawy kobiecej, a księża proboszczowie uważają za swój naturalny obowiązek ogłaszać z ambony o zebraniach feministycznych“.

Może i my miałyśmy niejedno do powiedzenia w sprawie naszego ruchu katolickiego, również jak i pracy kobiecej — czy to w Sejmie i Senacie, czy na polu szkolnictwa, pedagogiki, nauki, higieny etc. etc.? Może na owem zebraniu kobiet krajów katolickich znalazł się ktoś, co się interesował Polską i jej stosunkami wewnętrznymi — a wobec milczenia owej „Prin-

cess Radziwill“ pozostawało chyba udać się po informacje do „Madame Szeparowycz“?

Wiem od uczestniczek kongresu rzymskiego z przed trzech lat — Senatorki Szebekówny i Dr. Eleonory Reicherówny — jak wiele miały pola na tym kongresie do informowania kobiet innych krajów o Polsce — jak bardzo mało znane i często zupełnie mylnie sądzone są tam stosunki, panujące u nas — a zwłaszcza, ile musiały włożyć swej pracy w zwalczanie zupełnie świadomie szerzonych, na tym kongresie właśnie, fałszywych i wrogich nam informacji o Polsce — jak natrafiły na całą, pracowicie przeprowadzaną agitację w celu zohydzenia nas w oczach świata.

Czy możemy być pewni, że na kongresie paryskim — i na tych wszystkich innych zjazdach, w których kobiety nasze nie brały udziału, — nie powtórzyło się to samo?

Jeśli tak było — to odpowiedzialność za to spada także i na nas same. My to jesteśmy winne, że o sprawach Polski informuje międzynarodową opinię kobiecą pani Szeparowycz. Nasza to wina, że imię Polski nie figuruje na liście krajów katolickich, gdy mowa jest o działalności kobiet w kierunku wprowadzania w życie naczelných zasad chrześcijaństwa. Przecież mamy u siebie liczne i dobrze zorganizowane stowarzyszenia kobiece, zarówno katolickie, jak i lewicowe, przecież na każdym polu pracy nie brak u nas kobiet dzielnych, rozumnych, energicznych — czemuż o tem wszystkim tak mało, albo nic, nie wie zagranica?

Mówiła mi senatorka Szebekówna, że na wszystkich zjazdach międzynarodowych, w których brała udział, zdumienie i zachwyty wszystkich uczestniczek wzbudzało proste tylko wyliczenie rezultatów pracy oświatowej, dokonanej przez nasze państwo w przeciągu ostatnich lat siedmiu. Trudno było poprostu uwierzyć niektórym cudzoziemcom, żeby w tej naszej Polsce powstało w tak krótkim czasie tyle szkół powszechnych, tyle zakładów zawodowych i ogólnokształcących, trzy nowe wszechnice i t. d. Cyfry te poprostu imponowały Amerykankom, Francuzkom, Angielkom...

Ale nie wystarczy raz czy dwa razy powiedzieć o tem — trzeba ciągle, przy każdej sposobności, informować innych nie tylko o jednej, ale o wszystkich naszych dziedzinach pracy — trzeba przedstawiać cudzoziemcom, tak mało nas znającym, możliwie pełny obraz rozwoju naszego państwa we wszystkich dziedzinach życia.

Na dowód, jak daleko sięga dziś jeszcze — gdy Polska już oficjalnie zaliczoną została do rządu mocarstw europejskich — nieznaną jest najprymitywniejszych rzeczy z dziedziny naszych stosunków wewnętrznych, a zarazem, jak chętnie dowiaduje się zagranica o Polsce i jak się nią interesuje — przytoczę tylko kilka faktów z mego własnego doświadczenia — i to z bardzo krótkiego okresu pracy mojej w „Bluszczu“.

Mając, jako sekretarka redakcji, powierzoną sobie misję nawiązania kontaktu ze stowarzyszeniami i pismami kobiecymi zagranicą — rozpoczęłam od rozesłania na wszystkie strony świata listów, proponujących wzajemną wymianę pism oraz ewentualne nadsyłanie krótkich notatek, informujących o życiu i pracy kobiet polskich. Propozycja ta została przyjęta przez wszystkie, prawie bez wyjątku, redakcje pism kobiecych francuskich, angielskich, amerykańskich, australijskich, włoskich, czeskich, szwajcarskich, egipskich, hinduskich etc. etc. — z prawdziwą radością, tak, że potem przy nawale innej pracy trudno było

poprostu naszej redakcji uiścić się z powziętych zobowiązań. Niektóre z owych pism zaczęły prowadzić z „Bluszczem“ regularną korespondencję, zapytując o różne kwestje, prosząc o szczegółowe informacje z tej lub owej dziedziny i t. d. Nie brakło i incydentów humorystycznych. Bułgarski „Wiestnik na Zenata“ zamieścił notatkę, w której z okazji uroczystości p. Curie-Skłodowskiej stwierdzał z najgłębszym zdumieniem, iż dopiero z „Bluszczu“ dowiedział się o tym niebywałym fakcie, że pani Curie-Skłodowska jest Polką.

Jedno z pism angielskich zwróciło się do nas z pytaniem, dlaczego, poruszając najrozmaitsze zagadnienia, nie dotykamy nigdy kwestji równouprawnienia kobiet w naszym kraju? W wyjaśnienia, że konstytucja gwarantuje nam to równouprawnienie i że nie potrzebujemy o nie walczyć — przyjęte zostało ze szczerem zdziwieniem. „Nie przypuszczaliśmy, że Polska jest krajem tak postępowym“ pisze z uznaniem redaktorka tego pisma — i prosi jednocześnie o odpowiedź na następujące pytania: czy mamy kobiety posłankami w sejmie i senacie? I jeśli tak, do jakich obozów politycznych należą i na jakim polu pracują? Jakie mamy stowarzyszenia kobiece i jakie są ich cele? i t. d.

Na wszystkie te pytania trzeba było dawać wyczerpujące odpowiedzi, co przy szczupłym personelu redakcyjnym i nawale innych zajęć przedstawiało dość dużą sumę wysiłku.

Tego rodzaju propaganda — jedynie zresztą słuszną i celową — spotkała się, niestety, z dość dużą obojętnością ze strony naszych stowarzyszeń kobiecych, do których zwracaliśmy się o pomoc i współpracę w informowaniu zagranicy. Podobno istnieją w różnych organizacjach sekcje zagraniczne, ale trudno mi było bardzo spenetrować, co robią. Próba nawiązania kontaktu z Radą Narodową Kobiet, oraz wspólnego wydawania „Komunikatu“ dla zagranicy w językach francuskim i angielskim — zawiodła. Nie udało się również wciągnąć do współpracy Młode Ziemiarki, o których wiem, że razem ze swą macierzą — Stow. Zjednoczonych Ziemiarek — prowadzą doskonałą i bardzo skuteczną propagandę zagranicą: w Belgji, Czechach i t. d. — na terenie pracy rolniczo-gospodarczej, w „Cercles des Fermiers“ etc.

Trudno! Chodzenie samopas jest widać cechą — zbyt już zakorzenioną w psychice polskiej. A szkoda! Bo wysiłkiem wspólnym zawsze łatwiej i skuteczniej osiągnie się cel. Nie wątpię zresztą, że z czasem społeczeństwo — a szczególnie część jego niewieścia — oceni należycie pracę „Bluszczu“ i zacznie się przy tej, tak naprawdę pożytecznej i cennej placówce, skupiać i łączyć.

Tymczasem jednak — zanim to nastąpi — zwracam się do wszystkich organizacji kobiecych — zarówno z prawicy, jak i lewicy — z usilną i gorącą prośbą: nie zaniedbujcie żadnej okazji do przyponnienia świata o swem istnieniu; bierzcie udział we wszystkich pracach, które leżą w dziedzinie waszej działalności, łącznie z kobietami innych krajów. Nie może usprawiedliwić naszej nieobecności na tym, czy owym kongresie okoliczność, że program Związku, który go zwołał, nie odpowiada całkowicie naszym poglądom i przekonaniom. Mamy stowarzyszenia międzynarodowe, szczerze i gorąco katolickie — wielką i potężną Ligę Katolicką (I.K.A.), mniejsze, lecz ruchliwe kobiece związki — wzmiankowaną już Ligę św. Joanny, „Ligę Francuską“ pod przewodnictwem J. E. kard. Dubois etc. etc. Co przeszkadza naszym stowarzyszeniom katolickim — Kat. Zw. Polek, Stow. Zjedn. Ziem., N. O. K. — wziąć udział w ich zjazdach w charakterze, czy to gości, czy członków?

Stowarzyszenia lewicowe, ciągną bardziej ku międzynarodowej „Lidze pokoju i wolności“, na której zjazdach przedstawicielką naszą była dotychczas stale dr. Budzińska-Tylicka. Czy i w tym roku brała udział w kongresie dublińskim, czy też może coś stanęło jej na przeszkodzie, tak, jak i stałej reprezentantce naszej w „Międzynarodowym Związku Równouprawnienia Kobiet“, Senatorce Szebekównie?

Niechże odtąd jednym z punktów programu naszych stowarzyszeń kobiecych będzie — stałe i ciągłe komunikowanie się z odpowiadającymi sobie przekonaniem i programem związkami kobiecymi zagranicą. Niechże już na żadnym kongresie międzynarodowym nie zabraknie naszej przedstawicielki, któraby mogła poinformować cudzoziemki o Polsce i stanąć, w razie potrzeby, w obronie naszej przed wrogami naszego narodu — w imię naszego własnego dobra.

Z. Bogórska.

Ż ŻYCIA OSADNIKÓW NA WOŁYNIU.

(Korespondencja „Bluszczu“).

Jest rzeczą nad wszystko radosną, gdy stwierdzić można, że w jakimś zakątku Polski normuje się życie, nowe, mocne, bujne życie. Jeszcze radośniej jest, gdy życie to stwarza wytrwała, celów swoich świadoma wola.

Takie wrażenie daje zetknięcie się bliższe z osadnictwem wojskowym na pograniczu zachodnim.

Zastrzegam się, że tylko w powiecie Krzemienieckim danem mi było na życie to rzucić uważnym spojrzeniem i zebrać o niem garść źródłowych informacji. Wszystko więc, co mówię w dalszym ciągu, do tego tylko powiatu się stosuje, jakkolwiek pewno niejedno spostrzeżenie dałoby się rozszerzyć na całe nasze osadnictwo wojskowe.

Przedewszystkiem rozwiać pragnę tendencyjnie szerzoną opinię, jakoby osady wojskowe powsta-

wały na ziemi, odebranej miejscowym żywiolom polskim.

Na terenie, o którym mowa, ani jedna pieczęć ziemi nie poszła z rąk polskich w ręce osadników. Tylko opuszczone podczas wojny przez właścicieli Rosjan posiadłości, dane im ongi za zasługi wiadomego rodzaju, uległy podziałowi i kolonizacji wojskowej. Wyjątek stanowi kilkanaście hektarów, przez wielkich właścicieli — Polaków dobrowolnie ofiarowanych na cele osadnictwa wojskowego. Dar, zresztą, bardzo wątpliwej wartości!

Na mocy ustawy z dn. 17 grudnia 1920 r. objęli osadnicy wojskowi w powiecie Krzemienieckim 10 tysięcy hektarów ziemi. Na obszarze tym mieszka obecnie przeszło 700 osadników; wraz z rodzinami ludność osadnicza wynosi przeszło 3 tysiące osób.

Działki są trojakiemu typu. Normalny, najczęściej spotykany nadział wynosi od 9 — 15 ha. Odznaczeni otrzymywali od 15 do 20 ha. Fachowi rolnicy, zobowiązani do wzorowego gospodarstwa, dostawali po 45 ha. Wśród tych drobnych posiadłości wyróżniają się rzucone gdzieś większe folwarki zasłużonych, wyższych wojskowych; są to najczęściej t. zw. „osrodki“, dwór z ogrodem, z zabudowaniami.

Wśród osadników pow. Krzemienieckiego, znajdują się i dwie były legionistki: podpułkownik Aleksandra Zagórska, komendantka Ochotniczej Legji Kobiet, oraz adiutantka jej, porucznik Stanisława Paleolog. Działki ich należą do osady, zwanej Wydumką.

Niema chyba człowieka w Polsce, któryby nie słyszał o niesłychanie ciężkiej i twardej doli osadnika w pierwszych momentach jego osadniczego żywota. Przybyli ci ludzie na pustkę, zastali ziemię i niebo. Do pomocy mieli najczęściej tylko rąk dwoje; żadnego kapitału! Żadnych instytucyj kredytowych! Rząd dawał jako zapomogę budulec na budowę domu (obecnie zamieniono na gotówkę). Ale budulec trzeba było kupić, nieraz z bardzo daleka. Trzeba było więc kupić konia, albo zwozić najętymi. A gdzie mieszkać tymczasem? Różnie bywało. Mieszkało się niekiedy u sąsiada — chłopca, niekiedy w najbliższym miasteczku, ale mieszkało się także i w ziemiankach, znosząc wszystkie niewygody, całą dzikość takiego trybu życia. Był to okres łamania się z niesłychanymi trudnościami i z całym morzem kłesk, biorących źródło w tej przetrudnej sytuacji. Osadnikom padały konie, kupione za ostatnie, albo nawet za pożyczone pieniądze, chorowały i umierały żony, dzieci, nie mogąc przetrzymać fatalnych warunków bytu; niechętna ludność miejscowa czyniła szkody na każdym kroku, wpadały bandy dywersyjne. Mroził osadnika mróz i paliło go do śmierci słońce, na gołym, odkrytym, bezdrewnem polu; nędza i głód zaglądały mu w oczy, a trud nad siły wyciągał z mięśni ostatnie elementy mocy.

Niejedni nie wytrzymał i poszedł sobie... zostawiając darowaną mu ziemię na wolę losu i Rządu... ale ci, co zostali, ci, co przetrzymali złą dolę, stanowią dziś zaprawdę jakby pierwsze pokolenie nowej mocnej rasy, nieznaney dotąd w Polsce rasy ludzi, co dolę swą i swego kraju kształtować będą z zawziętością woli żelaznej i nieustępliwej, ludzi, co się nie poddadzą losowi, ale go złamią, lub do woli swojej nagną.

„Dziś już nie te czasy — dziś już wszystko dobrze!“ — mówią osadnicy, wspominając ze słuszną dumą pierwsze i najcięższe lata gospodarki na Kresach.

Dziś już 80% osadników pobudowało domy i jakie takie zabudowania gospodarskie. Dziś mają już po kilka sztuk koni i to nawet własnego chowu. Mają już krowy i mleko dla dzieci, i drób, i warzywa w ogrodach. A w dodatku jest coraz lepiej. Wola człowieka wyczarowuje powoli z tej ziemi dobrobyt i zadowolenie, i piękno.

Niech mówią najwymowniejsze zawsze cyfry i fakty. Osadnictwo nie wyszło jeszcze oczywiście ze stadjum organizacji. Wszystko się tu dopiero tworzy, wszystko się zaczyna, ale rok każdy przynosi nowe zdobycze.

Gospodarstwo rolne ma na razie charakter przeważnie zbożowy. Ale zaprowadzono plodozmian, pięcio lub sześciopolowy, co w tym kraju drewnianych pługów i archaicznej trzypółówki, stosowanej zarówno przez drobnych, jak i przez wielkich właścicieli, jest kolosalnym postępem.

Niepraktykowaną też dotąd rzeczą było w tamtych stronach użycie nawozów sztucznych. A właśnie na jesieni i na wiosnę przybyło do Krzemieńca 24 wagony nawozów sztucznych. Odbiorcami byli wyłącznie osadnicy. Poza nimi — nikt! Ani drobna, ani wielka własność!

Zwiedzając wzorową, 45 hektarową działkę w Chotowicy Wielkiej miałam możność stwierdzić wspaniałe rezultaty wyteżonej i umiejętnej pracy osadnika — inteligenta. Widziałam też, jak po jego miedzach chodzili miejscowi włościanie, podziwiając pełne i ciężkie kłosa jego żyta, olbrzymie krze jego kartofli, sadzone we właściwej odległości jeden od drugiego (nie po tutejszemu); chodzili, zadumani głęboko nad tem, dlaczego ten osadnik mieć będzie zbior, dziesięć razy od nich obfitsze? I w tem tkwi właśnie kulturalna misja osadników.

Być przykładem, podnieść ogólny poziom kultury rolnej! Już się to dzieje. Już chłop, często nawet bezkrytycznie zapatruje się na działalność osadnika. Krąży tu na ten temat zabawne anegdoty.

Niezależnie od uprawy zbóż, eksperymentują osadnicy w różnych kierunkach. Idąc za przykładem osadników Czechów, zamierzają zakładać chmielniki. Tu i ówdzie widać rośliny oleiste: rzepak, konopie, mak. Ten ostatni, gdy zakwitnie, kładzie się na polu cudną, wielobarwną luną. A praktycznie? Za poletko maku „na pniu“ dostał w mojej obecności właściciel wzorowej działki 1.000 zł., grosz przed żniwami bardzo cenny. Sieją też osadnicy koniczyzny nasienne, co tutaj dotychczas jest także osobliwością, sadzą buraki cukrowe i t. d. Są to wszystkie próby. Bada się, który produkt najlepiej się udaje, który posiada tu najlepsze warunki zbytu.

Po za tem stawia się pierwsze kroki w kierunku uprzemysłowienia gospodarki. W osadach powiatu Krzemienieckiego założono już 6 ogrodów owocowych o charakterze handlowym. Z tych jeden w Woli Rycerskiej u kapitana Bródzińskiego, na przestrzeni 10 hektarów, drugi tej samej wielkości w Napadówce u p. Abrahamowicza. Nawiasem mówiąc, jest to najstarsze i najkulturalniejsze gospodarstwo osadnicze w całym powiecie.

Zakładanie sadów owocowych nabiera znaczenia dopiero, gdy się zważy, że w takim Krzemieńcu żadnego innego owocu dostać nie można, prócz dzikich drobnych czereśni, leśnych poziomek i malin. Przyroda daje tu wszystko. Ludzie nie wypracowali nic. Tak się wydaje, ale gdy weźmiemy historję do ręki, okazuje się, że było inaczej. Była tu niegdyś kultura, były i sady owocowe, bo, był przecież w Krzemieńcu ogród botaniczny, z którego nie pozostał ślad. Wszystko, wszystko zmarnowała ręka niszczycieli; na tych szczegółach drobnych życia codziennego, uczy się człowiek nienawidzić przemoc moskiewską, która ogniska oświaty zamieniła w ruiny, kulturalne gospodarstwa — w dzicz stepową. A teraz trzeba wszystko stwarzać na nowo.

I oto idzie osadnik polski, żołnierz i rolnik w jednej osobie, idzie tępić chwasty i krzewić nowe życie.

Założyli osadnicy pow. Krzemienieckiego 3 młeczarnie spółdzielcze: w Dużych Zahajcach, Białozórce i Książynie (Wola Wilsona). Posiadają 12 obiektów młynarskich, przynoszących przeciętnie 500 zł. miesięcznego dochodu. A zważyć trzeba, że otrzymali tylko słupy po młynach i ślady po groblach, że to wszystko trzeba, było wystawić, zbudować... Młyny są własnością poszczególnych osadników. Zakłada się także gospodarstwa rybne tam, gdzie są

sprzyjające po temu warunki. W Kudłajówce i Podhajcach zapoczątkowano specjalną hodowlę karpia.

W Napadówce nad Horyniem założono hodowlę łoży koszykarskiej.

W Krywczkach podjęto próbę urządzenia olejarni, która przerabia konopie i mak.

Na miododajnym Wołyniu nie zapomniano oczywiście o pszczołach. W 48 zagrodach osadniczych są już pasieki. Z tych 7, liczących po 50 pni, znajdują się w pełnym rozwoju.

Dodajmy jeszcze dla pełnego obrazu dokonanej pracy 2 prywatne cegielnie, 3 piece wapienne i 4 kamieniołomy, wreszcie dostateczną naogół wszędzie ilość maszyn i narzędzi rolniczych.

W hodowli zwierząt domowych przestrzegają osadnicy pewnego planu. Hodują najchętniej konie pół krwi wschodniej, dążąc do wskrzeszenia dawnej polskiej rasy, bydło krajowe czerwonej rasy, świnie białe, angielskie. W dziale drobiu największym uznaniem cieszą się zielononóżki. Hodują także sporo indyków i perlic. Gęsi i kaczki tylko tam, gdzie jest woda.

Jedwabnictwa nie próbowano dotąd nigdzie.

A wszędzie dokoła, jadąc przez osady, widzi się wyteżoną pracę: wznoszenie budynków, pokrywanie ich dachem, grodzenie płotów, kopanie studzien, roboty polne i ogrodowe. Jest w tem jakiś rozmach amerykański, jest i coś z powieści Rodziewiczówny. Tylko, że u autorki tej wszystkie prace dziwnie szybko są dokonywane, a w rzeczywistości tak szybko to nie idzie, i nigdy człowiek miejski dokładnego pojęcia o ogromie tego trudu i o twardości bezwzględnej tego życia stworzyć sobie nie potrafi. Ładne opowiadanie tu nie pomoże. To trzeba przeżyć samemu.

Ale na tych pracach poszczególnych i zbiorowych nie kończy się działalność osadników.

Oprócz potrzeb ciała, są jeszcze potrzeby ducha. I oto wznosi się zbiorowymi siłami 9 domów ludowych: w Kniażynie, zwanym Wola Wilsona, w Du-

żych Zahajcach, w Katerburgu, Białozórce, Jankowcach Białozorskich, Narutowiczach i Woli Rycerskiej. Jedne z nich służą już za miejsce zebrań, wykładów, zabaw; inne są dopiero w budowie. Budują osadnicy własnym kosztem 4 szkoły. Jedna z nich w Woli Wilsona — już czynna. W Woli Kurybytowieckiej czynną będzie od jesieni. A jest to piękny budynek, murowany w stylu wiślano-baltyckim, którego kosztorys obliczono na 58 tysięcy złotych. W budynku szkolnym, obliczonym na 120 dzieci i 2 siły nauczycielskie, mieszczą się także mieszkania dla nauczycieli. Cała pomoc, jaką w tym wypadku otrzymali osadnicy, wyraża się w dwóch sumach: 1000 zł od Magistratu miasta Lwowa i 1500 od miejscowego sejmiku.

Są i biblioteki. Ogólna biblioteka w Wiśniowcu liczy ponad 1000 tomów i obsługuje wszystkie bliższe osady. Poza tem są mniejsze, w innych miejscowościach. Rolniczych bibliotek wędrownych posiadają osadnicy 5. W porze zimowej odbywają się często wykłady i kursy rolnicze. Osadnicy współpracują ściśle z miejscowem Kołem P. M. S. Założony przez Centralę Związku, Rolniczy Uniwersytet Korespondencyjny ma tu dość licznych korespondentów.

Uczucia religijne osadników wyrażają się w budowie krzyżów przydrożnych, dość często niszczonych przez tajemnicze, złośliwe ręce. W Poczajowie, wprost prawosławnej Ławry, wzniesli osadnicy kaplicę katolicką na 200 osób. Drugą zbudowano w Napadówce. Prócz tego każda osada marzy o zbudowaniu choć niewielkiej kapliczki.

Przedstawicielem zbiorowych interesów osadnictwa Krzemienieckiego jest Powiatowy Związek osadników, z siedzibą w Krzemieńcu. Tam także mieści się Społeczny Bank Spółdzielczy, podejmujący działalność kredytową i towarową, pośredniczący w zbycie produktów, zakupie szlachetnych nasion, nawozów sztucznych i t. d.

Krzemieniec, w lipcu.

H. Ceysingerówna.

ZAMIAST RADJA.

Pozadomowa praca matek.

Z omawianego w poprzednim numerze „Bluszczu“ referatu p. Baers warto przytoczyć, ujawniony przez ankiety w różnych krajach, wpływ pracy matek na śmiertelność niemowląt. W Belgii lekarze urzędowi zgodnie stwierdzają w okręgach fabrycznych wzmogoną śmiertelność niemowląt, dochodzącą do 29%. Natomiast w miejscowości St. Nicolas, gdzie fabryki nie zatrudniają matek w ciągu 2 miesięcy po urodzeniu dziecka, śmiertelność niemowląt do tego wieku jest b. niska. W Niemczech, w okręgu Mainz, zaobserwowano, że śmiertelność niemowląt waha się od 31 do 34%, stosownie do tego, czy matki pracują poza domem, czy też wyłącznie mu się poświęcają. Oczywiście, obok braku opieki macierzyńskiej, na wysoką śmiertelność dzieci oddziałują ujemne warunki mieszkaniowe, alkoholizm rodziców i wogóle całokształt niehigienicznych warunków, w jakich żyją robotnicy.

W dalszym rozwoju dziecka robotniczego brak matki w domu odbija się fatalnie na ukształtowaniu moralności. Pozostawione sobie samym, dzieci wychowują się na ulicy, nabierają nałogów, zawierają złe znajomości i wciągane bywają do niemoralnych, lub

nawet zbrodniczych uczynków. Nawet po powrocie do domu, matka, przemęczona pracą zarobkową, skłopotana koniecznością załatwienia w pośpiechu najpilniejszych przynajmniej spraw gospodarczych, nie jest zdolna do poświęcenia uwagi moralnej stronie swych dzieci. Ankieta belgijska znajdowała tylko wyjątkowo kobiety, kończące pracę o 4 po południu i mieszkające o 10 — 15 minut drogi od zajęcia; wszystkie inne pracowały dłużej ku wieczorowi, a wiele miało mieszkania, odległe o godzinę i więcej drogi do miejsca pracy. W Ameryce, na 522 robotnic ankietowanych, piąta część zatrudniona była stale pracą nocną, a dziećmi i domem zajmowała się, ujmując sobie odpoczniku i snu w dzień; piąta część ankietowanych zostawiała dzieci na opiece sąsiadów, lub sublokatorów; piąta część — na opiece krewnych, niezawsze mieszkających w tem samym mieszkaniu; dziesiąta część — na opiece ojca, bezrobotnego, zarobkującego pracą domową lub nocną; piąta część matek miała dzieci bez opieki dorosłych; wreszcie dwudziesta część ankietowanych powierzała je staraniom osób, płatnych za to specjalnie. Na 522 matek, zarobkujących poza domem, 419, prócz tej pracy, musiały wykonywać same, bez żadnej pomocy, wszystkie zajęcia gospodarcze: goto-

wać, sprzątać, prac, naprawiać i — zajmować się dziećmi.

Wielka szkoda, że międzynarodowe badania związków chrześcijańskich nie objęły Polski, jakkolwiek związki takie istnieją przecież i u nas. Przypuszczamy, że badania na naszym gruncie wyświeśliłyby wiele szczegółów, na które jedna część naszego społeczeństwa — bezpośrednio w nich zainteresowana — nie zwraca żadnej uwagi, druga zaś częstokroć nie wie wcale o ich istnieniu. Sądźmy też, że w rezultacie takich badań niski poziom moralny rodzin robotniczych w polskich ośrodkach przemysłowych, musiałby być złożony w pierwszym rzędzie nie na pracę pozadomową matek i nie na alkoholizm, lub zaniedbanie ze strony ojców, nawet nie na niski poziom zarobków robotniczych i niedostateczną kulturę mas; w naszych warunkach, jako czynnik zasadniczy zaniedbania moralnego, wystąpiłby przede wszystkim nieprawdopodobne stosunki mieszkaniowe. I może lepiej, że nie skompromitowaliśmy się wobec zagranicy ujawnieniem tych stosunków, niezrozumiałych dla całego świata cywilizowanego, nawet w okresie powojennego głodu mieszkaniowego.

Referat o pracy mężatek, pociągnął za sobą obszerną uchwałę międzynarodowego zjazdu Konfederacji Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Główne punkty tej uchwały są następujące:

1. Zarobki głowy rodzin, winny odpowiadać

potrzebom tej ostatniej, by matka rodziny mogła uniknąć pracy zawodowej. Zasada ta w niczem nie naraża zasady: równa płaca za równą pracę.

2. Organizacje zawodowe poszczególnych krajów, winny badać warunki istnienia mężatek, pracujących w różnych gałęziach zatrudnień i domagać się dla nich pomocy i ochrony, mianowicie:

- a. porad lekarskich w czasie ciąży;
- b. ułatwień w pracy w tym okresie;
- c. zniesienia dla nich stałej pracy w pozycji stojącej, lub siedzącej;
- d. płatnego odpoczynku przed porodem i po porodzie;
- e. przerw w pracy i innych ułatwień higienicznych.

3. Organizacje kobiece i władze publiczne winny dbać o uprzystępnienie dziewczętom wykształcenia gospodarczego.

4. Organizacje kobiece winny nadto szerzyć, wszelkimi dostępnymi im środkami, właściwy pogląd na ekonomiczną, moralną i społeczną wartość pracy gospodarskiej kobiety zameżnej.

5. W fabrykach i zakładach, zatrudniających znaczną liczbę kobiet, powinny być z ramienia zarządu intendenci, czuwające nad personelem kobiecym.

W następnym numerze zobaczymy, co z tych postulatów urzeczywistniło ustawodawstwo polskie.

M. B. Ł.

PIĘCDZIESIĄTA ROCZNICA ŚMIERCI PANI GEORGE SAND

Czy też która z naszych Czytelniczek czytała jakikolwiek romans George Sand? Wątpię bardzo. A jeżeli nawet wzięła do ręki którą z tych słynnych niegdyś powieści, to zapewne odłożyła ją wkrótce, znudzona potokiem słów i sentymentalnością uczuć, które niegdyś tak rewolucyjne się wydawały i płomiennie. Dawne to czasy, gdy Słowacki matce swej zalecał, aby Indjanę i Lelję przeczytała, a zachwyci się niewątpliwie!

Zato, kiedy wpadła mi niedawno w ręce bezimiennie wydana książeczka (tłumaczona na polski w r. 1863), poświęcona Garibaldiemu i wyzwalającej się Italii, owiał mnie, jakby ciepły prąd, czuło się, że gorące i szczere wzruszenie, kierowało ręką piszącej.

Mój Boże, z jakimże uczuciem mógł je czytać, w tym roku właśnie, Czytelnik polski.

„...Oto silny zapragnął zdruzgotać słabego, a ja, duch wolności i walki, anioł sprawiedliwego odwetu, chcę przyjść z pomocą narodowi, który pragnie znowu stać się sobą, uwolnić uciśnionego, oddam skradzioną ziemię jej prawym posiadaczom...”

„Ja“, to znaczy, duch wojny przyszłej, który we śnie jawi się oczom autorki.

Najszlachetniejsza ideologia Francji, ta sama, która przemawiała ustami Lamennais'go, Barbier'a, Delavigne'a, znalazła wyraz energiczny i zgoła męski w tej kobiecie, przyjaciółce Mickiewicza, którą W. Hugo zwał: *la grande femme du siècle*. Życie jej było romanssem, ciekawszym od tych, które pisała.

Aurora Lucylla Amanlijna z Dupinów Dudevant*) przyszła na świat w r. 1804 w Paryżu. Matka jej, uro-

dzona z nieprawej córki Maurycego Saskiego, który był nieprawym synem Augusta II i Aurory Konigsmark. Była zatem pra — prawnuczką króla polskiego.

Wychowywała się w starym zamku Nohant u babki, pani Dupin, *dame a n c i e n r e g i m e u*, walterjanki — nagle przeszła pod wpływ zakonnicy — Augustjanek, oddana na naukę do klasztoru. Naprzód zwano ją tam djablicą, później najmilszą z pensjonarek. Urządzała już wtedy teatrzyk i pisała sztuki, któremi zachwycały się zakonnice i koleżanki. W pietnastym roku miała wizję i marzyła o obleczeniu habitu.

Romantyczka, nie mogła znaleźć szczęścia w powszedniości życia. Małżeństwo, zawarte w r. 1822 z panem Dudevant, nie dało szczęścia, ani jej, ani jemu. W r. 1831 opuściła męża i zaczęła piórem zarabiać na utrzymanie swoje i dzieci. Matką była kochająca, choć kapryśna. Jej korespondencje z córką, to jedna z najbardziej zajmujących książek, traktujących stosunek rodziców do dzieci. Jak prawdziwa jest uwaga, jaką wielka pisarka rzuca ze smutkiem. „Urodziłam ją (*Solange*, późniejszą panią Clésinger), chowałam, kochałam, biłam, a dotąd nie znam jej naprawdę...“ Świat zapamiętał ją sobie raczej, jako kochankę, *la grande amoureuse*, która, wedle tradycji niechętnych, zabiła Musseta i Chopina, przeklętą *„femme à l'oeuil sombre“*, a jednak, jakże wiele matczyńskiego uczucia było w jej romansach!

Trudno dziś rozsądzić ten wielki proces, jaki rozgrywał się między „Nią“ a „Nimi“, ale co pewna, to że nietylko „Oni“ mieli rację. Oto co pisze w swoich wspomnieniach Władysław Mickiewicz: „Piotr Leroure podziwiał bardzo Szopena, ale twierdził, że ten wystawiał cierpliwość pani Sand na straszne próby. George Sand miała zwyczaj zasiadać wieczorem przy biurku i pisać do późnej nocy. Pewnego razu zostawia Szopena przy fortepianie, a sama na palcach

*) Pseudonim George Sand przyjęła, jak wiadomo od nazwiska swego przyjaciela Jules Sandeau, z którym napisała do spółki pierwszą swą powieść.

wychodzi do swej pracowni. Nazajutrz Szopen zrzędzi: „Jak tylko siądę do fortepianu, działa ci to na nerwy i uciekasz“. Za nadejściem wieczoru George Sand już ani drgnie. Szopen gra do drugiej nad ranem. Nazajutrz George Sand widzi go znów rozjątrzoną. „Wiem — oznajmia jej, — że wolisz pracować w tym samym czasie, a zmuszasz się do słuchania późno w noc mej muzyki. To poświęcenie jest nieznośne dla mnie.“ Przyjmowała te przygany bez słowa.“*)

Dopiero, gdy minęły burze miłosne, „kasztelanka z Nohant“, zostawszy panią swej woli, oddała się temu, co było jej powołaniem: pisarstwu. Pokorni adoratorowie, których miała do końca życia, nie wchodzili w rachubę. Długo żyła w tem wiejskim zaciszu, pracując niezamordowanie.

Z pod pióra jej sypały się tomy powieści, drukowanych stale w *Revue des deux Mondes*, rozpraw politycznych, filozoficznych, religijnych. Powieści wiejskie, w których odtwarzała życie swej prowincji, zostaną w jej dorobku literackim, jako dzieła najwartościowsze, cenione nawet przez folklorystów.

*) Paweł Musset, brat poety, wydał książkę paszkwil: *Elle et Lui*. — George Sand odpowiedziała drugą p. t. „*Lui et elle*“.

Starość miała pogodną. „Bóg dobry, dusza nieśmiertelna i wiara w przyszłe życie — to się ostało we mnie wśród badań wszelakich, a nawet w chwilach zwątpienia rozpaczliwego — pisała w „Historji mego życia“.

W 72 roku życia 10 dni przed śmiercią pisała o sobie: „Czuję się tak silną i swobodną w sobie, jak może nigdy nie bywałam. Wchodzę na schody lekko, jak mój pies.“ Ale cierpienia wewnętrzne, napadające ją czasem, kazały jej domyślać się: „naglej odprawy w jaki piękny poranek“.

Umarła w czerwcu 1876, oplakiwana przez wielkich ludzi i przez prostaczków.

Ogłaszane w r. b. fragmenty autobiograficzne*) dają wniknąć w głąb tej niepospolitej natury.

Pisała niegdyś do swej córki:

„Bądź dobrą, słyszysz? Dobrą zawsze, dobrą przedewszystkiem!“

W pół wieku zbladła sława autorki, pozostał człowiek: człowiek dobry.

K. Bielańska.

*) *Revue de deux Mondes* r. 1926 Avril. Mai. „*Cahiers de l'Aurore Dudevant*“.

Z NAD NILU.

Przysłowie arabskie mówi, że ktokolwiek raz jeden napije się wody z Nilu, ten tęsknić do niej przestać nie może i myślał wciąż tam powraca.

Jest w tem część prawdy; może dlatego, że piękno Egiptu jest tak zupełnie inne, że żeby go odczuć i zrozumieć, trzeba nietylko oczami go chłonać, lecz i duszą przeniknąć.

Czar zaś owego zespolenia jest tak silny, że pamięć wrażeń pozostaje długo, długo niezatarta, a dołączają się do niej tęsknota i pragnienie, by one znowu powtórzyć się mogły.

Pamiętam pierwszy mój przyjazd do Egiptu. Jechałam wprost z Rivieri, po dłuższym tam pobyciu, jechałam po zdrowie, którego odzyskać nie mogłam nawet w słodkim klimacie Rivieri.

Bogactwo i bujność południowej natury wywierały na mnie silne bardzo wrażenie, duszę miałam rozkołysaną precudnym, wciąż zmieniającym się obrazem roztoczy morskich i wogóle tym przewychem kolorytu słońca, nieba, gór i kwiatów, któremu na imię: Brzeg lazurowy.

Czekałam i spodziewałam się jeszcze silniejszych wrażeń od Afryki.

Tęsknotę za swemi, ból rozłąki, dał, jaka legła między mną, a niemi — miały mi one ukoić, zapełnić... Po nużacej, 4-dniowej podróży, stanęliśmy u celu.

Płaski krajobraz zarysował się na widnokręgu, a u wybrzeży — szeroko rozpostarte miasta, o egzotycznym charakterze i kolorycie.

Z Aleksandrii, bezpośrednio, jechałam do Kairu, a stamtąd jeszcze dalej trochę, w głąb pustyni.

Z okien wagonu widziałam kolejno bujną zielenią urodzajnych niezwykle pól (było to w lutym), płowe piaski, poprzerywane grupami palm; snuli się ludzie, o typach i strojach malowniczych i jakby żywcem przeniesionych z ilustracji Darc'ego z Książ Biblij.

Było w tem wszystkim swoiste piękno, ale jakies obce, jakies mało jeszcze mówiące.

Maeterlinck pisze, że nam ogólnie nie tyle brak szczęścia w życiu, ile jego świadomości, że nieraz jedna chwila szczęścia, w pełni uświadomiona, więcej znaczy, niż największe szczęście, które dusza ludzka niebacznie przeocza.

To samo da się powiedzieć o poczuciu piękna.

Tam, w Egipcie, w pierwszych tygodniach pobytu nie mogłam nawiązać bezpośredniego kontaktu duszy z otaczającą mię naturą, nie mogłam zrozumieć, na czem piękno jej polega, co główną treść jego stanowi.

Któregoś z dni upalnych byłam na pustyni, dalej, w głębi.

Dla jej uzdrawiającego, żarem płonącego tchnienia, ludzie, u jej skraju, zmienili pustkowie w pełne życia i gwaru osiedle.

Ale tak łatwo zostawić można po za sobą garść domów i willi, iść dalej, w głąb, a ukaże się oczom w całym swym surowym majestacie — ciszy, pustki i bezbrzeżnej oddali. Był zachód słońca.

Na niebie płonął stos ognisty z rozżarzoną kulą pośrodku.

Intensywność światła była tak wielka, że chmury naokoło tworzyły świetlistą aureole, która dalej w ognisto-miedzianą kurzawę przechodziła, kłębiąc się na tle nieba, co turkusem przezierano tu i owdzie.

Dalsze chmury łukiem różano-fioletowym horyzont okalały.

Po drugiej stronie wszystkie przedmioty dziwnie ciemnymi i ostro wyraźnymi odcinały się linjami. Wysmukła, strzelista wieżyczka minaretu, sztywne zarysy piramid i delikatne koronki czubów palmowych.

Surowym zwałem ciemnej zieleni kołysał się łan olbrzymich, kwitnących kłosów pszenicznych; granatową w dali stała lśniąca cicha powierzchnia uspiętego Nilu.

Tylko pustynia grała tysiącem barw i tonów.

Każdy załom wawozu, każda grań wzgórza, każde ospisko lśniło złotem, różem, ametystem...

Nagie zbrocza skał, okryły się, jakby kwiatami, a piasek błyszczał tysiącami skier, drgających pod złotą kurzawą słońca.

Czar tego zjawiska — przetwarzania się nagle dzikiego wawozu w pełną cudów, świetlną krainę, był tak nieprzepraczone piękny, że oczy oderwać się odeń nie mogły, a duszę przepęłniało uczucie zachwyty, jakie budzić może tylko prawdziwe piękno.

Kraj najśmielszych kontrastów, kraj genialnych dysonansów... snuły się myśli — bo kontrastem Egiptu jest ta przebujość niesłychanie urodzajnej ziemi, pod zalewiskiem życiodajnej fali Nilu, dalej ujętej w ramy bezpłodnych piasków.

Kontrastem i dysonansem — a jednak to czar jej stanowi i teraz, w świetle zachodzącego słońca, tak ujawniony wyraźnie.

Przed oczami, przez porównanie, przesunęły się wizje urocz, tamtych, niedawno oglądanych wybrzeży.

Niby w melodję śpiewną i łatwo uchwytłą i tak pogodnie brzmiącą i odzew budzącą, zlewały się tamte wrażenia.

A tutaj — głębsze, lecz i trudniejsze w tem pięknie były tony... bujnością życia i jego żarem także nabrzmiałe, ale i ostrym zgrzytem, widniejącej obok kamienno-piaszczystej pustki, dźwięczące, — pustki, którą tak, jak w życiu, jeno światłem myśli i ogniem uczuć zapełnić można.

Symbolem Egiptu ejsz Sfinks, czyli, wedle zdania większości egiptologów, pomnik boga Ra — boga słońca. Istnieje dużo hipotez i teoryj o czasie i sposobie jego powstania, ale istnieje też wśród arabów legenda ustna.

Artysta, który rzeźbił Sfinksa, kochał w tym czasie młodą dziewczynę o cudnych oczach.

Wszelkie uczucia, ziemskie i nadziemskie, stapały się w ich czarownej, a przepastnej głębi.

Wedle koncepcji artysty, (którego imię i okres tworzenia pochłonęły wieki), bóg Ra miał postać półlwa, pół-człowieka. Spoczywa on na łapach olbrzymich, w piaskach pustyni, a wśród ludzkiej twarzy, patrzą oczy jego w bezkresną dal, z tym jedynym na świecie wyrazem i z cieniem wszechrozumiejącego uśmiechu na kamiennych wargach.

Legenda mówi, że artysta długo bardzo nie mógł oddać w kamieniu, tego, co tkwiło mu w duszy.

Ra — to słońce, a słońce — to życie, więc oczy sfinksa mają wyrażać wszystko, co jest życiem, choć zawsze tajemnym, a nierozwiązanem.

Co wieczór przychodził, znużony i zniechęcony, szukać ukojenia u stóp ukochanej.

Któregoś dnia przyszła po raz pierwszy spojrzeć na jego pracę. Byli sami. Dziewczę odrzuciło zasłonę z twarzy; zaledwie oczy jej ogarnęły go pełnem miłości bezmiernej spojrzeniem — artysta chwycił dłuto. Stał się cud, kamień ożywać zaczął — cień uśmiechu rozchylił kamienne wargi, a oczy... artysta patrzył w aksamitne głębie, co wszystkie uczucia ziemskie i nadziemskie w sobie stopiły, patrzył... a wyraz ten, jedyny na świecie, w kamieniu utrwalił.

Żarem słońca oblane, dziewczę bez ruchu długie godziny stało, dopóki ostatni raz dłuto się nie poruszyło — a wtedy, jak kwiat bez życia, na piasek upadło.

Dusza jej w oczach kamienia zakłęta została w imię Miłości i Piękna.

Zofja Grzymałowska.



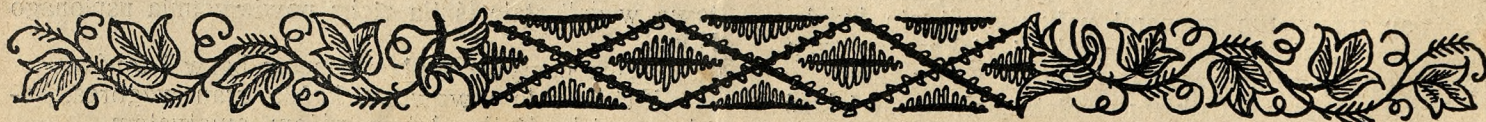
Janina Brzostowska.

TRWOGA.

Ulica, przy której dziś mieszkam,
nie słyszała twych kroków.
To ulica bez wspomnień, nowa, uśmiechnięta,
prosta aż do samego wylotu.
Lecz tam, za skrzyżowaniem,
jest inna, którą szliśmy oboje
raz ostatni, zanim pożegnanie
grobem stało się miłości mojej.
Dlatego idę nią, nie patrząc prawie,
jest tak długa — zawsze mię męczy —
kostki bruków są jednakowe i szare,
— droga żalosnych udreczeń.
Trwożę się,
że przekleństwem stać mi się może smutek,
ten ból, jaki mi wtenczas zadaleś,
łzy, których ciężaru nie czujesz,
i dni moje wszystkie umarłe.
Dlatego spieszę, powracając
ku ulicy tej bez wspomnień, przy której mieszkam —
jak w ów wieczór, drozdy przed domem śpiewają,
gdy okna szeroko otwieram.

CZŁOWIEKO W I OBOJETNEMU.

Nazywasz się „nie wiem sam“ —
przychodzisz z nikąd.
Ojczyznę twą jest „tu i tam“
któregoś nie przeniknął.
Bóg twój mówi „tak i nie“
i co jest najsmutniejsze
sądzi — choć wie, że to źle —
że to niedoli nie zmniejsza.
Rzeka życia — niema znaczenia —
śmierć: wszystko jedno — obojętny krok —
Jesteś jako cień,
który błaga o mrok.





BAJKI ZŁOTOGRODZKIE.

Z. REUTT - WITKOWSKA.

Z WĘDRÓWEK PO DOLE.

6



osła Gospodyni do kościoła, przed ciemny ołtarz i zapatrzyła się w czerwone światelko przed Złotym Domkiem.

Patrzy, patrzy... a wtem się jej wyda, że to już nie lampeczka ze szkła i z oliwą, ale że za złotą, przezroczystą bramą jest jakoweśi szklane morze, i że pływa po morzu piękny pałac z ognia.

A w pałacu siedzi... Któżby!? Sam wielki Pan Bóg.

Zakołatała Gospodyni do złotej bramy cichuteńko, bo się strasznie bała. Ale przez okno wyjrzała do niej taka cudna twarz anioła, że się już i bać przestała, i jakoś samo jej przedziutko powiedziało: „mój ty śliczny aniołku, a jakby to można rozmówić się z Panem Bogiem Dobrodziejem?”

Anioł się tylko uśmiechnął w odpowiedzi — uśmiechnął się tak dziwnie jakoś — i długo, że ani się Gospodyni spostrzegła, że siedzi w malutkim czółenku, niby na okruszynie korka, i jedzie prościutko do ogniowego dwora. Rusza się to morze, huśta, niby lepkie i całe różowiućkie, jakby kto wodę z sokiem wiśniowym potrochu wymieszał. Tak się jakoś sennie widzi Gospodyni... a tu już i brzeg przed nimi... wyspa taka okrągłutka, jakby kto okroił, obrzeżona srebrem, a w pośrodku pałac ognisty cały się chwieje i mryga. A w pałacu Pan Bóg.

Jak tam się Gospodyni dostała, to już opowiedzieć nie umie, tylko wie, że Pan Bóg, zupełnie siwiutki, spytał jej całkiem po ludzku: „A czego chcecie, mateczko?” Ale nijak się nie Gospodyni odpowiedzieć nie darzy, tylko westchnie sobie, jakby na podniesienie i zapatrzy się w Pana Boga-Staruszka, jakby w tę hostję.

Byłaby i na twarz padła, na ziemi, ale ją anioł, ten sam, co ją wioził, zatrzymał i wielkim jasnym głosem odpowiedział za nią: „Za synem przyszła prosić, Panie Boże!” A wtedy tysiące niewidzialnych głosów odśpiewało z drgających ścian pałacu: „Za synem przyszła — za synem” — tak, jak organista księdzu przy sumie odśpiewuje, tylko dużo ładniej.

„A czego wam dla syna potrzeba, mateczko?” „Czego wam trzeba?” — zagadał znowu ogromny chór. „Czy żeby wojakim był sławnym i całemu światu panował?...” „Żeby światu panował?”

Nic odrzec nie śmie Gospodyni, ale zda się jej, że tam, za bożym tronem, rozstąpiła się ściana i ukazała inne pokoje, ziemskie, pełne złota i drogich kobierców. Syn jej chodził po nich ogromnym krokiem, u nóg brzęczały mu ostrogi, a z pod ostróg, jako stąpił, krew płynęła z ziemi, kobierce barwiły się krwią bogato. Ale on miał twarz jakowąś pyszną i posępną.

„O nie, nie! tego mu nie daj, Panie Boże!” zawołała Gospodyni w głos. Zamyślił się trochę Pan Bóg i dalej pytał. „Czy żeby wszystkie przeczytał księgi i poznał wszystkie mądrości ziemi?”... „Żeby poznał mądrości ziemi?”

Gospodyni patrzyła już w tajemniczą ścianę, bo tam królewskie pokoje zamieniały się w sklepioną

komnatę, pełną od podłogi, aż po sufit, grubych, ciężkich ksiąg, a na stole stały naczynka ze szkła, pokrecone, niby gąsiorki przedziwne, pełne różnych kolorowych nalewek i proszków. Za stołem siedział jej syn, błydy bardzo i smutny, patrzył w stos papierów, pokreślonych czarnymi znaczkami... W rękę miał pióro gęsie. W okno zajrzało złote, jasne słońce i roziskrzyło śniegową topiel za oknem, posłało tysiące kolorowych szkielek. A w szybę zastukał, ćwiekając żałośnie. głodny, nastroszony z zimna wróbelek. Uczony wstał prędko — i spuścił ciemną zasłonę. Twarz miał mroczniejszą od mroku, co zasnuł komnatę.

„O nie, nie! Panie Boże, nie!” — zawołała Gospodyni. — A wtedy Pan Bóg zamyślił się jeszcze bardziej i spytał zwolna: „Czy żeby piękny był i dowcipny tak, aby podobał się wszystkim ludziom?” „Aby podobał się wszystkim ludziom?”

Gospodyni ujrzała znów bogate komnaty, i króla, i rycerzy, i panie — i młodego lutnistę, pięknego... chyba jeszcze piękniejszego, jak ten anioł, co ją tu przywiózł. Śpiewał jakąś dźwięczną piosenkę, którą po każdej zwrotce rozspypywał na paciorki śmiechu. A potem klaskano i ścisłano mu ręce; panowie dali wieniec ze złotych listeczków, a panie bardzo grzecznie chwaliły na prześcigi. — Lecz kiedy się w końcu rozeszli, grajek rozejrzał się wkoło ze wzgardą i sam dla siebie chciał wygrać piosenkę... Ale mu struny pękały jedna po drugiej. Wtedy skurczył się, zszarzał, ziewnął — twarz mając pełną drobnych zmarszczek, jakby staruszekek jaki...

„O nie, i to nie, Panie Boże!” — „Więc czego chcesz kobieto?” zapytał Bóg, nibyżto niecierpliw... „Czego chce, kobieto?” z pośpiechem powtórzył chór.

„Chcę, żeby był dobry i szczęśliwy...” zaszepotała lekliwie Gospodyni. „Dobry i szczęśliwy... dobry i szczęśliwy...” odszeleścił chór, i zaraz jęło się wszystko kręcić przed oczyma kobiety prędko, prędzej coraz — aż i Pan Bóg zniknął, i głosy powietrzne zmilkły. Tajemnicza ściana rozciągnęła się w przestrzeń, ukazując długą, prostą drogę pośród pól i lasów, całą zaróżowioną, niby od jutrzeńki. Zaczęła nią Gospodyni, wcale z kolan nie wstając, iść — iść —

Szła długo. — Aż oto poznaje Mękę przy drodze, poznaje parkan probostwa, i chatę Przyguły i jego brata, Piotra, i dużo, dużo zagród; wreszcie i swoją własną poznała. Przede drzwiami siedzi jej syn i struga z buczyny figurkę dziwną: Dziecię Jezu na Krzyżu rozpięte, w koronie z ciernia; i z gwiazd, i z tego kwiecica, co po łąkach rośnie; a radość jasna i moc idą od Dzieciątka.

Pod bosemi nogami rzeźbiarza piasek i żwir; niebogię wróbleta wyjadają porzucone im okruszyny chleba i krążą nad głową szarym wieńcem temu jej synowi. — Nad głową, ptaki, nad ptakami obłoki, a w obłokach zasię Gród, niby, z promieni zbudowan.

Ludzie mijają rzeźbiarza z pogardą — bo to ani na sumie, ani w karczmi nie bywa, niesamowite jakieś! Do niczego jest, a może i gorzej... bo różnie powiadają! Ale on patrzy ku nim z uśmiechem; gdy zaś w górę obróci źrenice, a Gród Złoty napotka, oczy ma takie słoneczne — słoneczne —



CECYLJA WALEWSKA

PANNA KAMILCIA

Historja prawdziwa.

Podala mi go z tem swoim plochliwym spojrze-
niem, które szukało, a nie mogło znaleźć punktu
oparcia.

Patrzyłam na nią pełna niepokoju, jednak nie prze-
czuwając jeszcze blizkiej katastrofy.

Wpadła odtąd w dziwny nastrój. Przestała śmiać
się zupełnie. Pracowała jak dawniej, ale w jakimś
obcym dokonywanej robocie zapamiętaniu, w oder-
waniu się od wszystkiego, co było zjawą najbezpo-
średniejszą, w zachłannem skupieniu na jakimś jednym
punkcie uświadomień, dokoła którego, jak w zaklętym
kręgu, wirowała zbита w nierozzerwalną masę cała
treść duszy, zostawiając odruchom nawyk do zme-
chanizowanych, rutynicznych zajęć codziennych.

Zastawałam ją zgiętą, w pozie niemal katalep-
tycznej, nad wanienką, w której ręce bez kontroli
wzroku zmywały talerze i szklanki, a nic nie uległo
stłuczeniu.

Poruszała się za każdym mojem wejściem, pro-
bowała składać usta w dawny uśmiech, ale drętwia-
ły w jakimś bolesnem skurczu, który nadawał twa-
rzy hieratyczny spokój. I tylko oczy zaczynały szu-
kać plochliwie zatraconego punktu oparcia.

Coś przerodziło się w niej. Wstawał jakiś nowy,
obcy człowiek, pełen zapewne podziwu dla rzeczy
niezbadanych w głębi siebie, dla cudu tej nagłej prze-
miany, dla misterjum tego ruchu, którym dokoluśka,
dokoluśka wirowały myśli, zbite w jedną treść uparta,
ciągła, niezmierna.

Codzień mówiłam jej:

— Ubierz się. Wyjdź na spacer.

Dziękowała. Nie chciało jej się przebierać.
W czerwonej chustce na głowie, jak od rana, siadała
na balkonie, patrzyła w przepaść ulicy na tłum, żadny
chleba i twarz jej nabierała wyrazu bolesnej rozpa-
czy. Czasami podnosiła ręce do góry, wzywając jakby
ratunku, a może błogosławieństwa dla tego miasta
głodnej, sponiewieranej nędzy i trwała tak chwilę
w stężalem zapamiętaniu, żeby wreszcie oprzeć gło-
wę o balustradę, zamknąć oczy i patrzeć już w siebie
tylko.

Któregoś dnia poprosiła mnie o książkę. Chciała
przeczytać historję powstania styczniowego, zoba-
czyć, czy nie znajdzie tam nazwiska dziadka. Innym
razem zażądała czegoś o Polakach we Francji. Może
tam będzie coś o pradziadku markizie? Może odszuka
imię jego?

Pograżała się w książkach do zapamiętania, lecz
po pewnym czasie wypadały jej z rąk, a oczy albo
wlepiały się w jeden jakiś punkt nieuchwytny, albo
biegały pierzchliwie po powierzchni rozciąglej zjawy,
nie mogąc uchwycić punktu oparcia dla siebie.

Na małym stoliku w jadalnym pokoju leżały zwy-
kle czasopisma bieżące — gazety, miesięczniki, tygod-
niki. Wzięła którejś przedmierzchowej godziny kilka
z nich do przejrzenia.

Siedziałam w pokoju u siebie, zajęta przygotowy-
waniem notatek do jakiegoś wykładu, gdy oderwał
mnie do roboty nagły szelest. To wpadła Kamilcia.
Oczy miała rozwarte szeroko w zdumieniu, w osłupie-
niu. Zaciśnięte palce rąk trzymały mocno numer jak-
iejs polskiej ilustracji. Wargi jej zbiełały. Ramiona,
mocno podniesione, stężały w nienaturalnie naprężo-
nym ruchu.

— Już wiem, proszę pani... już wiem wszystko.
Mój pradziadek, markiz, miał na imię August Stanisław.
To było sto lat przedtem, zanim ja się urodziłem —
akurat sto lat. A mój dziadek, ojciec ojca, umarł na
Syberji w tym samym roku, kiedy ja się urodziłam.
Więc to znak dla mnie — spadek po nich... najpierw
wielka fortuna, potem ja wolna, cała Polska wolna...

Ilustracja wypadła jej z rąk na stronie pełnej ry-
cin z jakiegoś dramatu, osnutego dokoła wydarzeń na
dworze Stanisława Augusta w ostatnich latach jego
panowania. Ucharakteryzowana na markizów i marki-
zy szlachta polska przewijała się w lśniących salonach,
walcząc o palmę pierwszeństwa w przepychu strojów
z butnemi kontuszami.

Kamilcia wyprężyła się. Ręce jej wskazały bez-
dnie.

— Tam moja śmierć i moje życie. Muszę ich od-
szukać. W Polsce staną się rzeczy wielkie, i ja to
sprawię... Głos jej brzmiał mocno, ale z jakimś roz-
wlekłym, nosowym przydechem. Ręce skrzyżowały
się i rozkrzyżowały w hieratycznym odruchu. Prze-
szła po rzuconym na ziemię tygodniku, mówiąc
w przestrzeń i coś chwytając poza sferą zwykłego
widzenia.

Letni mrok zapadł. Mąż mój wrócił z dalekiego
spaceru nad rzeką. Podala nam herbatę, sunąc w tę-
pem milczeniu po smudze światła, która kładła się od
palnika w jadalni na korytarz kuchenny. Odeszła
z tym samym ruchem lunatyczki, która budzi się do-
piero na dźwięk swego imienia.

Na placu przed halami zapalono latarnie. Jaska-
we światło lunęło w otchłań nocy, gubiąc się u pro-
gów halnych podcieni. W chwilę potem coś zaturko-
tało. Porwały się jakieś głosy. Nie słyszałam ich, za-
czytana w telegramach wojennych.

Nagle wpadła Kamilcia. Wbrew zwykłej swojej
powściągliwości, schwyliła mnie za rękę i pociągnęła
do okna kuchennego.

Pod latarnią stał wóz z mięsem. Czerwone, krwią
ociekające ćwierci zabitych wołów krzyczały roz-
pacznie o pomstę nad ludzkim rozbojem. Ale nikt tego
nie słyszał. Jakieś ręce przerzucały je z dużego wozu
na parę mniejszych, ręcznych wózków. Kilka sylwetek
uwijało się dokoła. Żyd witał tęgiego mieszczanina,
zapewne rzeźnika, który dał znak chodzącemu pod
murem wartownikowi, żeby natychmiast otworzył
wrota hal.

Sunął wózek za wózkiem w głąb czeluści, jednym,
słabym płomieniem od wnętrza oświetlonych, a Ka-
milcia, wpatrzona w krwią ociekłe tułowia, lby, boki
zabitych zwierząt, wychyliła głowę za okno i krzy-
czała:

— Już wiem, już wiem... spiszek. Zatruli wszystkie
zwierzęta w Polsce. Teraz... ich krwią... trupami... za-
trują ludzi. Żeby nie było Polski... Żeby zostały kamie-
nie i goła ziemia... Zrozumiałam. Żyd chrześcijanowi
podał rękę. Razem... w ciemnościach... zaprzysięgli
zgubę...

Podrzuciła ręce do góry, i ręce te zeszytywniały.
Wygięła się naprzód tak, że całą siłą musiałam ją
schwylić i odciągnąć od okna, skąd w przepaść ulicy
rwał ją mrok mistyczny.

— Spisek... zaprzysiężenie... na zgubę Polski... trucizna... wiem... rozumiałam...

Głos jej brzmiał, jak tępy dzwonek. Oczy patrzyły w przestrzeń nieruchomie. Wargi, ramiona, ręce stężyły w odruchu rozpaczki. Była, jak ciche, kryształowe źródło, którem od wewnątrz szarpnęły leje podziemne, a z zewnątrz pokryła skorupa lodowa.

Nazajutrz rano wezwała ją do swego pokoju i kazała usiąść przy sobie.

— Słuchaj, Kamilciu, ja się boję, że cisza w tym domu jest zła dla ciebie. Trzeba... konieczne trzeba... żebyś poszła trochę między ludzi. Pojutrze święto. Mąż mój wyjeżdża. Ja sobie poradzę. Zrobisz mi dzień przedtem obiad i pojedziesz do pani Oli. Dawno tam nie byłaś...

Pani Ola... Jedna z tych siłaczek Żeromskiego, które wypielegnowały ostatnie pokolenie przed wojną i nazaczyły je stygmatem walki o wolność. Pani Ola — nauczycielka w podmiejskiej szkole ludowej. Żyła byle czem i byle jak. Co miała, rozdawała na książki o bohaterach polskich i na ciepłe obuwie dla biednych dzieci. Ola — duch, który miał ciało swoje w poniewierce. Pięć godzin snu. Pięć godzin pracy zarobkowej. Reszta — aż do schrypnięcia, aż do niemoicy w służbie oświaty pozaszkolnej, w rozkawałkowaniu się na części ofiarne między uczniów, uczennice swoje i ich rodziny. Każdemu z radą z pomocą. Każdemu — siostra, matka, opiekunka. Święta kobieta. „Święta kobieta“ — „heilige Frau“ — tak nazywali Niemcy swoje wielkie ofiarnice i czołem bili przed nimi, a cześć mieli dla nich nawet i u nas w Polsce.

To pani Ola przyprowadziła do mnie kiedyś Kamilcię. Opowiedziała mi pocichutku jej historię. Zdradziła tajemnicę, że cztery lata ostatnie była w służbie u fabrykanta-żyda, gdzie ją szanowano i wszyscy byli dobrzy dla niej, ale...

Pani Ola zajmowała się nią, odkąd śmierć matki rozbiła rodzinę, i każde z dzieci musiało szukać swojej własnej drogi. Uczyla ją i miała do pomocy w swoim małym gospodarstwie, na siebie i staruszka, ojca swego. Czemu odeszła od niej? Nikt nie wiedział. Któregoś ranka... bez pożegnania... zabrała ręczny swój węzełek i poszła.

Cztery lata nie widziała jej pani Olga. Aż kiedyś przypadkiem spotkały się na ulicy. Kamilcia z trudnością wybelkotała, że jest u żydów, którzy ją szanują i są dla niej dobrzy, ale mężczy się tam, chciałaby odejść, a nie wie, co z sobą zrobić.

Pani Ola zaciągnęła ją do mnie i już została.

— Więc dobrze, Kamilciu, w to święto pojedziesz tam na cały dzień. Opowiesz mi o pani Oli...

Spojrzała na mnie ponuro, tępo, z jakimś niezwalczonym uporem.

— Dlaczego tak patrzysz, Kamilciu? Czy nie masz ochoty odwiedzić swojej opiekunki?

Zmarszczyła brwi. Oczy jej nabrały wyrazu zaciętości, którego przedtem nie miały nigdy, nawet przelotnie. Zdawało się, że walczy z sobą, chce coś powiedzieć, a nie ma odwagi. Wreszcie głucho, jakimś obcym, tępym głosem:

— Nie pojedę. Wyrzuciła mnie z łóżka mego dla swego brata - k u p c a. Przyjechał w nocy... niespodziewanie... więc... mnie dla niego... Kazała mi położyć się przy sobie, ale nie chciałam. Na krześle przesiedziałam do rana i — jak się rozwidniło, wyszłam...

Schowała twarz w ręce i zaczęła szlochać. Przyniosłam jej wody. Kazałam posiedzieć cichutko. Uspokoila się. Powtarzała jednak uparcie:

— Nie pojedę... nie chcę... za nic...

IV.

Rozsrebrzył się, rozpylił słońcem nazajutrz wesoły ranek majowy. Błyszczały rosą dachy kamienic, paliły się białym płomieniem szyby okien, wyciągał do światła gałęzie kasztan na obcem podwórku.

W powietrzu — nad dachami — zawisło dziwne zjawisko. Ni to wielka, złotawo-żółta gasienica na linach z chorągiewkami, które ginęły za węglami kamienic. Ni to wygięta podłużnie, skurczona ku wnętrzu bania, u spodu której — przy cichym wietrze — kołysała się łódź z balastem.

— Balon na uwięzi! — Obserwator! — krzyczała ulica, podziwiając nieznane jeszcze wojenne zjawisko.

W słońcu — z naręczem kwiatów, które przyniosła z miasta, stanęła na balkonie Kamilcia i wpatrzyła się w złotą, błyszczącą, podłużną banie.

Coś rodziło się i dojrzewało w głębinach jej duszy. Jakieś ważne, niezłomne postanowienia. Jakieś przysięgi, rzucane niebu, słońcu. Jakieś zebrane w sobie i zaryte mocno, jak ziarno w rodną ziemię, śluby duszy. Jakieś doniosłe — niby wić przeznaczenia — zadania, wskaźniki.

Spokojnie w jeden punkt zbieżny patrzyły jej oczy, gdy stanęła przedemną, nie widząc — zdawało się — mnie i tego, co było przedemną, za mną. Powoli, hieratycznie podniosły się w górę ramiona jej i ręce. Tak już zostały. Po chwili dziwnie — jak gdyby z niewidomych głębin — rozbrzmiał jej głos.

— Znak dla mnie. Przemówiło niebo tym żółtym, tam w górze, językiem. Już wiem, wszystko wiem. Mam zbawić Polskę — ja, biedna dziewczyna... Krew dziadka i ojca... jak oni... Muszę... czeka na mnie lud.

Nazajutrz kupiła pęk rumianków, zrobiła duży, gruby wianek, rozplotła włosy — płaszcz popielatozłoty, aż po kolana — włożyła kwiaty na głowę i z wiazanką w ręce stanęła przed balustradą balkonu.

Na placu targowym wirowało mrowisko ludzkie. Jedni przystawali przed splądrowanymi kramami, na których majaczyły resztki towaru. Inni szli, miaili się, krażyli bez zatrzymania. Niemcy, którzy o świcie zabrali na wozy z hal wewnętrznych wszystko mięso, jarzyny, mąkę, kaszę, słoninę, masło, żeby je wysłać do rodzin swoich, — teraz przyszli zaopatrzyć się w potrzebne dla miejscowych swoich gospodarstw produkty. Jeżeli pruską pikelhaubę przy kupnie jakiegoś drobiazgu wyprzedziła służąca polska, wydzierano jej towar bez ceremonii, odpychano kułakiem w bok i — nie zapłaciwszy — niesiono w triumfie łup zdobyty. W jakimś miejscu zrobiło się zbiegowisko. Kobieta ciężarna niosła koszyk z kilkoma mizernymi paczkami ze sklepu komitetowego. Policjant pruski kazał je sobie pokazać. Kobieta w strachu, że ją obrażuje, zaczęła uciekać. On za nią. Dopędziwszy, lunął raz, drugi w twarz i wyrzucił całą zawartość kosza w brudną kałużę. Zrobiło się zbiegowisko. Starzy, młodzi, ale nikt nie zaprotestował. Kobieta, szlochając, usiłowała zebrać rozrzucone paczki. Prusak szturchał ją, wreszcie kopnął w tył kolaniem i odszedł.

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

26

Dusza francuskiego ludu brała ją wówczas na skrzydła swych rojeń najśmielszych, marzac, w lotnej „gadce“ gminnej, że ta, co tyle już sprawiła, dokona dawno czekanej reformy Kościoła i sprowadzi na ziemię Królestwo Boże... A tymczasem wpoprzek jej zbawczej woli położyła się już nieubłagana zaporą...

„Co za absurd: to przeciw królowi Francji walczy teraz Dziewica! Anglja jest tu sprawę drugorzędną, dość łatwą. Rzecz główna — to pokonać Karola, jego słabość, inercję, małoduszność...“*)

W walce tej dwór nie przebierał w środkach: postanowiono stworzyć konkurencję wybrance niebios; a nastęrczyła się właśnie wizjonerka (lub może tylko oszustka), Katarzyna de La Rochelle, protegowana przez brata Ryszarda. Utrzymywała ona, że co noc widuje „białą damę“, która jej nakazuje objeżdżać „cne miasta“ i obwieszczać wszędzie przez heroldów królewskich, by składano w jej ręce wszystko złoto, srebro i kosztowności, na poratowanie państwowej szkatuły. Podejmowała się nawet wskazać wszelki skarb ukryty. Skoro ta akcja nie wydawała jakoś rezultatów, śmiała awanturka poczęła obiecywać, że uzyska, przez swą własną interwencję dyplomatyczną, trwały pokój z Burgundją...

Joanny nie wytraciło to wszystko z równowagi. Doradziwszy dobruśnie swej „rywalce“, by wracała zaraz do męża „gospodarzyć“ doma i dziatki karmić, — nie ukryła później przed nikim swego przekonania, popartego powagą „Głosów“, że „w poczynaniach onej Katarzyny niemasz nic, okrom nicości i szaleństwa“.

Zdaje się, że w te nadzwyczajności niebardzo wierzyli ci nawet, co chcieli się niemi posługiwać. Przedsięwzięcie konkurencyjne zawiodło: Katarzyna de La Rochelle nie odegrała żadnej roli, choć jeździła czas jakiś z dworem, lub za wojskiem i narzucała się opinii.

Druga wizjonerka, zwana La Pierromne, młodzianka dziewczę, z Bretanii rodem, skromniejsza a szersza daleko, była zawsze z największym podziwem i oddaniem dla Joanny, czemu złożyć miała w przyszłości świadectwo imponujące.

Z końcem października książę d'Alençon, idąc na wyprawę do Normandji, prosił króla, by mu pozwolił zabrać ze sobą Joannę, albowiem:

„Pójdzie z nią siła takowych, co ostana doma, jeźli jej braknie“.

Odmówiono mu jednak — przydzielając ją równocześnie do ekspedycji d'Albret'a przeciw kilku, niezbytym jeszcze, twierdzom na Loara. Pod zacięcie bronionemi murami St.-Pierre-le-Moustier, odżywa rycerz-dziewczyna, jak kwiat, do wody włożony. Po kilku dniach oblężenia, prowadzi do szturm — lecz gesty ognień zmusił zaraz Francuzów do odwrotu. D'Aulon, ranny w nogę, widząc z przerażeniem Dziewicę, trającą na niebezpiecznym stanowisku, w otoczeniu kilku jedynie ludzi, — ostatkiem sił dosiada konia, by jej rzucić ostrzeżenie:

— „Co czynisz tu sama? Uchodź, jako inni!“

— „Jam-ci nie sama — odpowiada mu głos, jakby z nadziemskich wyżyn — przy mnie stoi 50 tysięcy moich ludzi i nie ruszą się, póki nie dobede onego grodu!“

I znów uderzając w neodparty, orleański ton — woła donośnie:

— „Do faszyn! Do broni! Za mną!! Miasto nasze!“

W godzinę później twierdza była w ręku Francuzów. Zdobycie drugiego punktu, La Charite, okazało się trudniejszym. Nic dziwnego — brakowało bowiem materiału oblężniczego, żywności i pieniędzy. Joanna musiała sama starać się o to wszystko, kwestując po miastach okolicznych (najwięcej, jak zwykle, dał Orlean) — choć przedsięwzięcie to nie z jej inicjatywy wyszło. Nie wystarczyła tu niesłychana jej brawura: trzeba było dłuższego oblężenia, zaś brak poparcia od króla zadecydował o jego losie. W połowie grudnia, Dziewica Francji, zdradzona przez tego, komu dała koronę, drugi już raz odstępowała z niczem od twierdzy wroga...

W Méhun-sur-Yèvre przyjmuje ją znowu na swę łono dwór, tryumfujący cichaczem, w nadziei, że nauka w las nie pójdzie. Włożono wiele starań podówczas, by ją uspokoić i obłaskawić — a przecie pozostaje ona zawsze, w doli i niedoli, równie obcą temu środowisku, twarzą, nieprzejednaną...

Cóż właściwie było z nią robić? Nie sposób przecie bić się ciągle... Stała zbyt blisko świętej ampułki w Reims, miała zbyt wiele godności i dumy, niczego nie żądała**) — dla siebie! W innych bowiem żądaniach była zachłanna, nieubłagana, aż do okrucieństwa. Ta czarnowłosa dziewczyna w białej zbroi, na płochym dworze, wtulonym znów rozkosznie w bezpieczne, miękkie gniazdko — to nieustający wyrzut sumienia, wiecznie bezsenne pytanie: „Ty spoczywasz? Gdy jeszcze depce twą krainę stopa najeźdźcy?“

Jakże zaspokoić tę opętana? „Czego politycy najmniej lubią — to dusz bezinteresownych — gdyż niewiadomo nigdy, od jakiego końca je brać“*) Karol próbował teraz brać ją pochlebstwem, zbytkiem — zamknąć w złotej klatce. Nie skapiono jej szat ze złotogłowiu, rumaków wielkiej krwi, rynsztunków najprzedniejszych, cennej broni, ni klejnotów. Kłaniano się jej nisko, szlacheckie panny przydano do obsługi, otoczono świtą iście książęcą. Była jeno raczyła spocząć wreszcie i innym dozwolić spoczynku!

29-go grudnia odbyła się ceremonia nobilitacji całej rodziny bohaterki — nietylko w linii męskiej, lecz i żeńskiej, co było już przywilejem szczególnym. Herb, zwany „Du Lys“ — przedstawiał koronę, podtrzymywaną przez nagi miecz, otoczoną trzema kwiatami lilji. Akt ten wręczony jej został osobiście przez króla. Na zapytanie: czegoby jeszcze pragnęła — poprosiła jedynie o uwolnienie od danin wszelkich swojej wsi rodzinnej.**)

Lecz to wszystko jej nie przekupiło. „Po powrocie z pod La Charité — pisze H. Martin — nastają dla Joanny miesiące takich mak, jakich żadne języki świata nie zdołałyby wyrazić. Czuć, że się nosi w sobie zbawienie całego plemienia... że Bóg nas popycha, a ludzie trzymają w okowach!...“

*) G. Hanotaux.

**) Do XVIII w. na karcie ksiąg podatkowych, przeznaczonej dla Douverney, wpisywano tylko słowo: „La Puelle“.

IX. Na dno...

Jakże boleśnie być musiało wspominać promienne czasy chwały, gdy w styczniu 1430 r. wierny Orlean przyjmował swą wybawicielkę ucztą wspaniała! Wszystkie ucztę świata, całą nawet wdzięczność najdroższego miasta byłaby oddała „za jeden oddech tamtej godziny“...*)

Tam jednak czuła się najbardziej swojsko, tam wiodocześnie pragnęła żyć w przyszłości, skoro zakupiła wówczas na splaty dom w śródmieściu**). Prawdopodobnie myślała raczej o zapewnieniu rodzinie siedziby wśród ludzi, tak sobie oddanych — coraz częściej bowiem w owym okresie wspomina o swoim rychłym końcu...

Z pierwszym podmuchem wiosny, Filip burgundzki, deklarując się już ostatecznie przeciw królowi, poczyna zagrażać Szampanji, którą mu Anglicy świeżo „darowali“**). Nie do Karola VII, lecz do Joanny zwracają się o pomoc przerażeni mieszczaństwo Reims, drżąc, by im nie wypadło drogo zapłacić teraz za swój entuzjazm przy koronacji.

„— Nie zaznacie oblężenia — zapewnia ich Joanna przez swego herolda***) — jeśli napotkam nieprzyjaciół wasze. Już ja ich zniewolę przywdziać ostrogi! Cale was nie opuszczę, póki żyję“.

Nie były to cześć słowa.

Z końcem marca wymyka się dziewczica od dworu, z kilku tylko rycerzami i kapelanem, pod pozorem bla-

*) Żeromski, „Popioły“.

***) Cena miała być uiszczana ratami w ciągu 59 lat.

*) Podobnie, jak pan Zagłoba darował królowi szweciemu... Niderlandy!

***) Pismo to nosi już własnoręczny jej podpis, niewprawnie nakreślony.

hej jakiejś wycieczki. Zbyt dobrze poznała już króla i jego otoczenie, by się ludzi jeszcze, że potrafił pociągnąć go za sobą — a jej miejsce nie tu było. Zaiste „Karol VII i Joanna d'Arc wypełniali oboje swe przeznaczenia: ona szła ku śmierci, a on ku zwycięstwu — te drogi się rozchodzą... ***) Wiedząc to dobrze, marzyła już pewno nieraz o angielskim pocisku, celniejszym, niż dwa poprzednie.

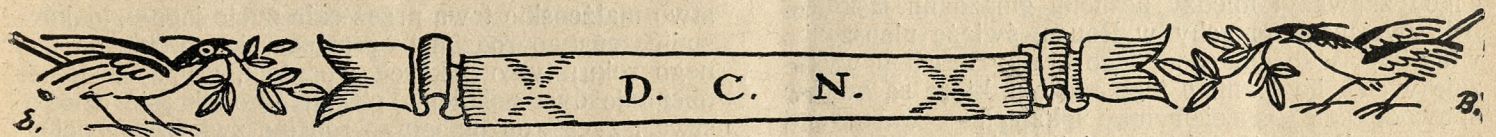
Lecz niebawem dowiedzieć się miała, że inny jej los pisany. Błądzącej samotnie po obronnych wałach Melun (które właśnie poddało się królowi) — objawiły „Głosy“, że będzie pojmana od wrogów swych przed św. Janem... Zrozpaczona, błagała o rychłą śmierć raczej — lecz obie ukochane jej święte nie mogły nie zmienić w niezłomnych boskich wyrokach.

I teraz, czując nad sobą straszliwe widmo niewoli, pracuje około zrzucenia jarzma z równym oddaniem, jak napoczątku — co więcej, niemniejszym natchnioną jasnowidzeniem.

Filip „Dobry“, wznawiając już kroki nieprzyjacielskie, potrafił jeszcze tumanić Karola VII nadzieją zjazdu w Auxerre i pokoju. Otumanił nawet go do tego stopnia, że ten przyrzekł wydać mu miasta Soissons i Compiègne, dwa główne wówczas francuskie punkty strategiczne. Były to bowiem najsilniejsze twierdze na linii, którą należało koniecznie mieć w rękę, aby ustalić komunikację pomiędzy Flandrją a Paryżem. Mogły one również bronić przystępu do Szwajcarii...

Król zdawał się nie pamiętać o tem wcale, jak gdyby mu się nie chciało poprostu poświęcić tym sprawom ani chwili uwagi. Za to Joanna rozumiała ich doniosłość tak dobrze, jakby polityka i wojna weszły jej w krew od długich lat.

***)) G. Hanotaux.



JANINA MASZEWSKA - KNAPPE.

TAJNIKI ŚWIATA ZWIERZĘCEGO.

4

Ja eckel opowiada ciekawy system kształcenia młodych u tych samych nurków. „Początkowo rodzice karmią sami swoje pisklęta, do ósmego dnia ich życia. Od tego dnia zaczyna się kształcenie. Samiec, trzymając rybę, przepływa kilka razy przed malcami, którzy chcieliby od razu chwycić żywność — nie daje im jej i zanurza się z rybą do wody, aby je zmusić do pływania za nim. Ponieważ są jeszcze lękliwi i mało zręczni, pokazuje im żywność zdaleka i woła głośno: „kuni, kuni“. Malcy rzucają się wtedy ku niemu i przepływają znaczną przestrzeń; najlepszy pływak otrzymuje rybę w nagrodę“. Trudno przytaczać dużo przykładów, obserwacje jednak przyrodnicze dawno stwierdziły, że silny łańcuch wiąże w rodzinach ptasich rodziców z dziećmi i że stały udział we wszystkich czynnościach umysłowych, ścisła solidarność wzruszeń, myśli i pragnień, tworzy z rodziny ptasiej organizm duchowy, indywidualny i tak górujący sentymentem swym i stopniem rozwoju nad innymi istotami z drabiny istnień, że mimowoli przykuwa do siebie myśl, nasuwa różne po-

równania i refleksje, i poświęciłam im na tem miejscu, wskutek tego, więcej czasu i miejsca, niż innym istotom.

Wśród mnóstwa różnych, bardzo fałszywie urguntowanych, poglądów ogółu ludzi, co do świata zwierzęcego, a zwłaszcza ich życia wewnętrznego, duchowego i społecznego, góruje jeden — o małej inteligencji ptasiej, o t. zw. pogardliwie „ptasim mózgu“. Tymczasem, obserwacje naukowe życia ptaków wykazują naogół wręcz przeciwnie.

Nie tylko miłość i wierność par małżeńskich ptasich, wykazuje taki poziom uczuć — na jaki rzadko stać jest człowieka, gdyż u ptaków samce, porzucające swe samice po złączeniu, są tylko te, które należą do gatunków, zdecydowanie mniej inteligentnych, ale cała budowa rodziny, budowa społeczeństw, życie ich towarzyskie, systemy, zwłaszcza wychowania młodych, dowodzą wysokiego poziomu umysłowego, co więcej, wykazują ciągłość myślową z pokolenia w pokolenie, poprostu tradycje. Gdyż, świadomość zbiorowa, nie może odznaczać się jednością, tak daleko

posunięta, bez pośrednictwa pewnej ciągłości wspomnień. Nauki, dawane dzieciom przez rodziców, udzielają tymże dzieciom doświadczenia, nabytego przez rodziców, t. j. bezpośrednich ich poprzedników. Widzimy często, że zmiany w budowie gniazd lub taktyce wojennej, wymyślone przez jedno pokolenie, utrwalają się w drugim pokoleniu. Kuropatwy mają zwyczaj ubezpieczania się za pomocą warty. Otóż ich młode, już w pierwszym roku swego życia, oddają się tej czynności pod kierunkiem rodziców. W ten sposób, przestroga o niebezpieczeństwach, przechodzi od starych do młodych. Dzieła ornitologów obfitują w opisy taktyki ptaków wobec niebezpieczeństwa i przekazywania nabytych doświadczeń młodym pokoleniom. Stwierdzają oni, że moc faktów z życia ptaków dowodzi, że wiele ich czynności, tak dokładnie odpowiadających potrzebom, płynie z osobistej ptasiej wynalazczości, przechodzącej potem z pokolenia na pokolenie za pomocą bezpośredniego nauczania. Np. kruk, dla rozbicia twardej skorupy mięczaka, wznosi się z nim wysoko i rzuca go z góry na kamienie — tego sposobu uczy swoje dzieci, gdy zaczynają już fruwać. W taki sam sposób stopniowo udoskonala się i budowla gniazd. Wiadomo, że doskonałość gniazd odpowiada wiekowi osobników, które je budują. „Obserwując uważnie — mówi Leroy, widzimy, że gniazda ptaków młodych są niezgrabnie, niedokładnie budowane i źle umieszczone. Często nawet młode, niedoświadczone samiczki noszą jajka gdziekolwiek bądź, bez żadnej przeczności“. Nietylko jednak wiek budowniczych stanowi o różnicy między gniazdami. Różne osobniki tegoż samego gatunku budują rozmaicie, odpowiednio do zdolności wynalazczych i zręczności wykonania, oraz okoliczności zewnętrznych i tradycji, panującej w danej miejscowości. Pouchet zauważył między licznymi gniazdami jaskółek, pokrywającymi gmachy w Rouen, świeże ulepszenia, właściwe tylko gniazdom tego kraju. Brehm wykazuje wielką ilość zmian tego rodzaju, które są zwykle spowodowane specjalnymi, lokalnymi warunkami i z powodu swej praktyczności, zaprowadzone na mniejszej, lub większej przestrzeni. Hypotezę nauczania poglądowego, przechodzącego ze stopniowym postępowaniem z pokolenia na pokolenie, popierają ogromnie owe różnice w budowie gniazd u tych samych gatunków i przystosowywanie np. tych budowli do warunków klimatycznych.

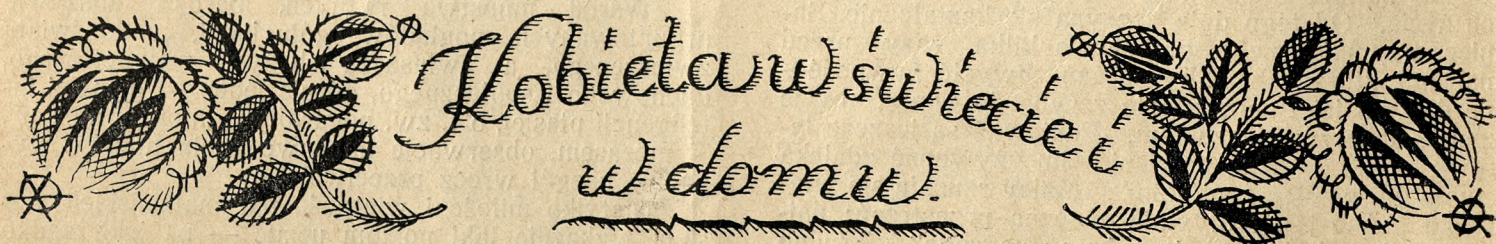
Pewien gatunek wilgi, zwany Baltimore, żyjący w Ameryce, buduje gniazda rozmaicie i sto-

sownie do miejscowości, więcej lub mniej ciepło. W południowych Stanach Ameryki północnej, owo gniazdo zrobione jest wyłącznie ze mchu, ścianki są bardzo przewiewne dla łatwego dostępu powietrza. Wewnątrz niema ciepłego wysłania i gniazda obrócone są na zachód. W stanach północnych zaś przeciwnie. Wystawione są na działanie promieni słonecznych i wysłane materiałami najcieńszymi i najcieplejszymi. Gdy się zastanowimy głębiej nad powstawaniem podwójnych gniazd tkaczów, gdzie samiec buduje sobie obok samiczki „przybytek rozkoszy“, w którym śpiewa, aby ją bawić — mimowoli nasuwa się pytanie, czy te dwa gniazda, budowane może ongi na jednej gałęzi, powoli, zbliżając się do siebie z pokolenia w pokolenie, nie utworzyły takiego typu, jakiego jest obecne gniazdo o dwu komorach?! A patrząc na gniazdo czapli afrykańskiej, które złożone jest aż z trzech komór oddzielnych i tak trwałych, że mogą wytrzymać ciężar człowieka, nie można wierzyć nawet, aby ta przemądra budowla wyłoniła się z głowy jednego ptaka. Ona się musiała wznosić i udoskonalać stopniowo, przez długie pokolenia.

Im częściej znoszone są jaja, to jest, w czym szybszym tempie przybywają nowe pisklata — tem prędzej przechodzą z jednego pokolenia na drugie wskazówki, rezultat nabytego doświadczenia, a tem mocniej się one utrwalają, im dłużej malcy zostają w towarzystwie rodziców i dorosłych. Gdy jednak młode stają się na tyle silne, że mogą sobie same szukać pożywienia, oraz tak już roztropne, że przyswoiły sobie i praktyczne zastosowują wskazówki, otrzymane od rodziców — rodzice odsuwają się od nich stopniowo. I wtedy to, tak z potrzeby bezpieczeństwa, jak z popędu, bardzo silnego u zwierząt, do życia towarzyskiego — młode skupiają się w gromady. Gdyż, o ile społeczeństwo małżeńskie trwa przez całe życie jego członków, społeczeństwo rodzinne ogranicza się zwykle do jednego roku; tylko u kurek wodnych, grupa rodzinna obejmuje dwa pokolenia piskląt. Po okresie dzieciństwa i życia rodzinnego — rodzinę zwierzęcą pochłania społeczeństwo wyższego rzędu — utworzone przez wiele grup połączonych.

Żadna istota żyjąca nie jest samotną. Zwierzęta, szczególnie, utrzymują wielorakie stosunki z istotami, które je otaczają, nei mówiąc już o tych, które pozostają w ciągłym obcowaniu z podobnymi sobie, prawie wszystkie one podlegają życiowej konieczności zawierania, bodajby na krótką chwilę, ścisłej spójni z jakimś innym osobnikiem swego gatunku.

(c. d. n.)



ŻADANIE GRECZYNEK.

„Związek Narodowy Kobiet Greckich“, organizacja, skupiająca w sobie olbrzymi procent inteligentnych i uświadomionych społecznie Greczynek, wystąpił z petycją do rządu, w której wymienia wszystkie postulaty społeczne, narodowe i polityczne kobiet greckich. Na pierwszym miejscu znajduje się protest przeciwko zamierzonej przez rząd grecki redukcji bud-

żetu oświatowego. Związek podkreśla w tym proteście niezmiernie doniosłą rolę oświaty elementarnej i wyraża obawę, aby ta redukcja nie odbiła się ujemnie na ilości szkół ludowych, których brak i tak już dotkliwie odczuć się daje w Grecji. „W imieniu wszystkich matek greckich — brzmią słowa owego memoriału — protestujemy uroczyście przeciwko zamierzonej redukcji naszego budżetu oświatowego. Żadamy, aby dzieci nasze miały zapewnioną sobie możliwość odebra-

nia wykształcenia elementarnego, bez którego nie mogą stać się rozumnymi, uświadomionymi i prawdziwie kraj swój miłującymi obywatelami państwa". Żądanie to poparł również swą rezolucją Międzynarodowy Związek Równouprawnienia Kobiet na swym ostatnim kongresie w Paryżu.

LOTNICTWO, JAKO POLE PRACY DLA KOBIEC.

Niedawno odbyło się dziesiąte posiedzenie doroczne Międzynarodowej Komisji Lotniczej, w której brali udział przedstawiciele dwudziestu państw. Pośród rezolucji, uchwalonych przez tę komisję, znajdował się także wniosek, przemawiający za dopuszczeniem kobiet do wykonywania zawodu lotniczego na równych prawach z mężczyznami. W szczególności wypowiedziała się komisja za zezwoleniem kobietom na sterowanie samolotami i zeppelinami, przeznaczonymi do użytku pasażarskiego, podkreślając, iż kobiety nie ustępują bynajmniej mężczyznom w sprawności technicznej, odwadze, ostrożności i przezorności, wobec czego pasażerowie, chcący korzystać z lokomocji powietrznej, nie byłiby z pewnością narażeni na żadne niebezpieczeństwo, gdyby u steru samolotu, zamiast lotnika, zasiadła wykwalifikowana lotniczka.

TRIUMF SZWEDKI.

Równouprawnienie kobiet jest już w Szwecji reformą dokonaną oddawna i nie dziwi tam nikogo fakt, że najwyższe i najodpowiedzialniejsze nawet stanowiska rozdzielane bywają nie podług kryterium: do jakiej płci należy dana osoba, lecz podług jej osobistych uzdolnień. Pismo kobiece szwedzkie „Hertha“ donosi o nowym triumfie kobiecym na polu lekarskim: przed kilku tygodniami zawakowała posada naczelnego kierownika szpitala w Malmö — jednego z największych i najwspanialej urządzonych szpitali w całym państwie szwedzkim. O stanowisko to ubiegał się bardzo liczny zastęp najwybitniejszych lekarzy szwedzkich, otrzymała je jednak kobieta, Dr. Greta Muhl, której kwalifikacje osobiste i zawodowe uznane zostały przez komisję konkursową za najwyższe z pośród wszystkich innych, zgłaszających się kandydatów.

ENERGICZNA GUBERNATORKA.

„The Woman's Leader“ podaje wiadomość o niezmiernie energicznej i zaciętej kampanii wyborczej, toczącej przez obecną gubernatorkę Texasu, zwaną popularnie przez mieszkańców tego Stanu „Mamą Ferguson“. Pani Ferguson, której okres rządów już się kończy w tym roku, postanowiła kandydować na gubernatorkę na następne trzy lata. Współzawodnikiem jej jest niejaki pan Daniel Moody, piastujący obecnie godność najwyższego prokuratora Stanu Texas. W płomiennej odezwie wyborczej, wydanej przez siebie, pani Ferguson zapowiada, że „nie da się zbić z tropu żadnymi pogrozkami, nie będzie się lekła żadnych przeszkód, a jeśli jej konkurent spróbuje obrzucić ją błotem — ona potrafi znaleźć kamienie, by na te pociski odpowiedzieć“. Podobno opinia publiczna odnosi się naogół z dużą sympatią do „Mamy Ferguson“, ma więc ona duże szanse zwycięstwa i przy tych wyborach.

„ZWIĄZEK PRZECIWKO SKAPSTWU“.

We Francji zawiązany został oryginalny związek kobiecy pod nazwą: „Bratnie Stowarzyszenie Kobiet w celu walki ze skapstwem“. Celem tego stowarzy-

szczenia jest — jak głosi jego statut — ochrona kobiet zameżnych, prowadzących gospodarstwo domowe, przed skapstwem mężów, którzy, jak się to często zdarza we Francji, odmawiają żonom swym dostatecznych środków na prowadzenie domu, wychowanie dzieci oraz własne potrzeby materialne i kulturalne. Związek rozpoczął energiczną propagandę w Paryżu i na prowincji drogą wieców publicznych, odczytów etc. Jednym z postulatów związku jest dążenie do wprowadzenia we Francji prawa obowiązującego już w Szwecji i Norwegii, na mocy którego mąż jest obowiązany wypłacać żonie na utrzymanie domu i osobiste jej potrzeby kwotę w wysokości określonej przez władze, a zależnej od jego stanowiska społecznego i zarobków.

SŁUŻACE — PRZYCZYNA ROZWODÓW.

Statystyka rozwodowych spraw w Anglii wykazuje, że w ciągu roku 1925 dwanaście tysięcy rozwodów udzielonych było z powodu... służących. Leniwość, brak fachowego obozowania się ze swą pracą lub niedbałość sług angielskich stawała się przyczyną ciągłych nieporozumień pomiędzy małżonkami, mąż bowiem, wracając do domu po ciężkiej, nieraz całodziennej pracy, i zastając swój pokój źle sprzątnięty, obiad niesmacznie przyrządzony, bielizna nienaprawiona, lub niedbale uprana i t. d. — wpadał oczywiście w gniew i robił wymówki żonie, która, zajęta pracą zawodową lub wychowywaniem dzieci, nie miała czasu na dopilnowanie tych szczegółów gospodarczych. Stąd wynikały coraz częstsze nieporozumienia między małżeństwem, wzajemne żale i swary, które kończyły się wreszcie — u sędziego do spraw rozwodowych. Tak więc znany kryzys służby domowej w Anglii, poza wszystkimi innymi swymi opłakanymi skutkami, stał się jeszcze przyczyną rozerwania wielu małżeństw.

„DEKALOG ZDROWIA“.

Jeden z wybitnych lekarzy-higienistów angielskich ogłasza następujące „Dziesięcioro przykazań“ dla ludzi, chcących zachować dobre i czyste zdrowie aż do najpóźniejszej starości:

1. Ubić się tak i utrzymuj w twoim mieszkaniu taką temperaturę, aby ci nigdy nie było zimno.
2. Jedz powoli i o regularnych godzinach dnia.
3. Dbaj o prawidłowe funkcjonowanie żołądka.
4. Zachowuj jaknajskrupulatniejszą czystość ciała.
5. Używaj jak możesz najwięcej świeżego powietrza i słońca.
6. Śpij jak możesz najdłużej, w każdym razie nie mniej, niż osiem godzin dziennie.
7. Nie przejmuj się nigdy rzeczami małej wagi i nie bądź upartym w drobnostkach.
8. Staraj się być zawsze pogodnym, uprzejmym dla wszystkich i wyrozumiałym.
9. Bądź odpornym na swoje własne kłopoty, a do cudzych spraw się nie wtrącaj, chyba wtedy tylko, aby komuś dopomóc.
10. Nie rób nigdy długów.

W tym dekalogu zawarta jest cała tajemnica zdrowia ludzkiego. Jeśliby mi ktoś zarzucił, że więcej w nim jest przestróg moralnych, niż higienicznych, odpowiem mu na to, że strona duchowa człowieka oddziałuje daleko głębiej i silniej, niż przypuszczamy, na jego stronę fizyczną. Pogoda i dobry humor, odporność na życiowe przykrości, oraz to, co nazywać zwykliśmy „spokojnym sumieniem“ — są to wszystko

warunki dobrego zdrowia niemniej ważne i istotne, niż ściśle przestrzeganie higienicznego trybu życia. Każdemu z moich pacjentów polecam — zamiast recepty — zapamiętanie sobie następującej maksymy:

„W każdej chwili twego życia — od kolebki aż do grobu — otrzymujesz, zarówno świadomie jak i bez twojej świadomości, niezliczone mnóstwo darów od Boga. Pomyśl tylko, że przyjdzie wreszcie czas na zbilansowanie tego obrachunku, a wtedy jak się będzie przedstawiało twoje konto względem Boga?“

MILCZĄCA EWA“.

Wiek nasz jest epoką zmierzchu wszystkich legend. Coraz to któryś z badaczy i uczonych współczesnych występuje do walki z jakimś utartym poglądem, czy zakorzenieniem, i, zbrojny w erudycję wiedzy, wykazuje nam, że to, co uważaliśmy dotychczas za pewnik nieulegający kwestji, opiera się jedynie na złudzeniu.

Taką „burzycielką legend“ jest młoda literatka francuska, pani Izabela Sandy, autorka kilku zajmujących utworów powieściowych, osnutych na tle życia wieśniaków pirenejskich. W odczycie swoim, wygłoszonym niedawno w Paryżu przed bardzo liczny gronem publiczności, pani Sandy usiłowała dowieść, że ogólnie rozpowszechnione mniemanie o wielomówności kobiet jest tylko na niczem nie opartą złośliwą plotką. Wymownymi są i zawsze byli właśnie mężczyźni, którzy zawsze rezerwowali sobie zazdrośnie prawo głosu, kobiecie zaś kazali milczeć, i to nie tylko w kościele, jak chce Święty Paweł, (a przeciwko czemu już protestują feministki angielskie, domagając się dla kobiet prawa objaśniania Pisma Św. w anglikańskich kościołach). Milczenie było nakazane kobiecie

w ubiegłych wiekach zarówno we wszystkich sprawach publicznych, jak i prywatnych. Wielu prawodawców zabraniało jej nawet odzywać się w towarzystwie mężczyzn, jeśli zaś pozwalano jej to czynić, powinna była zabierać głos „skromnie, w cichych, łagodnych i krótkich słowach“.

„Trudno zaprzeczyć — mówiła dalej mówczyni — że w wieku swobody indywidualnej i proklamacji „praw człowieka“ kobiety usiłowały może czasami zbyt gorliwie wynagrodzić sobie długie lata przymusowego milczenia. Czyż można jednak dziwić się więźniowi, wypuszczonemu na wolność, że swobody swej nadużywa on zrazu trochę?“ Pani Sandy radzi kobietom francuskim jaknajprędzej opanować w sobie owe cechy, będące śladami dawnej niewoli. „Niechże już nie spotykamy się z zarzutem, że kobieta więcej mówi, niż myśli. Wróćmy — tym razem dobrowolnie — do dawnego milczenia. Znajdziemy w niem lekarstwo na dzisiejszą tak rozpowszechnioną neurastenję, z czerpnijemy z niego siły do życia, odnajdziemy w sobie tą drogą wewnętrznego skupienia myśli dawne szlachetne, czyste i ofiarne uczucie kobiety-matki, kobiety-ofiarnicy z własnego życia i szczęścia dla dobra innych“.

Na zakończenie swej konferencji stwierdziła pani Sandy, że Francuzi są również niesłusznie uważani przez inne narody za gadatliwych. Zamiłowanie do życia gorączkowego, rozproszonego i szarpiącego nerwy, zostało wprowadzone do Francji przez cudzoziemców. Rolą kobiety francuskiej jest właśnie dążyć do oczyszczenia psychiki współczesnej Francji z tych zgubnych i obcych duchowi francuskiemu naleciałości. Mówczyni zakończyła swój odczyt, oklaskiwany entuzjastycznie, okrzykiem: „Ewo! wróć do twego milczenia!“

Z. B.



UBRANIE KOBIECE POD KONTROLĄ PAŃSTWOWĄ.

W obecnych czasach, więcej niż kiedykolwiek dawniej, zwraca się uwagę na ubranie kobiece. Każdy chciałby wtrącić jakieś słówko w tej kwestji. Lekarze wszystkich krajów ogłaszają uczone rozprawy na temat, czy ta lub inna część ubrania jest higieniczna, albo też nie. O wartościach zdrowotnych tej albo innej materji, o wpływie amerykańskich, czy też francuskich obcasów na stopy, na nos i nogi — pisze się bez końca.

Sfery duchowe wypowiadają się znowuż w kwestji ujemnego wpływu na moralność społeczeństwa powojennego, wywieranego przez suknie bez rękawów, głębokie dekolty, krótkie spódniczki i cielistego koloru pończoszki. Aż wreszcie i rządy poczęły się wdawać w tę sprawę.

Głośne na całą Europę były zakazy noszenia krótkich sukienek w Grecji. Stróżowie porządku publicznego mieli nawet instrukcje karania i aresztowania upartych i niepoprawnych Greczynek za noszenie sukienek za kolanka.

We Francji znowu powstał projekt stworzenia Państwowej Akademji Mody, która ma wypracować przepisy, jak się kobietom wolno i niewolno ubierać.

Nawet dalej — co kobiety powinny nosić.

Nowa ta akademja, mająca nosić nazwę „Academie Francaise des Arts de la Parure“ ma być szóstym wydziałem przy „Institut de France“. Akademja ma liczyć 40 członków, mężczyzn i kobiet, po raz pierwszy mianowanych na urząd ten przez Ministerstwo Oświaty.

Kandydatami na członków tej akademji mają być znani malarze, rzeźbiarze, wybitni krawcy damscy, krawcowe, artystki sceniczne, znane ze swej elegancji i dobrego smaku, oraz wytwornie ubierające się kobiety z towarzystwa.

Wspólne i zgodne orzeczenia tych wszystkich osobistości miałyby być miarodajnym dla długości lub krótkości spódniczek, dla kwestji noszenia rękawów, głębokich dekoltów, kolorów tych lub innych.

Członkowie i członkinie akademji mają również rozstrzygać w kwestjach obuwia, pończoch i wogóle wszelkich szczegółów damskiej garderoby.

Co jednak na to powiedzą kobiety?

Czy zechcą istotnie poddać się dyktaturze panów i pań z akademji? Jeżeli akademja kierować będzie dobry gust — należałoby tej dyktaturze przyklasnąć.



697.

698.

699.

700.



201.

202.

203.

204.



705.

706.

707.

708.



709

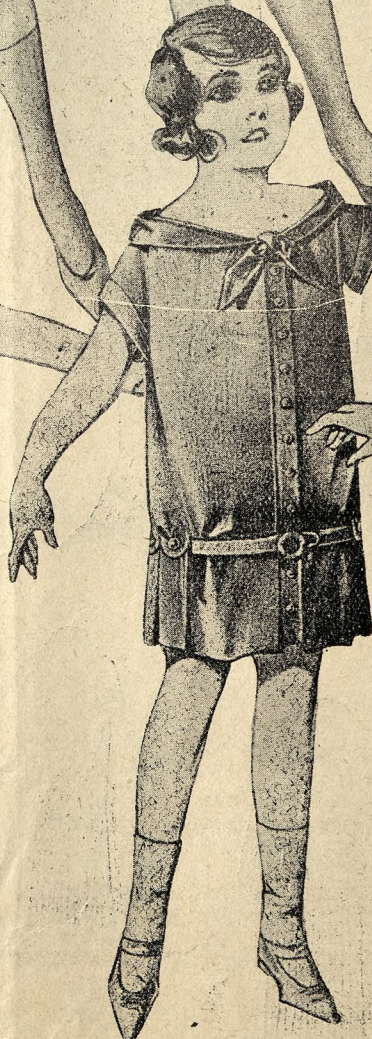
710



711



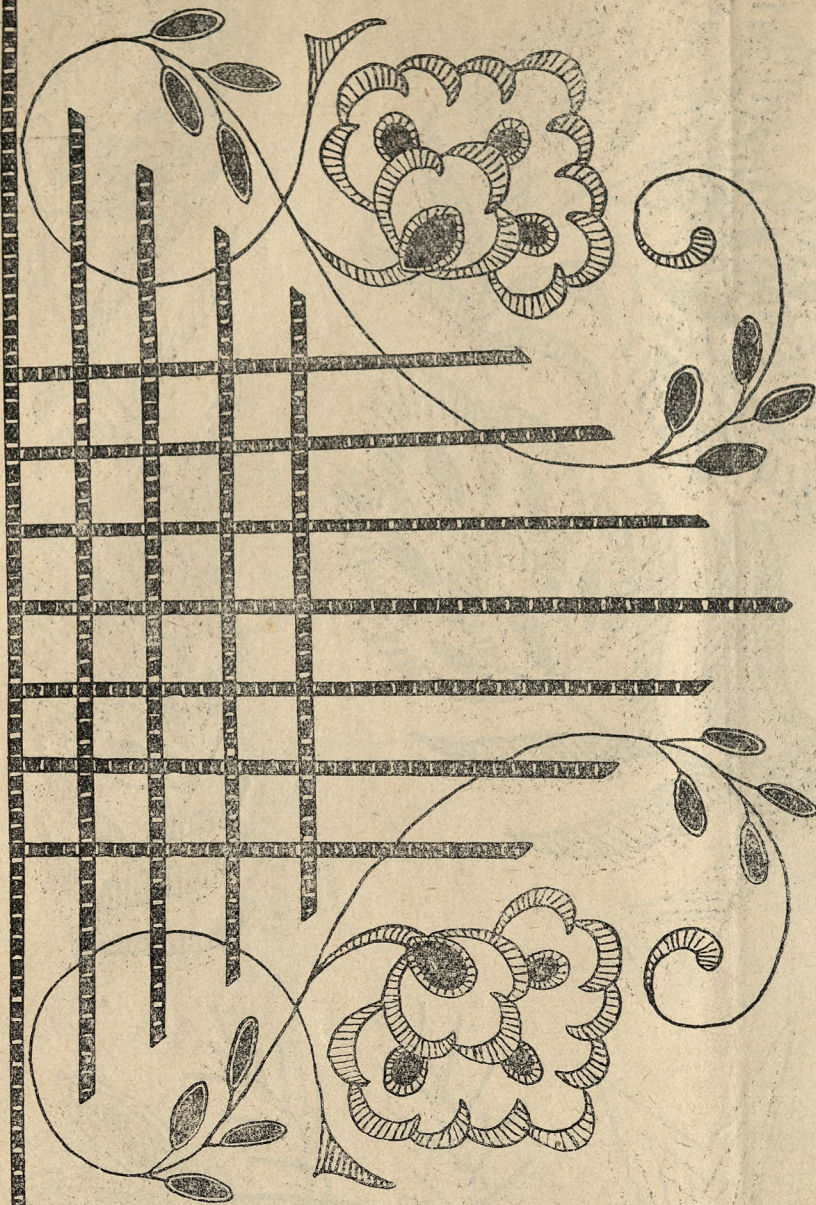
712



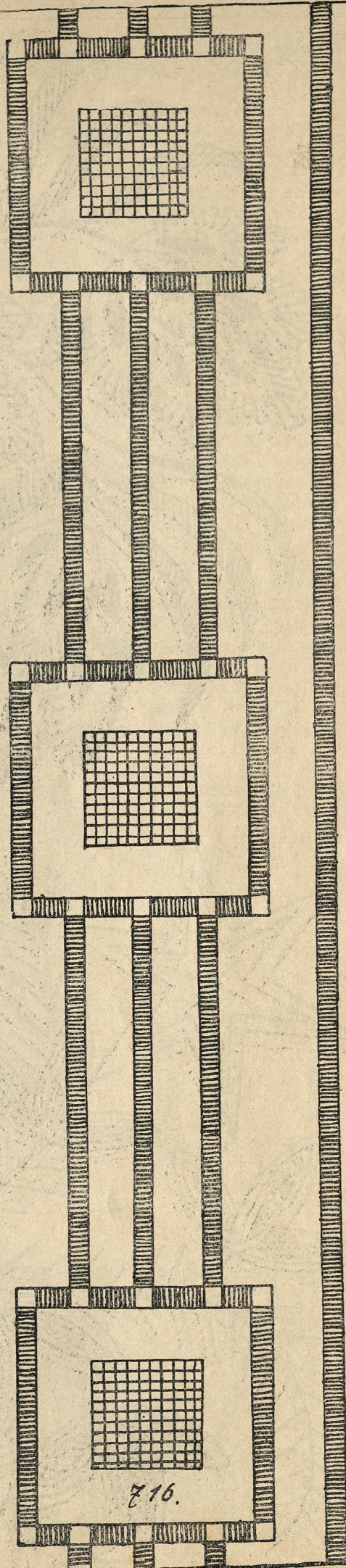
713



714



715.



716.



717.



JUMPER SZYDEŁKOWY WYSZYWANY JEDWABIEM.



Rys. 1.

Sliczny jumperek, wyszywany jedwabiem na tle szydełkowej siatki. Aby go wyszyć, trzeba tylko ciągle powtarzać deseń Nr. 3, który w zmniejszeniu dajemy, zmieniając kolory według upodobania. Wyszywając na jasnym, na przykład, kremowym spodzie kolorami ponsowym i granatowym na przemian, otrzymamy jumper w stylu ludowym. Na tłach obojętnych kwiaty i liście w kolorach złotym i zielonym, niebieskim i złotym, rdzawym i czarnym i t. p. pięknie odbijać będą. Pasy powtarza się po kilka razy wzdłuż, w dowolnych odstępach, stosownie do szerokości jumpra. Na jumper potrzebujemy na siatkę 100 gr. jedwabiu niekręconego i 150 krętego

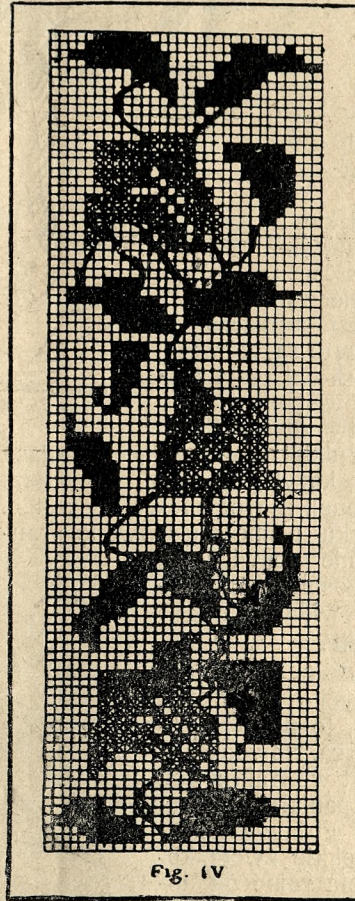
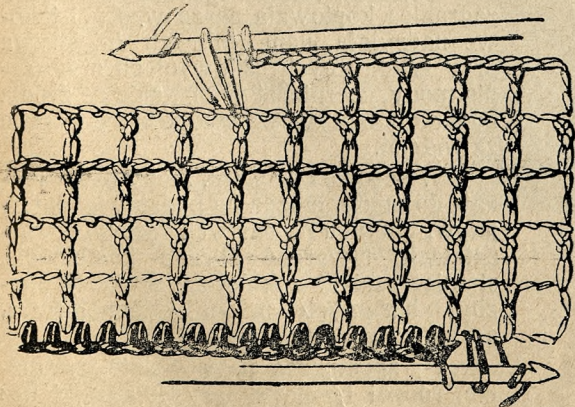


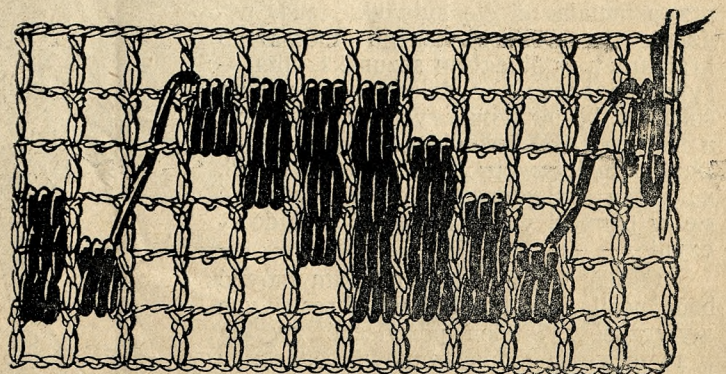
Fig. 1V

Rys. 3.

na poszycie, i szydełka celuloidowego, 2 milimetry średnicy mającego. Zaczyna się robotę, jak zwykle od dołu na podstawie 235 oczek łańcuszkowych plus 3 oczka na zakręcie. Następnie rys. Nr. 4 robi się całą długość potrzebną podług miary, dodając dowolną ilość kratek na rękawki, i nie zapominając z o s t a w i ć przynajmniej 36 krutek luźnych na szyję (rys. Nr. 4). Zarobiwszy cały potrzebny kawałek, który po wyszyciu złożymy na pół i zeszyjemy w bokach, aby uformować jumper, wszywamy w krośna i wyszywamy całość w pasy, jak wyżej wskazana. Wykrój szyi i rękawki obrabiamy rzędem ścisłych oczek (rys. Nr. 5), jednym z kolorów, użytych do wyszywania.



Rys. 4.



Rys. 2.

SMOKINGI, A PASIAKI.

Jak łatwo przeciągnąć strunę ślepego hołdowania modzie i poddawania się jej zaborczym prądom, świadczy ironja, z jaką ogół odnosi się we Francji do ekscentrycznej mody smokingów.

W pierwszych przejawach swoich dyskretny i do kostiumu damskiego zbliżony, prędko przyjął cechy anormalne, a zatracił charakter swój spokojny i wykwinny.

Sztywne gorsy, stojące kołnierzyki, mankiety i krawaty o czysto męskim typie, nadać mu miały piętno swoiste, a tak chętnie przez zblazowane i żądne sensacji adeptki, w ostatnich czasach podkreślane.

Rażące szczegóły, jakie ośmieszyły smoking damski, wykwitły z tego samego szczepu, co koszulka nocna, chemisier zwana, co krótko, zbyt krótko strzyżona i wdzięcznej linii pozbawiona główka, o włosach gładziutko do skroni przyklepionych — ze szczepu niezdrowej przesady.

Pisma francuskie stwierdzają fiasco smokingów — idą nawet dalej, ośmieszając hołdującą tej modzie pleć piękną, karykaturalnymi rysunkami o doskonale wyjaskrawionej, a groteskowej sylwetce.

Mam właśnie w ręku pismo ilustrowane francuskie, otwarte na stronie poświęconej nie tyle smokingowi, ile ośmieszeniu nowych prądów. U góry widnieje napis:

Et pourquoi pas l'habit?
(Dlaczego nie frak?),

niżej szereg doskonałych rysunków, z których najudatniejszy, to para nowożeńców, krocząca do ołtarza. Nowoczesna oblubienica przybrana jest we frak, z pod którego sływa długi wspaniały tren, na głowie cylinder strojny, girlanda kwiatów, przytrzymujących lekkie zwoje koronkowego welonu, dokoła roino od doskonale uchwyconych figurek, z których każda rzuca się w oczy jakimś szczegółem zbliżonym do rzeczywistości.

Patrząc na te karykaturalne rysunki, przypomniała mi się sylwetka inna, widziana na tle rozkosznego morską krajobrazu w ubiegłym sezonie letnim — sylwetka barwna, wdzięczna. nierównie śmielsza, bo od typu i rysunku uznanych, a modnych daleko odbiegająca, a jednak bez najmniejszych cech groteskowości, sylwetka zasługująca na to, aby zapisać się w pamięci widza i znaleźć naśladowczynię.

Osoba, która strój, o jakim mówić będą, nosiła, parotygodniowy okres swych wywczasów letnich poświęcać zwykła prawdziwemu odpoczynkowi, opartemu na swobodnym obcowaniu z naturą. Chcąc wyzwolić się z pod tyranji mod-



Karykatury rysowane przez Karola Martin (Femina).



nych gałganków i starań, jakich ciągle ich odświeżanie, a przywdziewanie wymaga, daleka jednak a bnegacji i dbała o wdzięczną całość, za punkt wyjścia wzięła sobie nasze swojskie pasiaki, stwarzając na ich podstawie strój ładny, oryginalny i wysoce praktyczny.

Z pasiaków, wykonanych w Skierniewickich warsztatach, podług specjalnego doboru kolorów w tonie, dalekim od jaskrawości, zrobiona była spódnica i rodzaj kaftana — kamizelki, bez rękawów, na rząd drobnych barwnych guziczków spiętej, i tasiemką lamowanej, a na prostą białą bluzkę z długimi, w pasek zamiast mankieta wszytymi rękawami narzuconej. Stroju dopełniała tak zwana zapaska, z misternie tkanego w wymyślne desenie staroławickiego wełniaka o ślicznym doborze kolorów i cechach prawdziwego artyzmu. Na nogach pantofle z wązkich paszków skóry plecione, typem sandałów pokrewne i doskonale od całości dopasowane.

Na plaży i w lesie, na werańdzie domu kuracyjnego, na pomoście statku wycieczkowego, wszędzie strój ten zwracał uwagę i ciągnął oczy, odznaczał się przytem podziwu godną odpornością na słotę, co przy częstych, a niespodziewanych deszczach, jakie na naszym padają wybrzeżu, było nieocenionem.

Widziałam kiedyś grupę spłoszonych deszczem z plaży osób — wszyscy przemokli do nitki, zanim pod dach skryć się zdołali, jeden tylko strój, o którym mowa okazał się na wysokości. Wełniaki strażnięte z kropel deszczu suche były i niczem gumowana tkanina nieprzepuszczalne, a świeżość stroju nienaruszona.

Dzisiaj dopiero, kiedy nadeszły nam z Francji materiały letnie o motywach, wzorowanych na nagrodzonych w ubiegłym roku w Paryżu pasiakach, spotyka się czasem suknie typem swojskie, a śliczne. Czy nie jest to jednak ironja, aby zagranica kopiowała nasze wzory i takowe nadsyłała nam, których inicjatywa przy tyloktrotnych usiłowaniach stworzenia mody, czerpiącej natchnienie ze źródła bogatych motywów swojskich — stale zawodziła.

W sezonie obecnym, kiedy pasy wracają do mody, można na podstawie materiałów, tkanych na naszych ręcznych warsztatach, stwarzać śliczne kombinacje, stalując pasiaki w kolorach modnych, niezbyt barwnych n. p. jednokolorowe, a stopniowo cieniowane.

Na spódniczce pasy wzięte podłużnie, rodzaj jumper'a, czy kamizelki bez rękawów, znaczonych pasami poprzecz-

nymi, co składa się na najmłodniejszą kombinację, a przez lekko otwarty przód uwidoczniła biel skromnej bluzeczki żabotem wykończoną z surowego wykonanej jedwabiu. Kombinacja śliczna i niczem modzie nie uchybiająca.

Do tego rodzaju ubrania, pasowałyby noszone z takim zapalem przez najzagorzalsze adeptki mody woreczki ręcznie z rafji plecione i także kapelusze.

Ozdobą jednych, jak i drugich są barwne motywy o rysunku kwiatów, czy też owoców, lub liści wypukło rafją kolorową szyte. Proste to, a śliczne i do stroju letniego, do tła lasów, pól, błękitu morza, cie-

nistych szpalerów, wonnych kwiatnych grząd, łąk szmaragdowych — harmonijnie dostosowane. Ślicznie też dałyby się zastosować wobec mody peleryn i pelerynek nasze łowickie zapaski — w fałdy drobne ułożone, przez plecy i ramiona zarzucone, a na barwną wstążkę pod szyją związane. Chroniłyby one doskonale od wieczornych chłódów zarówno nad morzem, jak i w górach, gdzie w chwili zachodu słońca ostry powiew dreszczem przejmując.

Wesoła barwność tkanin bez zatracenia typu w kolorycie lekko zmodernizowanym, tworzyłaby w słońcu ciekawą plamę, o charakterze swoistym, a ładnym i nowym.



POLSKA WSPÓŁCZESNA.

VII.

STOSUNKI ANTROPOLOGICZNE.

(Rysunki wg. książki prof. Talko-Hryncewicza „Człowiek na ziemiach naszych“.)

Człowiek na ziemiach Polski pojawił się, jak to można sądzić z licznych w naszym kraju wykopalisk, jeszcze w okresie między-lodowcowym. Pierwsze ślady osiedli ludzkich, spotykane są na Podolu i Ukrainie, które jako wolne od lodów mogły wcześniej dać schronienie ludziom pierwotnym, zapewne stanowiącym element napływowy przybywający od stepów czarnogórskich. W trzecim tysiącleciu przed Chrystusem, rozwinęła się nawet na tych ziemiach dość wysoka kultura, nazwana od miejscowości w której odnaleziono liczne kurhany i wykopaliska z tych czasów, kulturą trypolską. Kultura ta upadła pod wpływem wędrowek ludów innej rasy, które coraz liczniej wlewały się od południa, przez stepy ukraińskie, na ziemie Polski.

Później, oprócz tych wędrowek, człowiek osiadły na ziemiach Polski podlegał wpływowi ludów przybywających z zachodu, a także ze Skandynawji.

Taki układ dziejów sprawił, że na ziemiach naszych spotyka się obecnie mieszaninę kilku typów fizycznych, znacznie się od siebie różniących i występujących w rozmaitych ilościach w róż-

nych częściach Polski. Uczeni, którzy zajmowali się badaniem budowy fizycznej mieszkańców Polski, a w szczególności, prof. J. Czekanowski i prof. Talko-Hryncewicz, doszli do wniosku, iż takich zasadniczych typów można u nas wyróżnić 4: typ prasłowiański, ciemnego blondyna, o jasno-piwnych oczach, niskiego wzrostu i pośredniogłowy*), — typ sarmacki, blondyna o oczach niebiesko-zielonych, wysokiego wzrostu, pośredniogłowy, — typ dynarski bruneta o oczach ciemnych, wzrostu wyżej-średniego, krótkogłowy i wreszcie, — typ północny, jasnego blondyna o niebieskich oczach, średniego wzrostu, długogłowy.

Typy te, dadzą się odszukać na całym obszarze Państwa. W jednych miejscach niektóre występują gęściej, inne rzadziej — w innych odwrotnie. Nigdzie nie spotykamy żadnego z nich bez domieszki innych. Prawie całe Królestwo Kongresowe i Wielkopolskę charakteryzuje przewaga typu prasłowiańskiego, z domieszką północnego. W Galicji przeważa również typ prasłowiański, lecz z dość silną domieszką dynarskiego. Na Li-



Włościanka z Wojew. Lwowskiego.

*) Określenie **pośredniogłowy** — odnosi się do budowy czaszki. — Czaszka **pośrednia** stanowi typ przejściowy pomiędzy czaszką, której oś pionowa znacznie przewyższa oś poziomą (**długogłowość**) a czaszką, której osie są niemal w równowadze (**krótkogłowość**).

twie dominuje typ sarmacki, a dodatkowy stanowi prasłowiański. Wreszcie na Białej Rusi i na Polesiu najczęstszym jest typ prasłowiański, a na drugim miejscu stoi typ sarmacki.

Nie wiele różnią się od siebie, w poszczególnych okolicach, pod względem budowy fizycznej i ludzkiej i szlachta. Znać tutaj wybitną wspólność rasową, czego nie można powiedzieć o wszystkich społeczeństwach zachodniej Europy. Tak więc w Polsce warstwa możnych, zwana „nobiles” po łacinie, była warstwą napływową, obcą, przybywającą z zewnątrz.

Oprócz tych typów antropologicznych właściwych ludności autochtonicznej***) ziem kraju kilka typów



Ślązaczka.

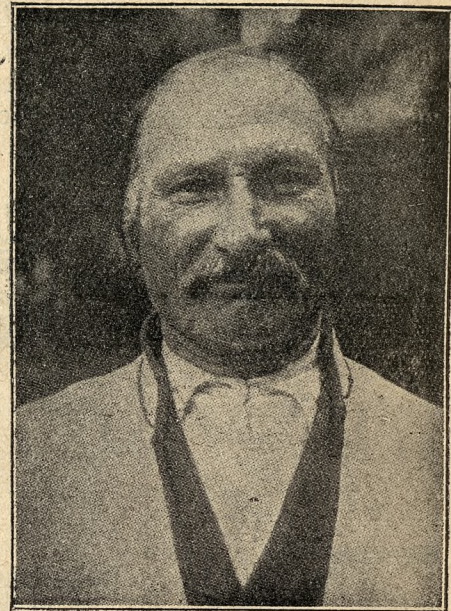
polskich, spotykamy w naszym kraju kilka typów odrębnych, będących napływowymi w stosunku do urobionej już w sposób opisany masy ludności, i pochodzących od przybyszów z czasów historycznych.

Najważniejszym znanym z pośród tych typów odrębnych jest typ żydowski. Żydzi przybyli do Polski dwoma drogami — z zachodu i ze wschodu, przez Krym i Kaukaz. To też występują w Polsce, jak i w całej reszcie Europy, dwa wyraźne typy między Żydami. Oba one odznaczają się krótkogłowością, ale gdy jeden, brunet, o ciemnych oczach niewielkiego wzrostu, występuje częściej na południu Polski — to drugi ciemno blondyn (szatyn, rudy), o oczach piwnych lub zielono-niebieskich o wzroście

**) Autochtoniczna ludność, — ludność od wieków osiadła, pierwotna.

średnim — charakterystyczny jest dla Żydów z Litwy i z północnego Królestwa Kongresowego. Naogół Żydzi są niżsi od ludności odrębnej, mają węższą budowę ciała, a w twarzy i w całej postaci, posiadają pewne cechy, im tylko właściwe, trudne do określenia, a jednak wyróżniające od razu typ żydowski. Żydzi osiedlali się po miastach i tworzyli odrębne gminy.

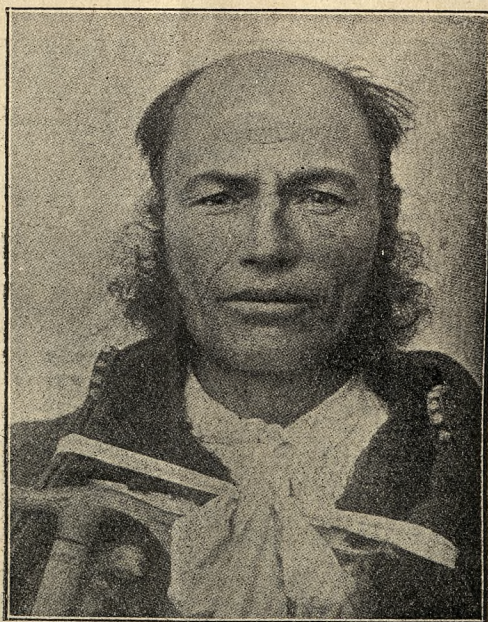
Odmianę typu żydowskiego stanowi typ karański. Karaimowie przybyli do Polski z Krymu, później niż Żydzi. Typ ciemny jest wśród nich wybitniejszym niż u Żydów. Częściej występują także osobniki pośredniogłowe. Karańmi



Włościanin z pod Krakowa.

nie posiadają przytem owych charakterystycznych dla Żydów, wyodrębniających od otoczenia, cech fizycznych. Osobny typ stanowią wreszcie zamieszkali na Wilenszczyźnie i w Województwie Nowogródzkim tatarzy, czyli muśnimowie. Pochodzą oni do jeńców Witoldowych sprowadzonych i osadzonych na Litwie w XV. wieku. Tatarzy Litewscy²⁾ zatracił czysty typ mongolski¹⁾ w ustawicznych mieszaniach z ludnością rdzenną³⁾. Występuje on jednak z rzadka i dzisiaj jaszczce, a odznacza się krótkogłowością ciemnym ubarwieniem włosów i skośnie osadzone czarnymi oczyma.

Wreszcie należałoby wspomnieć o kolonizacji wsi polskiej na prawie niemieckim, która w XII i XIII wieku wprowadziła do Polski osadników z Flandrii i z Niemiec z okolic nadreńskich.



Góral tatrzański.



PRZEMYSŁ LUDOWY NA WOŁYNIU.

Garncarstwo.

Stosami rzucone na podłogę żydowskich sklepów w Łucku, naczynia gliniane o szlachetnych liniach, niby prastare popielnice, czy łzawnice pomarłych ludów, zwróciły moją uwagę. Zaczęłam dopytywać o ten archaiczny przemysł ludowy, obserwować, a oto garść informacji o nim.

Początkiem swoim sięgający z pewnością epok przedhistorycznych, pozostał na tym samym stopniu rozwoju, na jakim był przed tysiącami lat, i z tego już powodu stanowi zjawisko niezmiernie interesujące. Gdy zbliżamy się do pieca garncarza, to tak, jakby nas przeniesiono nagle w przeszłość, zmierzchem dziejowym osłonięta, niezapisana jeszcze w żadnej kronice, epokę ludzi pierwotnych. To tak samo wyglądało wtedy. Czemże bo jest taki piec? Sklepienie nadziejne niewysokie, zrobione z cegieł, ze starych czerepów i oblepione od wewnątrz i od zewnątrz gliną. Wewnątrz przegroda na ustawianie naczyń, a pod przegrodą wykopane w ziemi palenisko. Instrumentem niezbędnym dla garncarza jest „koło garncarskie“, rzecz, która się prawie nie zużywa, przechodzi więc z ojca na syna, i niektóre z tych narzędzi są naprawdę bardzo dawnego pochodzenia. Zresztą potrafi je zrobić każdy garncarz sam, albo robi mu je bednarz wiejski. Garncarze, produkujący naczynia polewane, używają nadto prastarej konstrukcji żaren do mieleńia, t. zw. „glejtu“, i farb, które kupują w żydowskich sklepikach prowincjonalnych miasteczek. A poza tem — ułamek starej kosy, kawałek drutu, polano (druzak) do rozrabiania gliny, drzazga zaostrzona do postrugiwania surowego naczynia, kwacz do malowania, różek do farby, szpilki do rysowania — oto cały prymitywny niezmiernie sprzęt garncarski.

Forma produkcji jednoosobowa przeważnie, czasem familijna, nie ma również nic wspólnego ze współczesnymi formami pracy. Tylko w Ostrogu posługują się garncarze najętymi robotnikami. W innych stronach garncarz nie przyjmuje nawet obcego ucznia. Synowi tylko lub zięciowi przekazuje tajemnice sztuki.

Bardzo ciekawe i archaiczne są metody zbytu. W detalicznej sprzedaży występuje często forma handlu zamiennego. Za pełen garnek zboża daje garncarz nowy garnek. Garncarze rozwozą swój towar po jarmarkach i odpustach, a gdy nie rozprzedadzą, a potrzebują gotówki, zbywają go hurtem żydowskim kupcom. Wtedy sprzedaje się na „sztuki“, ale ta „sztuka“ — to bynajmniej nie pojedyncze naczynie, to wiązka kilku naczyń, złączonych drutem, a tak dobranych, że każda wiązka równa jest wartością drugiej.

Obyczaje te, uprawiane przez wszystkich garncarzy Wołynia, dowodzą, pradawnego i wspólnego źródła tutejszego przemysłu garncarskiego.

O początku i przeszłości garncarstwa nie dochowała się żadna tradycja. Na pytanie w tym kierunku odpowiadają garncarze, że „zdawien dawna“, że „z dziada pradziada“, zajmują się tym przemysłem, Oto wszystko! Istnieją jednak dokumenty, świadczące, że w 1724 r. we wsi Surażu ufundowany został cech garncarski. Dawna organizacja pracy brała więc ten przemysł w swoją opiekę. Dzisiejsza nie wie, co z nim począć i zostawia go niejako poza nawiasem współczesnego życia, jako zabytek przeszłości, skazany na zagładę.

Praca garncarska odbywa się w chałupach; przeznaczona się na nią część osobna, gdyż mieszkać niepodobna tam, gdzie leży mokra, rozrobiona glina. Tam schną także naczynia przygotowane do wypalenia, tam jest skład gotowego już towaru. Czasem wyjątkowo, jakaś przybudówka, czy osobna komora, mieści warsztat pracy. W garncarstwie pracują wyłącznie mężczyźni. Słyszałem tylko o jednej kobiecie, gdzieś w okolicach Ostroga, która, wyjątkowo, oddaje się temu zajęciu. Na wyrób naczyń swoich używają garncarze, zwyczajnej „pstrej“ gliny, czasem z domieszką piasku dla trwałości. Są, wprawdzie na Wołyniu i białe glinki (kaoliny), odpowiednie do wyrobu fajansu i porcelany, ale tych garncarze nie umieją używać. Wymagają one, bowiem, wyższej temperatury, niż może wytworzyć ich prymitywny piec. Białe glinki stosują tylko do polewy. Glinę albo posiadają na własnym gruncie, albo wydzierżwiają jej kopalnie na gruntach dworskich, lub rządowych. Pokłady gliny są najczęściej na powierzchni, i wtedy kopie się zwyczajne „doły“. Gdy pokład jest głębiej położony, trzeba budować t. zw. „szachty“, ocembrowane drzewem. Przygotowanie gliny do wyrobu naczyń, polega na oczyszczeniu jej z kamyków, szczątków roślinnych i t. p. oraz na rozmięknięciu wodą i wyrobieniu na jednolitą, lepłą masę. Dokonywa się tego za pomocą wody, strugania gliny kosą lub drutem, deptania nogami, walenia drażkiem, lub polaniem. Cały ten proces wymaga 2 miesięcy czasu. Potem następuje czynność wyrabiania naczyń i wypalania. Na każde wypalanie wystarczy naczyń z jednej fury gliny. Wypala się 2 — 3 razy w ciągu roku, wyjątkowo — 4 razy. Okresem najintensywniejszym pracy w garncarstwie są miesiące marzec i kwiecień. Tylko w Ostrogu i okolicy pracuje się cały rok.

Piece bywają wspólną własnością (do 10 wspólników). Dzieje się tak, że jeden z garncarzy zajęty jest wyrabianiem swoich naczyń, gdy drugi już wypala, i w ten sposób kolejno. Każdy garncarz po wypaleniu obowiązany jest do remontu pieca. Remont polega na wylepieniu go z zewnątrz i z wewnątrz gliną. Tylko w Ostrogu każdy garncarz ma swój piec.

Bardziej skomplikowanym procesem jest wyrób naczyń polewanych i malowanych. Te trzeba wypalać poraz drugi. Na polewy używa się t. zw. „glejtu“. Do naczyń z dwóch fur gliny wystarcza pud glejtu (40 ros. funtów) Do barwienia polewy używa się białej i czerwonej gliny, miedzi i t. zw. „bronsztejnu“; do malowania służą farby, kupione w mieście, mieszane również z białą i czerwoną gliną, miedzią i „bronsztejnem“. Takie naczynia wyrabia tylko 68 garncarzy.

Wszystkie wyroby garncarskie podzielić można na trzy grupy: 1) zwyczajne, 2) polewane, 3) polewane i malowane.

Co do kształtu, rozróżnić się daje:

- 1) garnek „hornia“, „hornec“, „horszczyk“;
- 2) dzban „zbinok“, „bańka“;
- 3) dzieża „hładyszczyk“, „hładyszka“;
- 4) miska „miska“, „makutra“, „pokryszka“, „rynka“;
- 5) Zabawki dla dzieci, dziwaczne i pierwotne kugutki z postaciami ludzkimi, siedzącymi okrakiem na kogucie, lub na psie, czy koniku, kto wie, czy nie wyobrażenia dawnych bożków?...

Te zabawki robią tylko w Wiśniowcu.

Specjalne znaczenie, raczej dekoracyjne niż użytkowe, mają miski. Polewane i malowane, ustawia się rzędami w „mysnyku“. Służą one do ozdoby wnętrza chaty. Ornamentyka tych misek — bardzo prymitywna, przeważnie zygzaki lub „kapki“. Coprawda nie brak zachęty ze strony żydowskich kupców do urozmaiceń „modern“, ale garncarze dość oporni są względem tych pokus. Najwierniej zachowują czysty, stary ornament bracia Husiatyńscy i Tabaczuki w Jelowicy Wielkiej, oraz Prowoziuki w Sadniczkach.

Cały ten przemysł ma charakter zajęcia pomocniczego.

Głównym zajęciem garncarza jest rolnictwo. Nawet bezrolni garncarze wydzierżawiają kawałki ziemi, lub zajmują się do robót polnych. Garncarstwo — to tylko dodatek.

Garncarstwo wołyńskie ma swoją główną prastarą siedzibę między Ikwą a Horyniem, w dorzeczu najwyższej części Wołynia. Tu tkwi ono gniazdami. Tu często całe wsie oddają się temu zajęciu.

W dorzeczu rzek Muchawca (dopływ Horynia) i Ikwy leżą osiedla garncarskie: Zaliśce, Kuszlina, Kuniniec, Wiśniowiec i Krzemieniec. Nad Jelowicą (dopływ Ikwy) Jelowica Wielka i Antonowce, nad Wilją (dopływ Horynia): Sadeckie, Suraż, Wilja i Ostróg. Nad Zbytynką (dopływ Wilji): Żalibówka, Moszczanica i Stunno.

Wszystko to razem stanowi jedno wielkie gniazdo pierwotne, z którego poszukujący gliny garncarze rozeszli się po dalszych okolicach. Teren ten, obejmujący odcinki 4-ech powiatów, był prawdopodobnie kolebką wołyńskiego garncarstwa.

Obecnie rozmieszczony jest w sposób następujący: gospodarstwo, uprawiających garncarstwo ma:

Powiat Krzemieniecki	322
„ Łucki	132
„ Kowelski	75
„ Rówieński	14
„ Ostrogiński	12
„ Dubieński	8
„ Włodzimierski	2
Ogółem . . .	565

Produkcja gospodarstw tych wynosi rocznie około 1/2 miliona naczyń, i zaspakaja wyłącznie wołyński rynek zbytu. Poza granicę województwa nie sięga.

Wojna wstrzymała rozwój przemysłu garncarskiego, ale nie zatamowała go. Stoi on na tym samym mniej więcej poziomie, co przed wojną. Takie przynajmniej jest zdanie znanego badacza Wołynia, p. Prusiewicza, z którego notatek i materiałów pozwolono mi zaczerpnąć powyższe dane.

A przecież przy pewnych udoskonaleniach technicznych, które nie powinny zatrzeć nic z charakteru i stylu tej wytwórczości, możnaby produkować więcej, możnaby produkować na eksport. Uboga ludność Wołynia mogłaby uzyskać tym sposobem poważne źródło dochodu.

Tymczasem godzi się tem garncarstwem zainteresować jednostki i instytucje, uprawiające t. zw. sztukę stosowaną. Pięknych linii naczyń niepolewanych, zwłaszcza t. zw. „bańki“, wypalonych z lekka na bladawy kolor wysuszonej gliny, nadają się doskonale do malowania na nich. Należałoby tylko ten ornament utrzymać w harmonii ogólnej z liniami naczyń, z jego prymitywnym charakterem.

Zwracamy uwagę artystek naszych na tę ciekawą produkcję.

Krzemieniec w lipcu.

H. Ceysingerówna.

O KUKURYDZY CZYLI „TURECKIEJ PSZENICY” SŁÓW KILKORO.

Wielki poeta, Pascoli, napisał poemat o — mietlicy i skromnej pomocnicy gospodyni: miotle — ja, gdybym była wielkim poetą, napisałabym poemat liryczno-dydaktyczny o kukurydzy. Zrosło się to ziele nierozłącznie z moimi wspomnieniami dzieciństwa i młodości i krajobrazem południowych kresów Polski.

Ta malownicza roślina, która łanom Czerwonej Rusi dawała cechy podobieństwa do okolic włoskich, przyszła do nas z południa, ale przyszła oblanymi łzami Czarnym Szlakiem najazdów tureckich. „Turecką pszenicą“ nazywała się po staropolsku. Przez okrutnych najeźdźców przyniesiona, stała się jednak nieraz ochroną dla ofiar najazdu. Zarówno w sitowiacz nadbrzeżnych, jak w bujnym gąszczu kukurydzy, „w chłopa wysokiej“, kryły się dziewczki i młodyce przed okiem tatarskim.

Powrotna fala zdarzeń i odczuwań! W pamiętnej wiecznej, złotej, pogodnej jesieni 1914 taki sam żywiołowy, czasem bezmyślny lęk, takim samym atawistycznym ruchem praprababek przyklekały strwożone kobiety, kryjąc się, jak przepiórki w zbożu, w cieniu miłośniej rośliny, gdy ulicami pędzili czerkiesi, i opo-

dal rozlegały się strzały i jęki rannych.... I ślady krwi na liściach kukurydzy, jak przed wiekami.

Kto nie słyszał, jak szumi łan kukurydzy, temu trudno opowiedzieć, ile smutku jest w tym chrzęście, podobnym czasem do chrzęstu szabel rycerskich.

Dla dziecka jest to las, pełen tajemniczego uroku, jak jakaś dżungla, w której zgubić się można.

Jak miło położyć się wśród łanu i widzieć nad sobą szafirowe niebo, a na tle jego wstęgi liści, wytworne w rysunku, jak bambusy na drzeworytach japońskich.

Pamiętam, jak radził mi pewien malarz, aby skomponować wzór do dekoracyjnego haftu w ten sposób: stawia się biały papier, lub nawet płótno, rozpięte w ten sposób, że padają nań cienie rośliny, maluje się wtedy wdzięczną sylwestkę kolankowatej łodygi, powiewnych liści i wiechy u szczytu. Kontury obwiedzie się potem łańcuszkowym ścięciem. Widziałam parawan, w ten sposób ozdobiony, materiałem był szary samodział, liście kukurydzy mieniły się gamą barw czerwonożółtych.

Szło się do kąpieli ścieżeczką wąską, rozchylając rękoma chrząszczące, jędrne, łamliwe lodygi bujnej kukurydzy, i rozsiane wśród nich, mocno pachnące, konopie.

Nagle, z poza zielonej palisady, błyskała cicha, ciepła, szaro-błękitna woda.

Jakże miło, wracając, odświeżywszy się kąpielą, z rozbudzonym, młodzieńczym, wilczym apetytem, łamać po drodze młode kolby, których białe, zlekka żółknące już ziarenka wylańiały się z zielonkawych lupin i przedziwa, miękkiego, jak jedwab. Trochę żarzonych węgli pod kuchnią, albo ogieniek, rozpalony w polu, i już skwarzy się zatknięta na kijku kukurydźka. Apetycznie przyrumieniona, smakuje wybornie, a gdy ją masłem świeżem posmarować i zlekka posolić, to przysmak prawdziwy.

Uwaga: do pieczenia należy brać kukurydźkę węgierską, słodką, białą, której ziarna, wysuszone, są pomarszczone i niepozorne, ale świeże, w półdojrzałe, błyskają, jak perłowej białości zęby pięknej kobiety.

Taka kukurydza, gotowana, ma smak migdałów. Wiemy z najnowszych teorii przyrodniczych, jak po silne i zdrowe daje pożywienie. Ale te kolby, które w Warszawie, w pierwszorzędnym nawet sklepie, np. u Pakulskich, widywałam, to parodia w porównaniu z kukurydzą podolską, równą w smaku rumuńskiej, węgierskiej i włoskiej. Potrzeba, smać, by ziarno należytego smaku nabrało, ziemi żywej i tłustej, ciepłego słońca, jakie Polsce daje tylko Podole. Czyż jednak tak trudno byłoby sprowadzać ją z tamąd? Wiedeń miewał stale na targu kukurydźkę węgierską. Jadano ją w najwykwintniejszych restauracjach i ludowych garkuchniach.

Kto nigdy nie widział, jak się jada gotowaną kukurydźkę, ten zdumieje się na widok towarzystwa, ogryzającego z apetytem kolby, które trzyma się w dwóch palcach, „po amerykańsku“ powiada nowy podręcznik do hodowli jarzyn, „po staropolsku“ powiem ja, pamiętając, jak dziwiły się „barbarzyńskiej“ potrawie nauczycielki francuskie po dworach wiejskich, zanim nauczyły się same ze smakiem ją spożywać i cieszyć się wraz z swemi pupilami, gdy zjawiał się, po zupie, imponujący półmisek, pełen białych, wielkoziarnistych kolb, czyli, jak u nas mówiono, „szulek“.

W czasie wojny, odcięci od świata, żyliśmy nieraz tygodniami całymi fasolą i kukurydzą, posadzoną na rabatach, gdzie niegdyś pyszniły się kwiaty. I o dziwo! Ta utylitarna obsadka, gdy jeszcze dodało się do niej obrzeżenie z czerwonych buraczków i bledozielonej sałaty, była zupełnie ładna.

Gdy jesień zabarwi łany kukurydzy żółtawym tonem surowego jedwabiu, czas wylańiać kolby, które nabrały już ślicznego, pomarańczowego koloru. Czerniały przedziwką, nadające kolbom pozór zabawnych kukulek o włosach królewicza z bajki: złotych, rudych i płowych. Lupiny mają teraz wygląd prażkowanego, złotawego, lub szarego jedwabiu, czasem amarantowego, naznaczonego smugą. Rozmyślałam nieraz, czy nie dałoby się zużytkować tego pięknego materiału na jakieś okładki książek, wyplatanki?...

Najpiękniejsza pogoda towarzyszy zwykle zbiorowi kukurydzy, dokonującemu się z końcem września. Na podwórkach wiejskich, gdzie piętrzą się już złote stogi zboża, gromadzi się stosy wylańianych kolb, teraz trzeba je wyluskać z opom, czyli „terebić“, jak

mówi się z ukraińska. Do tej roboty zwołuje się wieczorami młodzież, za poczęstunek chętna do roboty. Przy śpiewach szybko idzie praca i następują tańce, — to jest „tłoka“, kukurydziane dożynki.

Najpiękniejsze „szulki“ wiąże się w wieńce, splatając lupiny w misterne warkoczyki, i upina pod strzechą. Jest to bajecznie kolorowy obrazek, te festony i pęki, lśniące najpiękniejszym kolorem czerwieni i złota pod szarą, lub płową słomą dachu.

Resztę kolb wyluskanych, składa się do „koszniczy“, tego specjalnie dla kukurydzy skonstruowanego, upleczonego z wikliny, miniaturowego śpiczra-kosza, który tak malowniczo ozdobi podwórzec, gdzie ziarno tak pysznie wysycha. Rozkładają je również na strychach.

Tymczasem ogołocone lodygi, smutnie sterczą w ogrodzie i chrząszczą, chrząszczą...

Wreszcie zrywa je gospodarz po pierwszych przymrozkach. Teraz znów sympatyczna rola przypada im w udziale. Związane w snopki, podtrzymane prętami, otulą chaty, jakby ciepłym kożuchem. Zwie się to „zakała“. Dziwnie miło wygląda tak opatulone domostwo, gdzie tylko okienka błyskają, jak wesołe oczy dziecka, z pod ciepłej czapeczki. Na desce okiennej tuli się ptactwo domowe: kury, a czasem i kot srokaty, pożądliwie zerkając ku wróblom, również szukającym schronienia w poczciwej kukurydziance, która wszystkim udziela przytulku i ciepła.

Na wiosnę zaś, koło Wielkiejnocy, gdy chata wyluska się z zimowej opony, i gospodyni obielili ją na święta, kukurydzianka pójdzie do żłoba, i krowy, wygłodniałe po długiej ziemi, schrupią ją ochoczo.

A teraz wrócimy do ziarna. W krajach północnych: Niemczech, Szwajcarii, kukurydźkę uważa się za pożywienie bydła, zwłaszcza świń — na południu, gdzie ziarno jest smaczniejsze, stanowi ono ważny przyczynek do codziennego posiłku ubogich ludzi.

Wszyscy znają polentę włoską. W czasie wielkiej wojny, Niemcy prowadzili usilną propagandę, aby ludność do tej strawy przekonać. Na ziemiach dawnej Wołoszczyzny i graniczących z nią ziemiach dawnej Polski, na Ukrainie, Podolu i Wschodniej Małopolsce, narodową potrawą stała się Kulésza, po ukraińsku Kulisz*), także mamałyga z wołoską zwaną.

Była ona strawą najuboższych, którym zastępowała chleb, ale nie brakło jej na stole wykwinnych magnatów, skoligaconych z Wołoszą, lub bogatych Ormian, pulchna, okraszona słoniną, rozcinana drucikiem, zakończonym z dwóch stron patyczkami. Opowiadano jeszcze do niedawna, jak to za krzesłem leniwego bagacza, rumuńskiego stawał hajduk, którego obowiązkiem było skręcać gałki z mamałygi i karmić swego pana, jak indyka.

Ta, napozór skromna, „proletariacka“ potrawa, wcale łatwa do sporządzenia nie jest. Może ją spartolić kucharz, a po mistrzowski sporządzić prosta stara baba.

Możeby udało się u nas w modę ją wprowadzić, tę tania, a smaczną potrawę. Jedyną do odżywiania ludzi słabowitych, starców, dobrą i dla dzieci. Kulésza wymaga tylko, aby mąka na nią była sucha, z rumianego ziarna zmielona, miałka. (Nie grysik, jak na polentę).

Oto przepis, ściśle z tradycji podolskiej spisany:

na kipiącą, osoloną wodę sypie się mąkę (na litr wody, ½ litra mąki), w sposób specjalny, tak, aby utrzymała się na powierzchni, a woda żeby się pod nią gotowała. Gdy dobrze zakipi, zalewać mąkę wodą za pomocą łyżki drewnianej, brzegami, tak, aby się na wierzchu utworzyła skorupa. Po kilku minutach, przewrócić tę bryłę mąki łyżką na drugą stronę.

Następnie zrobić w środku dziurę, za pomocą kopystki*), tak, aby kipiątek dostał się do środka.

Po kwadransie gotowania, dopiero całą tę masę dobrze wymieszać kopystką, nakryć garnczek pokrywą, włożyć do piecyka i wypiekać przez ½ godziny.

*) Kopystka, rodzaj łopatki drewnianej, u dołu trochę rozszerzonej, specjalnie do mieszania kuleszy i prażuchy.

N. b. wypieka się najlepiej w żelaznym garnku. Gotową leguminę, pulchną, żółtą i pachnącą, wyrzuca się na misę i podaje: w lecie z „kwaśnem“ (zsiadłem) mlekiem, w zimie — z gorącym.

Także ze słoniną, skwarkami, świeżem masłem.

Po „bukowińsku“ przysmaża się mamałygę, krążąc wystygłą na kawały 2 cm. grube, rumieni na rozpalonym tłuszczu i podaje z tartym serem i roztopionym masłem, lub śmietaną.

Dobrá jest również kasza z krup kukurydzianych. Tylko na kulesz trzeba brać mąkę z kukurydzy żółtej, a nawet „czerwonej“. Na krupy dobra jest biała i słodka. Gotuje się ją dłużej, niż kaszę hreczaną, a potem wypieka pod pokrywą. Wygotowana na mleku, ma smak zupełnie wykwintny.

K. Bielańska.



LÓD SZTUCZNY.

Na lat kilka przed wojną, bodaj-że już w roku 1919, zwrócono uwagę na to, że lód, będący w handlu, zawiera masę nieczystości i wydano rozporządzenie (nie wiem, czy uczyniły to władze administracyjne, czy też magistrackie), aby lód, używany do przyrządzania i przechowywania pokarmów, był przygotowywany, lub pochodził z wody, zdatnej do picia. Dzisiejsze przepisy idą dalej: do użytku wewnętrznego i do bezpośredniego chłodzenia produktów spożywczych, wolno używać tylko lodu sztucznego. Aby uniknąć oszustwa, lód taki ma być przechowywany w zupełnie odosobnionych pomieszczeniach, z napisem na szyldzie: „lód do wewnętrznego użytku“, ze wskazaniem firmy i adresu fabryki i tam tylko sprzedawny. Tak wyglądają przepisy, — a jak wygląda rzeczywistość? Składów specjalnych z lodem jest tak mało, że o nich ani gospodynie, ani służące nie wiedzą, i nikt ich o tem poinformować nie może, gdzie ich w najbliższej okolicy szukać mogą. Apteki, w których przed wojną można było nabyć mniejsze ilości lodu czystego, obecnie uważają tego rodzaju sprzedaż za niekorzystną i sprzedają lód tylko za receptą doktorów. We wszystkich sklepach z napisem na oknie: „sprzedaż lodu“, sprzedają wyłącznie lód naturalny, nieraz po połowie z błotem. Tej zimy zmuszona do użycia go, gdyż innego nie dostałam, kazałam go umyć w kilku wodach i użyłam do kruszonu. Wydawał się być zupełnie czysty. Jakież było moje przerażenie, kiedy w szklankach, obok pomarańczy i ananasa, zobaczyłam delikatne, zielone wodorosty, niewątpliwie pochodzące z lodu, raczej ze stawu, z którego lód był brany. W mojej wiejsko-kresowej naiwności nie przypuszczałam, aby lód mógł pochodzić z czegoś innego, jak rzeki, lub dużego jeziora, tymczasem dowiedziałam się od osób, mieszkających na krańcach Warszawy, że lód rąbia i wożą z glinianek, tych okropnych kloak, do których ściekają wody ze śmietnisk miejskich, i nikt temu nie przeszkadza, nikt tego nie zabrania. Podobno rozpowszechniło się to w ciągu dwu ostatnich, bezśnieżnych zim, kiedy Wisła prawie nie zamarza, a nawet zamarznięta, ma lód tak cienki, że się jego eksploatacja nie opłaca. Piszę tutaj o Warszawie, ale jestem

przekonana głęboko, że dzieje się to samo we wszystkich miastach i miasteczkach, bo warunki higieniczne na prowincji są zawsze jeszcze gorsze, i wszelkie przepisy zdrowotne jeszcze mniej przestrzegane. Chciałabym wierzyć w to, że w restauracjach używają lodu sztucznego tylko, jak przepisy każą, jednak od czasu tych wiadomości o gliniankach, dziwnie straciłam apetyt do chłodnika, mazagranu i t. p. Zresztą, jest to może niesłuszne posądzenie restauracji, gdyż właśnie one mają wszelkie ułatwienia, co do używania sztucznego lodu. Lód sztuczny jest wyrabiany w ładnych blokach ośmiokilowych (półpudowych), które są dostarczane na miejsce użycia. Kawiarnia, czy restauracja może sobie na kupienie takiego bloku, nawet kilku, lub kilkunastu, zależnie od frekwencji zakładu, pozwolić, opłaca się to jej sowicie. W gorszej pozycji są gospodarstwa prywatne, już lodówka pokojowa jest dużym, jednorazowym wydatkiem, na który sobie urzędnik, oficer i t. p. pozwolić nie może. (I pomyśleć tylko, że w Ameryce kuchnia każdego robotnika jest zaopatrzona w lodówkę, stanowiącą taką niezbędną część kuchni, jak piec i blacha w gotowaniu?) Nawet posiadając taką lodówkę, jeżeli będziemy brali codziennie blok takiego lodu, kosztujący złoty, to wydatek na sam lód wyniesie trzydzieści złotych miesięcznie, (przed wojną za dwa, trzy ruble miesięcznie w abonamencie, miało się codziennie ładny kubek lodu do lodówki). Ci, co nie mają lodówki, są zmuszeni kupować lód w miarę potrzeby. Jest to dosyć ułatwione, na telefoniczne wezwanie przywożą lód — ale nie mniej pół puda. Otóż, chcąc uprzystępnąć lód szerokim masom, ochronić ich zdrowie przed spożywaniem zanieczyszczonego lodu naturalnego, należy przede wszystkim, latem przynajmniej, otworzyć sprzedaż lodu sztucznego w możliwie wielu punktach, w ilościach, zaczynając od jednego kilogramu. Że to się da skutecznie, to widziałam sama w bałtyckich prowincjach i przedwojennym Petersburgu. Wóz-lodownia jeździł po ulicach, dzwoniąc głośno, służba na dzwonek wychodziła, lód piłowano piłką z dosyć dużą dokładnością, — (ćwierć bloku, stanowiło pięć funtów, czyli dwa kilo), — podobne urządzenie mogłoby być

i w Warszawie i we wszystkich dużych miastach na prowincji. Lub też fabryki sztucznego lodu powinny zacząć wyrabiać mniejsze, naprzykład dwukilowe bloki, i urządzić dostawę, lub chociaż abonament, takich mniejszych ilości. Ostatnimi czasy zaczęto gwałtownie reklamować maszyny do domowego wyrobu lodu. Nie przesądzając o ich celowości i praktyczności, muszę jednak zaznaczyć, że są one jeszcze bardzo drogie i że kto sobie na taką maszynę pozwolić może, może kupić dużą, dobrą lodówkę i co dwa dni półpudowy blok lodu sprowadzać. Na wsi zaś wszędzie jest czysty lód na miejscu, zresztą trudno o sole potrzebne w dużej ilości i niema elektryczności do napędu. Maszyny te, chyba bardzo udoskonalone i uproszczone, znajdują zastosowanie w prywatnych gospodarstwach.

Pani Elżbieta.



SZASZŁYK Z BARANINY.

Kto w czasach przedwojennych miał możność widzenia Krymu lub Kaukazu, zapewne zachował w swej pamięci tę potrawę, mającą jedną wadę tylko, a mianowicie tę, że ludność tubylcza, codziennie ją jada, a co zatem idzie, eleganckie restauracje i ludowe „duchany“ (gospody), odwiedzane przy wycieczkach, codziennie nią gości częstują, codziennie i wyłącznie, co jest jeszcze gorzej. Na szaszłyk tatarzy używają mięsa z całego barana, my bierzmy tylko mięso z kotletówki lub pieczeni, starając się brać na tę potrawę wyłącznie mięso z młodego barana, kości wykrajając i użyć na jaką zabielańską zupę (najlepsze ogórkowe). Mięso pokrajając na cienkie, (najwyżej czteroccalowe) kawałki, grubości palca, ile mamy tych kawałków, tyle ukrajając cieniuchnych płatków słoniny, (tatarzy jej nie używają, ale to wiele smaku baraninie przy smażeniu dodaje) niech więc się zatraci nieco kolorytu lokalnego. Cynaderki, oraz z okalającym je tłuszczem też pokrajając w cieniuchne płatki. Ile osób siada do stołu, tyle wystrugać cienkich patyczków z drzewa, na każdy nanizając po osiem kawałków baraniny, każdy przekładając plasterkiem słoniny, lub cynaderki. Na dużej patelni rozpalić łyżkę masła, kłaść na nie rożenki z baraniny, posolić i popieprzyć już na patelni. Zrumienić na bardzo silnym ogniu, uważając, aby mięso w środku pozostało soczyste. Mieć oddzielnie ugotowany ryż na sypko, ułożyć go wzdłuż półmiska, na końcach położyć pokrajane w plastry, surowe pomidory i w całości kawałki pokrajany zielony szczypior od cebuli, na wierzch ułożyć rożenki z szaszłykiem. Na patelnię z tłuszczem wlać parę łyżek wody, zagotować, polać tem ryż i podawać bardzo gorące. Do szaszłyka podaje się talerze wygrzane, jak do kołdunów.

PASZTET Z KACZEK NA ZIMNO.

Udusić ze słoniną i z cebulą cielecą wątróbkę, ostudzić, przepuścić przez maszynkę z pięciami bułeczkami, wymoczonemi w mleku, dodać aromaty, pieprz, gałkę muszkatową, majeranek, utrzeć razem dodać trzy całe, surowe jaja, wyrobić doskonale. Dwie

kaczki domowe oczyścić starannie z pierza i supłów, opalić nad spirytusem, owinać w plastry słoninki, upiec pod blachą. Kaczki pokrajając, kości większe wyjąć i ugotować na nich z włoszczyzną parę szklanek smaku. Zrobić kruche ciasto z kilo mąki i pół kilo smalcu, jednego jajka, nieco soli i trochę wody. Długą formę do keksa wyłożyć tem ciastem, ułożyć w niem warstwami farsz i kawałki kaczki, kładąc pomiędzy dróbki, jeśli są, osmażone pieczarki, grzybki prawdziwe, lub nawet młode maślaczkę, ostatnia warstwa powinna być z farszu. Pokryć ciastem, posmarować żółtkiem i piec przez półtorej godziny w umiarkowanie gorącym piecu. Smak wygotowany z kości sklarować z łupinkami od jaj, precedzić, na dwie szklanki smaku, wcisnąć sok z cytryny, rozpuścić w nim pięć listków żelatyny. Zrobić mały otwór w cieście, wlać galarete, wynieść na chłód, gdy pasztet dobrze ostygnie, wyrzucić z formy, trzymać na chłodzie przez dwadzieścia cztery godziny. Krajając na plastry i podawać z sosem provensal lub „Cumberland“. Taki pasztet nadaje się wybornie do zabierania na wycieczki.

KOTLETY Z GOTOWANEJ RYBY.

Drobne, niepozorne rybki oczyścić starannie, ugotować w niedużej ilości, przepuścić przez maszynkę z taką samą ilością na wagę gotowanych kartofli. Na pół kilo tej masy dodać dwa jajka, przesmażoną na maśle cebulę, wyrobić doskonale. Zrobić nieduże kotlety, osypać mąką, smażyć na obficie rozpuszczonym maśle lub smalcu, podawać z jakąkolwiek jarzyną, zieloną sałatą, lub chrzanem z octem. Jeżeli jest pozostała ryba smażona lub gotowana, można ją użyć, zamiast gotowania specjalnie. W ten sposób można użyć różne drobne, mało wartościowe rybki.

WIŚNIE SMAŻONE W CIEŚCIE.

Duże wiśnie, słodkiego gatunku, naprzykład łutówki, mocno osadzone na szypułkach można użyć do tej potrawy. Utrzyć dwa żółtka z paru łyżkami mąki, łyżką cukru i niedużą ilością mleka, na ciasto gęstsze, nie na naleśniki, białko ubić na sztywną pianę, wymieszać z ciastem. W rądelku rozpalić smalec, po trzy, lub pięć wiśni związać w pęczki, maczać w cieście i smażyć na smalcu do zrumienienia. Zaraz potem tarzać w cukrze, utłuczonym z wanilią i gorące podawać.



DOBRE RADY.

W czasie lata, na wsi, często trudno jest o „okazję“ do miasteczka po chleb świeży. Wtedy trzeba umieć przechować zakupiony, aby jak najdłużej był jadalny. Świeży chleb okrywa się w płótno, albo przechowuje w worku, obficie przesypując mąką. Jajka przechowuje się najlepiej na dziurkowanej desce, przyczem należy je często przewracać.

W braku lodowni, przechowywać mięso w sposób następujący: wyjąć z beczki jedno dno w ten sposób, aby szczelnie pasowała. Na dno spodnie postawić miseczkę z rozpaloną siarką, przykryć szczelnie drugim dnem, na którego wewnętrznej stronie zawiesić mięso. Postępowanie to trzeba od czasu do czasu powtórzyć. Tak zabezpieczone mięso pozostaje przeszło tydzień zupełnie świeżem i nie posiada żadnego smaku, ani zapachu spalonej siarki.

Korespondencje działu praktycznego.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Zrozpaczona.

Odsyłam Panią do odpowiedzi „Prenumeratorka ze Śląska“.
E. Jochow.

Konieczne jest zbadanie wysypki u synka pani przez lekarza specjalistę. Bez zobaczenia nic nie można w tym wypadku poradzić.

Mimoza.

W odpowiedzi na pytanie, czy Resorcyna, lub „Mój Krem“ może nadawać twarzy barwę żółtą, zaznaczyć muszę, że jest to wykluczone! Przeciwnie, „Mój Krem“ wybiela tylko skórę, a resorcyna w spirytusie zwięża rozszerzenie pory. Kolor skóry żółty musi mieć w danym wypadku przyczynę wewnątrz organizmu. Choroba Basedowa, lub ogólne wyczerpanie po operacji, którą Pani przeszła, mogło dać żółty odcień skóry. Proszę się udać do lekarza specjalisty chorób wewnętrznych. „Mój Krem“, który specjalnie stosuje się na noc, wygładza skórę i zapobiega tworzeniu się zmarszczek.

Emilja H. (miejsowość W.).

Bardzo dobrem przy plamach po opaleniu się — mycie twarzy na noc kwaśnym mlekiem. Na dzień zaś wycieranie następującym płynem: 1 cytryna, 100 gr. gliceryny, 50 gr. spirytusu. W godzinę po wytarciu spłukać wodą i zastosować „Mój Krem“.

Przy silniejszym opaleniu się bez zadrażnienia skóry nast. recepta: Ung. emolient 50.0; Spir. Saponi Kalini 50.0.

Zwilżyć twarz wodą, następnie wetrzeć oba środki jeden po drugim na 10 minut, zmyć potem ciepłą wodą i użyć „Mój Krem“.

Artretyczce.

Polecam piperazynę krajową, b. dobrą wyrabia firma Karpiński, Elektoralna 35.

Iwonka.

Włosy przyciemnić można jedynie farbą roślinną Henna lub Saphiry na dr. Frenkla. Wszelkie środki domowe mogą dać bardzo przykre wyniki.

Stanisława S. z Wilna.

Jedynie masaż, umiejętnie przez dłuższy okres czasu stosowany, może wpłynąć na równomierne utycie lub schudnięcie.

Cz. Kalisz.

Porada na włosy może być dana po udzieleniu pewnych szczegółów: czy włosy są suche, czy tłuste, czy jest łupież, czy głowa swędzi. Czy przechodziła Pani poważne choroby i obecny stan zdrowia. Brodawki usunąć należy przez dietermę lub elektrolizę. Wszelkie żrące środki dają brzydkie blizny i nawroty.

Stała Prenumeratorka.

Na nagłe powstawanie rumieńca, środka doradczego nie ma, z czasem przejdzie.

E. Z. Spala.

Bez zbadania sumiennego nie można polecić dziecku, które chorowało tak poważnie, dokąd ma pojechać na lato. Mam wrażenie, że najlepiej w danym wypadku może poradzić lekarz, który leczył dziecko podczas choroby.

Halka — Borystaw.

Masę na plamy, tak zwany „Pigolin“, może być wysłana za zaliczką. Stosować ją należy 6 tygodni na noc, po uprzednim umyciu twarzy, zaś na dzień koniecznym jest używanie kremu „Mój Krem“. Pegolin 6 zł., krem 6 zł., porto 1 zł.

Co do włosów, proszę o podanie szczegółów — czy są tłuste, czy suche — zależnie od tego podam receptę.

Prenumeratorka ze wsi.

W pielęgnacji biustu jedynie masaż, stale i umiejętnie wykonany, daje dobre wyniki. Przy masażu stosować można opryskiwanie piersi rozpylaczem, wodą z dodaniem 1/6 tabletki soli aromatycznej. Masażu tego można się nauczyć w przeciągu 2 lekcji.

Zadne środki wewnętrzne nie dają efektu pożądanego.

Opis sukien i robót do № 32.

697. Suknia z surowego jedwabiu, układana w kontrafałdy.

698. Suknia z lekkiej wełny, koloru bois de rose.

699. Suknia z białego crêpe marocai, spódniczka plisowana.

700. Suknia z lekkiej wełny i czarna peleryna, podbita jedwabiem koloru sukni.

701. Suknia z popeliny rezedowej, przód z koronki, przerabianej złotem.

702. Suknia z crêpe de chine'u lavende.

703. Suknia z marocain ciemno-zielona, przybrana złotym haftem.

704. Suknia z miękkiej wełny angielskiej, w kratę, pasek i krawat z mięsistego jedwabiu, kołnierzyk z jedwabnego płótna.

705. Suknia z crêpe de chine'u bois de rose, spódniczka i zakończenie rękawów plisowane. Kołnierzyk z ciemniejszego crêpe de chine'u.

706. Suknia z popeliny piaskowej, pasek i kołnierzyk koloru koralowego.

707. Suknia z woalu niebieskiego, haft i kokarda, koloru brązowego ze złotem.

708. Suknia z popeliny fioletowej, góra jaśniejsza, dół ciemniejszy.

709. Sukienka dla dziewczynki, z wełny w kratę i gładkiej.

710. Sukienka dla małej dziewczynki z kasha białej z ponsowym w kratę, kołnierzyk biały, krawat ponsowy.

711. Sukienka z woalu granatowego, pasek lakierowany biały, kołnierzyk z płótna białego.

712. Sukienka kombinowana z gładkiej i deseniowej satynki.

713. Sukienka z ponsowej wełny, pasek czarny lakierowany.

714. Suknia z jedwabiu lekkiego w deseń, boki przyszywane na wierzchu, kołnierzyk z organdy.

715. Wzór haftu angielskiego i mereżki na strojną koszulę.

716. Wzór z mereżek i ażurów na dzienną koszulę.

717. Wzory na 2 kieszonki do serwet lub na szaszetki.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu“ w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumeratorek nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.



RCK LIX

№ 33

WIEŚCZU TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 14 LIPCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Nad mogiłą ś. p. Jana Kasprowicza. Echa kongresu paryskiego — *Dr. Marja Czapska*. Na placówce kresowej (korespondencja Bluszczu) — *H. Ceysingerówna*. Działalność Towarzystwa Katolickiej Opieki Dworcowej w Poznaniu — *Janina Hirschauerowa*. Zamiast radja — *M. B. Ł.* Wiersz: Tristan i Izolda — *Wiktoria Rimwid-Mickiewiczowa*. Dziewczynka w koronkowej sukience — *Z. Reutt-Witkowska*. Matka Stefana Wielkiego (legenda historyczna) — *Carmen Sylva*. Panna Kamilcia (d. c.) — *Cecylja Walewska*. Córka Boga (d. c.) — *Z. Zawiszanka*. Tajniki świata zwierzęcego (d. c.) — *Janina Maszewska-Knappe*. Kobieta w świetle i w domu — *Z. B.* Wiersze słoneczne — *K. Bielańska*. Dział praktyczny: Mody i roboty. Kamizelka haftowana. List z Paryża. Polska współczesna. Źródła dochodu — *W. N...cka*. Jak się ustrzedz gruźlicy — *Dr. Felicja Pożaryska-Luniewska*. Przedłużenie życia zerwanych kwiatów — *K. Dziekońska*. Konserwy — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — *Concha Espina* (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza). Arkusze wzorów. Tablica krojów.

Nad mogiłą ś. p. Jana Kasprowicza.

Wyrosła świeża mogiła. Umarł Jan Kasprowic, ostatni z pokolenia duchów prometejskich, co „ginącemu światu” wskazywali szlak nadobłoczny, choć ziemia była im matką i ojczyzną.

Dziecię gleby kujawskiej, syn rolnika, z piersi ludu zaczerpnął szeroki oddech wiary, z łona przyrody wziął wielką do zaświatów tęsknotę.

Życie jego i twórczość były jednym pasmem walk, zapałów, tragicznych załamań. Za młodu walka z niedostatkiem, u szczytu sił męskich bój śmiertelny z wrogiem Boga i ludzkości — z szatanem.

Twarda jest dola poety, który twórczość swą traktuje jak postannictwo. Majestat służby bożej bił z poezji Kasprowicza. Ból ludzkości wziął Ten syn ziemi na swe barki i tym brzemieniem obciążon rozmawiał z Bogiem, jak niegdyś Mojżesz z Jehową. Krwią ociekało każde jego słowo, rwała się pierś w hymnie „Święty Boże, Święty Mocny!”. Więc dziś, gdy ze czcią i bólem przyszło nam chylić się nad Twoją mogiłą, składamy Ci Wieszczu polski, pęk kwiatów zebranych po wszystkich miedzach naszej ziemi, od Karpat do Bałtyku, powtarzając, grzmiące jak dzwon wiary Twe słowa, „gdzie niema śmierci, nie może być zmartwychwstania.

D-r MARJA CZAPSKA.

ECHA KONGRESU PARYSKIEGO.

Jednym z najciekawszych punktów programu feministycznego Kongresu w Paryżu, były sprawozdania poszczególnych Komisji, które A. I. S. F. (l'Alliance Internationale pour le Suffrage des Femmes) wyłoniła z siebie z biegiem lat, w celu opracowania najważniejszych spraw, dotyczących kwestyj kobiecych.

Sprawozdania Komisji obejmowały ich działalność z okresu od 1923 r. do 1926 r., t. j. od czasu poprzedniego Kongresu w Rzymie do tegorocznego Kongresu w Paryżu.

Postaramy się streścić poniżej najważniejsze zagadnienia, poruszone w obszernych sprawozdaniach trzyletniej działalności.

Na pierwszy plan wysuwa się akcja Komisji, zajmującej się losem niezamężnej matki i nieślubnego dziecka. Tragedją tych dwojga istot, to jedna z najbardziej ponurych historii ludzkości, bezpośrednio zależna od praw, przez mężczyzn ustanowionych i mężczyzn faworyzujących. Prawa te dążą do zapewnienia wszelkich korzyści prawnym spadkobiercom, zaś wydawanie na świat nieprawego potomstwa uznają, na podstawie tradycyjnego systemu podwójnej etyki, za przywilej mężczyzny.

Niektóre prawodawstwa, jak np. Kodeks Napoleona, wzbrania dochodzeń w celu odszukania ojcostwa, zwalniając tem samem pleć męską od wszelkich odpowiedzialności moralnych i materialnych — a obarczając nimi wyłącznie pleć słabą.

Zadanie to jest ponadto utrudnione, a nieraz uniemożliwione kobiecie, ze względu na potępienie, któremu ulega niezamężna matka i jej niewinne dziecko.

Domy dla podrzutek nie rozwiązują kwestji, ponieważ odłączają dziecko od matki, i pozbawiając je koniecznej opieki, skazują znaczny procent niemowląt na śmierć przedwczesną, lub nader smutny żywot.

Komisja Nr. 1 Międzynarodowego Związku Kobiet walczy:

1. o uzyskanie opieki państwowej równocześnie dla matki i jej dziecka bez żadnych różnic, jako, że życie tych dwojga jest najistotniej połączone,

2. o zasadę, iż należy usilnie dążyć do wzbudzenia i podtrzymywania uczuć macierzyńskich i poczucia odpowiedzialności matki za dziecko, pozbawione ojca,

3. o konieczność zmian niektórych ustawodawstw w zakresie pociągania do odpowiedzialności ojca wobec własnego dziecka, oraz wyrównanie praw pomiędzy dziećmi prawymi i nieprawymi,

4. o obudzenie w sercach wszystkich kobiet, a mianowicie w sercach tych, które są matkami szczęśliwymi i otoczonymi opieką, poczucia solidarności dla matek opuszczonych i ich wdzięcznych dzieci.

Na podstawie obszernego kwestjonariusza, rozсланego po całym świecie, Komisja stwierdziła, że wszędzie tam, gdzie kobiety doszły do głosu w ciałach ustawodawczych, a przede wszystkim w Norwegii, Szwecji i Finlandji, użyły one swego wpływu na walkę przeciwko tej najhazardniejszej niesprawiedliwości, będącej źródłem tylu samobójstw, dzieciobójstw dziecka urodzonego, lub nieurodzonego, tak znacznego i anormalnego procentu śmiertelności dziecięcej, oraz groźnego niebezpieczeństwa narażenia matki i dzieci na prostytutkę i zbrodnię.

W krajach wyżej wymienionych, krajach o udoskonalonem prawodawstwie, ojciec narówni z matką jest pociągany do odpowiedzialności za dziecko, na świat wydane.

W Finlandji rozróżnia się „ojców“, którzy się do ojcostwa przyznali i „wspierających“, których ojcostwo nie jest stwierdzone, którzy jednak na podstawie wyroku trybunału są pociągnięci do odpowiedzialności i ponoszą jej skutki. Fundusz, składany na wychowanie dziecka przez ojca, lub „wspierającego“, jest ustosunkowany do stanu posiadania danego osobnika. Dziecko nieślubne ma prawo do nazwiska ojcowskiego i dziedziczy po ojcu, narówni z dziećmi ślubnymi.

W Niemczech, Austrii i Szwajcarii jest również rozwinięta opieka państwowa nad dzieckiem, podobnie jak w krajach skandynawskich.

Opiekunowie, naznaczeni przez państwo, bronią oficjalnie praw matki i dziecka, podejmują się poszukiwań ojca i pociągają go do odpowiedzialności. Niestety, olbrzymia większość państw i krajów jest pozbawiona tego rodzaju ustaw. Ciekawa statystyka, podana w sprawozdaniu Komisji Nr. 1, wykazuje mniej więcej podwójny procent śmiertelności wśród dzieci nieprawych, który to procent zmniejsza się zależnie od ustaw, biorących matkę i dziecko pod opiekę państwa.

Komisja Nr. 2 dla spraw wyrównania warunków pracy pomiędzy mężczyznami i kobietami, zajęła się zbadaniem ewolucji tych warunków w ciągu lat ostatnich i wykazania niesprawiedliwości, istniejących do dziś dnia, nawet w krajach, gdzie już istnieje równoprawienie kobiet.

W pewnych wypadkach grają tu czynniki tradycyjne, dające pierwszeństwo mężczyznom, w innych, przy powszechnej równości wynagrodzenia, dostęp do wyższych stanowisk jest dla kobiet zamknięty.

W krajach o zacofanem ustawodawstwie, niema ani równości stanowiska, ani wynagrodzenia.

Rezolucje Komisji Nr. 2 głoszą na podstawie konieczności ekonomicznych i czynników moralnych, niewołających kobiety do zapewnienia sobie niezależności materialnej, konieczność usunięcia wszelkich ograniczeń zarobkowania, zależnych od płci danej jednostki, a uwzględnianie jedynie jaknajlepszego wykorzystania właściwości fizycznych, oraz zdolności moralnych i intelektualnych tak mężczyzn, jak kobiet.

Działalność Komisji Nr. 2 Międzynarodowego Stowarzyszenia Kobiet dąży:

1. do zrównania fachowego wykształcenia mężczyzn i kobiet,

2. dowolnego dostępu kobiet na wszystkie stanowiska tak w pracy zawodowej, jak administracyjnej i sądowniczej, z równymi prawami awansów,

3. do powszechnego zrównania wynagrodzenia za jednakową pracę, wykonywaną przez mężczyzn i kobiety,

4. do zniesienia ograniczeń w wyborze pracy dla kobiet zamężnych,

5. do zastosowania praw, kierujących opieką pracy wedle natury tej pracy, nie zaś płci pracowników.

* *

3-cia z rzędu Komisja Związku,—to Komisja dodatkowych wynagrodzeń na rodzinę.

Zagadnienie to dotyczy opieki nad kobietą—żoną, matką i wychowawczynią. Komisja stawia sobie za zadanie wywalczenie możliwie jaknajdalej idących ułatwień dla kobiety przy spełnianiu naturalnych jej funkcji, od których zależy przyszłość rasy ludzkiej, funkcji, niemniej ważnych od pracy adwokata, lekarza, lub nauczyciela. Dotychczas, ani matki, ani ich dzieci nie mają zapewnionego statutu ekonomicznego, pomimo ustaw o dodatkowych wynagrodzeniach na rodzinę, wprowadzonych w niektórych krajach. Kobiety i dzieci nie są uprawnione do bezpośredniego korzystania z funduszy państwowych, jako że zarobek męża i ojca, powinien w teorii wystarczyć na utrzymanie całej rodziny.

Uzależniając rodzinę (matkę i dzieci) od zarobku męża i ojca, popełnia się wielokrotną niesprawiedliwość; przede wszystkim utwierdza się zwyczaj wyższych opłat za pracę mężczyzn, bez względu na to, czy mają rodziny i jak liczne, oraz bezpośrednio i nieraz krzywdzące poddanie tej rodziny pod władzę męża i ojca, od którego wyłącznie zależy zaopatrzenie żony i dzieci, oraz podział zdobytych przezeń środków materialnych.

Najważniejszy zawód kobiety, to macierzyństwo i ono to wymaga szczególnej opieki państwa i społeczeństwa.

Najsprawiedliwszą metodą wypłaty dodatkowych wynagrodzeń na rodzinę jest wyłączenie ich z płacy robotnika i doręczanie samej matce w stosunku do ilości dzieci, ekonomicznie od niej zależnych.

Fundusze na ten cel przeznaczone są w praktyce uzyskiwane od przedsiębiorców bezpośrednio, lub przy pomocy kas wynagrodzeń. Mogłyby zaś płynąć z lepszym skutkiem z rozszerzonego systemu społecznych ubezpieczeń, na któreby się składali przedsiębiorca, pracownik i państwo, lub też pośrednio od całego społeczeństwa w formie podatku, na ten cel ustanowionego.

Tym sposobem możnaby zapobiec pierwszeństwu, które nieraz mają pracownicy nieżonaci przy zawiera-

niu umów z przedsiębiorcami, i uniezależnić rodzinę od ojca, nie zawsze zdatnego na opiekuna i żywiciela.

Rezolucje Komisji Nr. 4 można streścić w następujących dwu punktach:

1. dążenie do obudzenia w świadomości społeczeństwa uznania wartości każdego dziecka, i co za tem idzie, zapewnienie bytu kobiety i dzieci, niezależnie od zarobku i stanowiska mężczyzny,

2. do wypłacania dodatkowego wynagrodzenia na ręce matki i stosunku do rzeczywistej wartości kosztów utrzymania każdego dziecka.

4-ta Komisja walczy o zrównanie etyki, wymaganej od kobiet z etyką mężczyzn. Poza to zajmuje się kwestją uświadczenia młodzieży, leczenia chorób wenerycznych i walki przeciwko handlowi żywym towarem.

5-ta Komisja ma na celu uzyskanie prawa, któreby zabezpieczało kobietom zachowanie swej narodowości przy zawieraniu związków małżeńskich z cudzoziemcem.

Pełne prawa stanowienia o swej narodowości uzyskały od 1918 r. kobiety z Rosji sowieckiej, obywatelki Stanów Zjednoczonych, Belgji, krajów skandynawskich i Austrii. Anglja i Francja mają również w najbliższym czasie wprowadzić zmiany w ustawodawstwie, dotyczącem się tej sprawy.

* * *

Kobiety francuskie okazują mało zainteresowania dla ruchu feministycznego, niema wśród nich owej karty bojowej, w rodzaju walecznych sufrażystek angielskich, które, pomimo powszechnego ich ośmieszenia, wykazały tak zadziwiającą wytrwałość w dochodzeniu swych praw. Francuskie, naogół bardzo energiczne i samodzielne, wyglądają zadowolone ze swego losu, pomimo uległości mężom, którą im narzuca kodeks, dozwalający szczęścia, ale niezapewniający sprawiedliwości. Może umięją lepiej wyzwać się od jarzma na innej drodze, niż na drodze prawnej?

To zagadnienie należałoby bliżej zbadać.

NA PLACÓWCE KRESOWEJ.

Korespondencja „Bluszczu“.

Nad chatą osadnika noc, pogodna noc lipcowa. Jak nadzwyczajnie błyszczą gwiazdy na niebios, ciemnym szafirze! Jakie ogromne! Nigdzie tak świetnie błyszczących nie widziałam gwiazd. Powietrze musi tu być nieślychane czyste. Obserwatorjum by wystawić tutaj, czy na Krzemienieckiej górze Zamkowej może....

Noc! Twarde jest łożo, które panny osadniczki odstąpiły mi z serdeczną gościnnością. Na takim łożu, gdy wstaje się codziennie o godz. 3½ rano, gdy przez cały dzień sady kartofle n. p., albo przy innej pracy rolniczej nad świętą ziemią chyli, spać można mocno, niezrównanym snem młodości.. Ale ja nie śpię. Słyszę dalekie i bliskie szczekania psów, żab granie, muzykę pól i jakieś głosy przeszłości, które tu mówią... i już świt! Perłowy, mistyczny, niewymowny, położył się nad polami, jak odwrócona dnem do góry czasza z opalów... Skrawek miesiąca — jedyny świadek mistycznej godziny i ostatnia bledniejąca gwiazdka!...

Jeszcze chwila snu! Budzę się znów — godzina 4-ta rano. Świat wygląda już całkiem inaczej. Przyszło już słońce, już dzierga złotem białe mgły nad łąkami, w górze już błękity czyste, a na ziemi radość podświetlona. Chwieją się wielkie, dojrzałe kłosa w wietrzyku porannym, czerwienieją dzikie „czereśnie“ na wysokich starych drzewach. Dzień już! Jakiż tu widok rozległy, szeroki! Het widać wszystko w stronę Poczajowa, Podkamienia, Wiśniowca!... I w tej chwili dopiero uświadamiam sobie, że tu był przecież niegdyś step... tak to już step podolski, kwiatem i burzanem szyty ongi; wyżyna, na której się znajduję, wyniesiona jest nad poziom morza przeszło na 400 metrów; dlatego jakby zgóry patrzę na kraj poniżej. Ziemia bojów, mogił, kurhanów, rycerzy przesławnych, ziemia straszliwych tragedij i tęsknej pieśni ludowej. Ziemia o bogatej przeszłości; dlatego tak gorąca i żywa jest tajemna mowa jej duszy....

W domu już ruch, podwórze się ożywia, obrządek inwentarza, dojenie krów, karmienie drobiu, (kaczki nie-

wiarogodnie wypychają sobie gardziela chwastem z osypką) kury i gołębie napelniają głosami swoimi ciśnie powietrza. Sprząta się dom, gotuje śniadanie.

Wszystkie te roboty ciężkie i pospolite spełnia rodzina osadnika. Służby nie mają. A osadnik jest rezerwowym oficerem, jest skończonym agronomem i ogrodnikiem. Rodzice jego, brat i 3 siostry — to siła motorowa osady.

Gdy zwolniły się panny od prac najpilniejszych, pytam, jak żyją tutaj?

Jest to życie amerykańskich fermerów.

Matka podzieliła między nas pracę — mówią — Są dyżury, od których odstać nie wolno. Jedna zajęta jest przy kuchni, 2-ga w ogrodzie i przy inwentarzu, 3-cia w polu, (dozór nad robotnikami, wypłata należności i t. p.). Codziennie inna dyżuruje w kuchni, w ogrodzie i w polu.

Bywają momenty wielkich prac rolniczych. Wtedy wszystkie trzy idziemy w pole, a matka zajmuje się kuchnią, i ogrodem, i wszystkim, co żyje w podwórzu.

Tak, własnymi rękami posadziłyśmy tego roku kartofle na 6-ciu morgach.

— Ciężko było?

— Z początku bardzo. Później, jakgdyby się muskuły przyzwyczaiły.

Oglądamy wspaniałe kartofle. Kierz każdy w przyzwyczajonej odległości jeden od drugiego. Plon przy sprzyjającej pogodzie powinien być kolosalny.

A nie można zmuszać robotnic miejscowych, żeby tak właśnie sadyli. One muszą jeden kartofel posadzić obok drugiego. Muszą koniecznie. Przekonane są, że inaczej sadząc, marnują ziemię. Tak samo postępują z kapustą, która przez to nigdy nie zwija się w główki, z burakami, warzywem.

— Czy nie przykrzy się paniom to życie?

— Nie. Z początku, gdy przybyłyśmy na pustkę, było strasznie. O, płakałyśmy nieraz. Ale obecnie, praca ta pozwala nam żyć, wszystkim dostatnio utrzymywać i kształcić troje młodszego rodzeństwa. Widzimy ciągły postęp i rozwój naszego gospodarstwa. Przynosi dochody. Za cebulę, wyhodowaną w przeszłym roku, płacono nam w Wiśniowcu po 6 zł. za pud, choć cena miejscowego towaru jest 2 zł. do 2½. Ale też takiej cebuli, jak nasza, nie widziano tu nigdy. Za jajka od 30 kur, poza zaspokojeniem potrzeb domowych, otrzymujemy 60 zł. miesięcznie. Tu każdy trud się opłaca, każda praca przynosi zysk.

— A stosunek z ludnością miejscową.

— Obecnie, zupełnie poprawny. W przeszłym roku jeszcze robili nam szkody. W tym roku — ani razu! Ojciec ich leczy; uwierzyli w jego lekarstwa i przychodzą po nie nieustannie; w nocy nas budzą czasami.

I opowiadają mi w dalszym ciągu osadniczeki, że lud ten, choć bardzo pierwotny, dobry jest i uczciwy po swojemu. Oświaty bardzo pożąda. Kursy oświatowe, które urządzono w niektórych osadach, cieszyły się wielkim powodzeniem. Widziano 60-letniego chłopca ruskiego, który z wielkim zapałem pracował nad nauką języka polskiego. Mowę ukraińską lekceważył. Uważają ją za odpowiednią tylko na codzienny, domowy użytek. Wyższych czynności duchowych, modlitwy, czy nauki wydaje im się godnym tylko język rosyjski lub polski. Jak dotąd, kolosalną przewagę ma, oczywiście, rosyjski. Jest wśród ludu ruskiego dużo dzieci zdolnych i chętnych do nauki. Do moich osadniczek zgłosiła się była dziewczynka ze wsi z prośbą o naukę czytania i pisania po polsku. Umiejętność tę posiadała w bardzo prędkim czasie i obecnie jest w bardzo przyjaznych stosunkach ze swymi nauczycielkami. Do prawosławia lud tutejszy żadnego przywiązania nie oka-

zuje. Szerzy się wśród niego epidemicznie t. zw. „sztunda“, baptyzm rosyjski. Nabożeństwa szundaystów odbywają się po rosyjsku.

— A czy bezpiecznie wśród nich?

— Agitatorom, czy to ukraińskim, czy bolszewickim ulegają bardzo łatwo. Są to natury gorące i zapalne. Podniecają się gorączkowo i przy lada zachęcie zdolni są do czynów gwałtownych i okrutnych. Pijaństwo szerzy się wśród nich w sposób przerażający. I nie dziw, przecież to jedyna ich rozrywka!

— A zewnętrzne niebezpieczeństwo?

— Bandy dywersyjne wkraczały poprzednio bardzo często. W tępieniu ich brali osadnicy bardzo poważny udział. Osadnik każdy ma karabin; ma broń i ludność włościańska. Podobno gdzieśgdzie zachowano w ukryciu karabiny maszynowe, a każdy pożar we wsi ujawnia, przez liczne i głośne eksplozje, posiadanie amunicji, granatów, zbieranych na pobożowskich wielkiej wojny i t. p. Obecnie jest na Kresach spokój i cisza...

— Co robicie w zimie? Jak spędzacie w tej pustce długie zimowe wieczory?

— Ach, pracy jest tak wiele, że nudzić się niema czasu.

Wieczorami, jeden z domowników czyta głośno, (książki wypożyczamy z biblioteki w Wiśniowcu) inni łuszczą groch, wysypują mak z makówek, szyją, naprawiają, drą pierze...

— Czy bawicie się kiedy?

— Ależ tak! I właśnie w porze zimowej jest bardzo przyjemnie. Urządzamy kuligi. Jedzie się sankami od osady do osady, zabiera się młodzież i pędzi dalej.

— A muzyka?

— Jest i muzyka! Wśród osadników znajdują się artyści wszelkiego rodzaju. Czasem grywamy teatry amatorskie; w jesieni odbywa się najczęściej ślubów i wesel.

— Żenia się chętnie młodzi osadnicy?

— Żenia się nie tylko z ochoty, ale wprost z konieczności. W gospodarstwie osadnika niezbędna jest praca kobiety.

— Z kim się żenia?

— Najczęściej wśród swoich szukają żon; po sąsiedztwie. Niedawno kilku ożeniło się z Czeszkami. Inni, ludzie prości, szeregowi, biorą za żony miejscowe włościanki. Bywa to bardzo dobrym interesem. „Przyżeniają“ się od razu do chałupy i stodoł, krów, koni.

— Jak z dziećmi?

— Dzieci na osadach jest mnóstwo. Weźmy np. miejscowość taką, jak Duże Zakajce. Osadników tam 79-ciu, a stan rodzin wynosi 400 osób.

— Gdzie się uczą dzieci?

— Przeważnie, to jeszcze dzieci małe, ale budujemy szkoły. Poszłoby to prędzej, gdyby Rząd oddał w ręce osadników działki szkolne, wykrajane przy podziale ziemi specjalnie pod szkoły. Tymczasowo dzierżawia ją od Rządu chłopci. Czeka się, aż Rząd będzie mógł przystąpić do budowy szkół. Ale prędzej uczyniliby to osadnicy sami.

— Czy są jakie stowarzyszenia?

— Oprócz powiatowego Związku osadników i Banku, są dwie straże ochotnicze: w Woli Rycerskiej i w Woli Korybutowieckiej, jest jedna orkiestra instrumentów dętych.

— A kobiece?

— Jest w Związku Osadników sekcja kobieca, ale zgoła nieczynna.

— Czemu?

Milczenie...

— Czy robicie co dla piękna, dla podniesienia poziomu życia?

— Jeszcze niewiele, ale w tym roku założyliśmy ogród kwiatowy. W przyszłym już roku może zacznie brat budować dwór, duży, o wielu pokojach, dwór stylowy. Wtedy ten nasz dom stanie się budynkiem gospodarskim. I tak jest prawie wszędzie. Tymczasowe budynki zamienia się na stodoły, czy stajnie, a stawiać się będzie piękne domy mieszkalne. Wszyscy osadnicy dbają o przyozdobienie swoich siedzib, o ile tylko starczy sił i środków: sadzą drzewa i kwiaty, grodzą sztachetami obejścia, zakładają żywopłoty.

Już dziś wygląd osad jest całkiem inny, niż był... przed paru laty. U bogatszych, u tych, co z kapitałem przystąpili do pracy, już dziś domy urządzone są z pewnym komfortem.

— I dobrze wam?

— Dobrze. Miłe jest uczucie, że wszystko, co mamy, zawdzięczamy własnej pracy. Przytem jest niezależność. Pracuje się u siebie...

Niechże więc będzie tym osadom pomyślna dola! Niech niwa podolska, własnym potem osadników zroszona, daje im najobfitsze żniwo. Niech się tu pełni uczciwe, piękne, polskie życie!...

Krzemieniec w lipcu.

H. Ceysingerówna.

DZIAŁALNOŚĆ TOWARZYSTWA KATOLICKIEJ OPIEKI DWORCOWEJ W POZNANIU.

W czasach dzisiejszych, kiedy ciężka walka o chleb powszedni rozwija wśród ludzi egoizm i samolubstwo — wszystkie instytucje z charytatywnym zakresem działania, zjawiają się, jak jasne oazy, promieniające ciepłem miłości bliźniego na ten zmaterjalizowany i wyziebiony świat.

Tam, gdzie istnieje wzmoczona walka o chleb — tam z większą siłą rozwijają się ludzkie niskie instynkty — tam z mroków nędzy i głodu wypelzają rozpanoszone namiętności — i życie staje się coraz bardziej mroków pełne.

W warunkach tych najwięcej cierpi kobieta — najczęściej ofiarą i lupem tych mroków staje się ona — to też cel i założenie Tow. Opieki Dworcowej, zaiste, spełnia swoje zadanie w walce ze złem, bowiem ma na celu przedewszystkiem zwalczanie handlu żywym towarem, oraz zapewnia opiekę i udziela pomocy młodej kobiecie, przyjeżdżającej po zarobek do miasta.

Towarzystwo to, choć tyle dobrego robi — choć jest takim odważnym rycerzem w boju o ludzką duszę i spokój — choć przechodzi wiele trudności i nie raz tak bardzo potrzebuje pomocy — mało jest znane naogół naszemu społeczeństwu, mało — dlatego, że nie dość jest słyszeć, że ktoś pracuje, że coś się dzieje dobrego, trzeba pracą tą i tem dobrem zainteresować się bliżej, poznać ją — a w miarę możliwości i sił wspierać, — wspierać koniecznie, aby nie utwierdzać przekonania, że tylko zło żywiołowo pociąga, — bowiem w historii jest inaczej — dobro o wiele silniej ludzi porywa, tylko, że w szeregach swoich mniej liczy jednostek.

Ile może zdziałać dobra wola ludzi, dobro miłujących zobaczymy, choćby z tego krótkiego sprawozdania, które jednakże w zupełności rzuca światło na całość pracy. Poznańska Opieka Dworcowa jest w tem szczęśliwym położeniu, że już od końca 1918 roku posiada swój własny dom — ofiarowany na przytułek dla przyjezdnych dziewcząt. Dom ten znajduje się tuż obok dworca, przy ul. Odskok 3.

Ponieważ T-wo utrzymuje się tylko ze skromnych składek członkowskich — przeto w czasach dewaluacji nie było w możności pokrywać kosztów utrzymania domu i prowadzić swej akcji dobroczynnej, przeto urządzono tam internat dla dziewcząt, chodzących do szkół. Dom ten nazwano „Gościńią“ — i oddano początkowo pod zarząd osób prywatnych, a od 1921 r. paniom ze Stow. Opieki nad dziewczętami, pod we-

zwaniem św. Józefa, które do dnia dzisiejszego urząd ten sprawują.

Internistki w roku ubiegłym płaciły początkowo 35 zł miesięcznie, pod koniec 45 zł. Dziewczęta przyjezdne T-wo umieszcza w pokojach, umyślnie na ten cel przeznaczonych.

Akcja opieki nad przyjezdną kobietą przedstawia się w sposób następujący:

cały dzień i do późnej nocy odbywają się stale dyżury 3-ch płatnych opiekunek — na dworcu — które, przy każdym nadchodzącym pociągu, zwracają pilną uwagę na przyjeżdżające młode kobiety i dziewczęta — udzielają im informacji — adresów — lub zabierają do „Gościńi“ — jeżeli przyjezdne są bezdomne. Pozatem przy T-wie utworzyła się sekcja pań czynnych, które jako ochotniczki bezinteresownie dworzec odwiedzają.

Oprócz tego, opiekunki T-wa otaczają swoją opieką także dzieci i młode paniątki, przyjeżdżające do szkół z miejscowości podmiejskich.

Działalność Opieki Dworcowej w roku 1925 przedstawia się w następujących cyfrach:

ogólnie opiekę w różnej formie otrzymało **11.314 osób.**

1.611 osób nocowało w schronisku przez 9.037 nocy, w tem było 4.607 nocy bezpłatnych, 699 nocy za połowę ceny.

3.821 osób odżywiono, wydając 6.533 porcyj z kuchni Opieki Dworc., 300 odżywiono, dostarczając żywności z Komitetu Tanich Kuchen.

211 dziewcząt ocalono, wyrrywając je z rąk ludzi nieuczciwych.

6.384 osoby otrzymały na dworcu radę i adresy.

1.391 osób posłano do biura pośrednictwa pracy.

90 dziewczętom znaleziono pracę zarobkową.

62 osoby odstawiono do szpitala.

223 osobom wykupiono bilety kolejowe.

29 osobom wykupiono bilety peronowe.

Tak przedstawia się praca O. D. na zewnątrz, jako wyraz opieki i pomocy materialnej, udzielonej ludziom nieszczęśliwym i opuszczonym — ale jest jeszcze inna strona tej pracy, którą nazwać by można apostolską — bowiem te setki i tysiące, przechodząc przez ręce osób w O. D. pracujących — nie odeszły bez ciepłego słowa nadziei, bez zachęty ku dobremu, bez podtrzymania moralnego. Lecz któż zliczy owe złote ziarnka, rzucone w glebę ludzkiego opuszczonego serca! Liczy je, zapewne, jakiś dobry anioł, a ploniny zbierać będzie przyszłość. *Janina Hirschhauerowa.*

ZAMIAST RADJA.

POMOC DLA MATEK.



asy chorych, czynne prawie na całym obszarze Państwa Polskiego na zasadzie ustawy z dn. 19 maja 1920 roku, ściągają na siebie mnóstwo zarzutów w prasie i utyskiwań prywatnych. Zasada ich jednak jest kwestjonowana już tylko wyjątkowo, i to wyłącznie na obszarze b. zaboru rosyjskiego,

który nie znał wogóle ubezpieczeń społecznych takich, jakie na długo przed wojną istniały w Niemczech, Anglii i innych państwach środkowej i zachodniej Europy. Rozpowszechnił się i u nas pogląd, że tylko ubezpieczenie państwowe może udostępnić możliwie szerokim masom pomoc w czasie choroby, która w rodzinie przeciętnego pracującego stanowi nieszczęście losu nie do przewyciężenia własnymi siłami. Natomiast nie ustają zarzuty, skierowane na organizacje i metody działalności kas chorych. Bez wątplenia nasze kasy chorych, zwłaszcza te z nich, które założono niedawno, po 1920 roku w województwach środkowych i wschodnich, mają wiele błędów i braków, więcej znacznie, niż te same instytucje w państwach, posiadających je od lat dziesiątków, i więcej niż kasy, funkcjonujące w zmienionej nieco postaci, lecz na podstawie starych tradycji w dwóch pozostałych dzielnicach państwa. Stwierdzając jednak, że nasze kasy chorych wymagają naogół niejednej poprawki, niepodobna zaprzeczyć, że dają one ogromną korzyść społeczną. To też należy zwalczać nie kasy chorych same w sobie, lecz wszelkie zło, jakie się w nich ujawnia. Walka ta zaś wtedy będzie skuteczna, gdy, wbrew dotychczas utartym drogom, odbywać się będzie nie w imię rywalizacji partyjnych, lecz w celach wyłącznie rzeczowych i obiektywnych, przy czynnym udziale osób krytykujących, w prowadzeniu tych instytucyj.

Jednym z objawów wypaczenia właściwego kierunku rozwojowego naszych ubezpieczeń społecznych jest małe zainteresowanie, okazywane im przez kobiety. A jednak kobiety lubią się leczyć, dbają o własne zdrowie, bodaj więcej niż mężczyźni, a przytem czuwają nad zdrowiem dzieci i całej wogóle rodziny. Mimo to brak kobiet w zarządach kas chorych, brak głosów kobiecych w żywej dyskusji ogólnej, niemal nieprzerwanie toczącej się wokół sprawy ubezpieczenia na wypadek choroby. Tymczasem ten właśnie rodzaj ubezpieczenia, wzorem zagranicy, roztoczył u nas opiekę nad matką i, pośrednio, nad niemowlęciem w pierwszych miesiącach jego życia, a więc objął działy, które specjalnie powinny interesować cały świat kobiecy, i bezpośrednio dotyczą ogromnych zastępów pracownic i robotnic samodzielnych, oraz żon pracowników i robotników.

W Polsce bowiem obowiązkowi ubezpieczenia na wypadek choroby podlegają wszystkie osoby, zatrudnione na warunkach pracy najemnej, z wyjątkiem jedynie urzędników państwowych, dla których zorganizowana jest ta pomoc oddzielnie, oraz wyższych urzędników prywatnych, pobierających powyżej 7.500 zł. rocznie. Ze świadczeń kas chorych korzystają zaś sami ubezpieczeni, oraz ich rodziny. Specjalnie w razie przyjścia na świat dziecka ubezpieczona może korzystać:

a) z pomocy akuszerki i lekarza przed, w czasie i po połogu;

b) z zasiłku, równego całkowitemu zarobkowi, w ciągu 8 tygodni, z których co najmniej 6 musi przypadać na czas po urodzeniu dziecka;

c) po upływie tego czasu, w ciągu 12 tygodni z t. zw. zapomogi dla karmiących, która wynosi 20—50 gr. dziennie.

Żony ubezpieczonych mają prawo do tych samych świadczeń, z wyjątkiem oczywiście zapomogi pieniężnej, stanowiącej równoważnik zarobku; zasiłek zaś dla matek karmiących przysługuje żonom ubezpieczonych tylko w połowie wysokości, przewidzianej dla samodzielnych członkiń kasy. Na życzenie położnicy kasa chorych umieszcza ją na czas choroby w zakładzie, wzamian za połowę przysługującego jej zasiłku pieniężnego.

Ponieważ przepisy o kasach chorych przewidują, prócz członków przymusowych, również członków dobrowolnych, więc dla uniknięcia nadmiernego obciążenia kas przez kobiety, któreby się zapisywały bezpośrednio przed oczekiwaniem przyjściem na świat dziecka, istnieje zastrzeżenie, że kategoria członkiń dobrowolnych może korzystać z zasiłków położniczych tylko w razie, jeżeli opłacała przedtem składkę co najmniej w ciągu 8 miesięcy.

W 1924 roku na zasiłki dla położnic wydały kasy chorych w całym Państwie Polskiem około 3 milionów złotych, co stanowi 12% wszystkich wypłaconych w ciągu tego roku zasiłków pieniężnych. Jest to suma nieznaczna w porównaniu z tem, co dają np. ubezpieczenia niemieckie, które w roku ubiegłym wydały 20 milionów marek (około 5 mil. zł.) na pomoc dla matek. Trzeba jednak wziąć pod uwagę tę okoliczność, że liczba samych robotników przemysłowych jest w Niemczech dwanaście razy większą, niż w Polsce, a przy odpowiednim do tego stosunku pracowników handlowych, liczba uprawnionych do pobierania świadczeń po wielekroć jest wyższa. Trzebaby też zbadać, czy cyfra podana przez statystykę niemiecką nie obejmuje, prócz zasiłków pieniężnych, pozostałych składników pomocy dla matek, a więc przede wszystkim pomocy lekarskiej i akuszerskiej.

Niemieckie kasy chorych uświadamiają sobie coraz lepiej, że same zapomogi pieniężne nie wyczerpują pomocy, jaką winny one okazywać matkom ze sfer pracujących. Pomoc ta w dobrze postawionych kasach rozpoczyna się już w okresie ciąży w postaci porad, udzielanych każdej kobiecie, uprawnionej do korzystania ze świadczeń danej kasy. Jeżeli badanie lekarskie wykaże pewne dolegliwości, związane z ciążą, lub jej nieprawidłowy przebieg, przepisywana jest natychmiast odpowiednia kuracja, udzielane są wskazówki zachowania się w tym okresie, wydawane pasy brzuszne, pończochy przeciw rozszerzeniu żył, środki wzmacniające, lekarstwa i t. p. Wskazówki te i rady mają ogromne znaczenie, nie tylko dla przyszłych matek, młodych i niedoświadczonych, ale wogóle dla kobiet warstw pracujących, w których wiadomości z zakresu higieny nie są dość rozpowszechnione, a warunki domowe przeważnie utrudniają racjonalny przebieg tego okresu, który jest wprawdzie naturalny w życiu kobiety, lecz, bądź co bądź, wymaga pewnych względów i pieczołowitości.

Poradnie dla przyszłych matek zabezpieczają swym pacjentkom miejsce w klinice w okresie przyjścia na świat dziecka, roztaczając szczególną opiekę nad dziewczętami, które najczęściej zostają w tym czasie bez dachu nad głową.

Skromniutkie, tem szczególnie cenne w naszych

warunkach, początki analogicznej instytucji stworzyła przed paru laty w Warszawie niestrudzona organizatorka pomocy dla niemowląt, p. K. Rogowska, zakładając niezależnie od kasy chorych poradnię dla matek przy ul. Puławskiej 18.

M. B. Ł.



Wiktoria Rymwid-Mickiewiczowa.

TRISTAN I IZOLDA.

*Święci patroni miłości — wejrzyjcie na nasze konanie, —
Jasnowłosa, umęczona Izoldo — rycerski, wierny Tristanie.*

*Kraży nam w żylach ogniem miłosny napój wypity,
tajemnica okrutna nas wiąże, jak pas złotolity.*

*Jak między wami miecz nagi u lasów Moreńskich rubieży,
świat daleki, obcy i wrogi pomiędzy nami leży.*

*Tropią nas oczy zazdrosne, mur nieprzebyty odgradza,
Każda godzina nas nęka i każda chwila nas zdradza.*

*Dla waszego szczęścia i grzechu był dobry Pan Bóg litosny —
znaliście noce szalone, dnie na morzu i w lesie wiosny.*

*Tajona lat tyle męka nie kwitnie jak kwiat purpurowy,
Dla naszej miłości i grzechu ostry jest Bóg i surowy.*

*Niema rady na napój miłosny, męka się nigdy nie kończy.
Życie nas zawsze dzieliło — niech chociaż śmierć nas połączy.*

*Niech z naszych grobów dalekich, jak niegdyś u was — przed laty,
wykwitna, spleta się, złączą czerwone pachnące kwiaty.*

*Święci patroni miłości — wejrzyjcie na nasze konanie,
jasnowłosa, umęczona Izoldo, rycerski wierny Tristanie.*



BAJKI ZŁOTOGRODZKIE.

Z. REUTT - WITKOWSKA.

DZIEWCZYNIKA W KORONKOWEJ SUKIENCIE.



Miała dziewczynka mieszkała w różanym domku, w altanie z róż pnących, które purpurowe były — i nie miały kolców. Dziewczynka nosiła sukienkę jasną, koronkową, rozumiała, co mówią bratki, widziała tęcze na pustkowiu. Kochała też Smoka, bo nie urodziła się królową; miała zato gołębie serduszek i mózdzek węzowy — albo może naodwrot.

Smok powiada, że marną bywa czasem istotą, ale tylko czasem: bo zwykle jest wesoły, przezroczysty i mądry, co znaczy zmienny, więc nieuchwytny. Poza to nie umie ulegać. Dla tych to cnót został na straży domku. Bo dnia pewnego ubrało się dziewczynce, że na wielkiej drodze ciekawiej będzie, niż w różanym ustroju. Każdą jednak różę na odchodnym otuliła przezornie wilgotną szmatką, żeby nie kłóły w oczy przechodniów. Przechodnie uwierzyli, że to nie różę, czy inne tak jakieś zawracanie głowy, lecz szacowne w gospodarstwie narzędzia do opylania ram i luster, i chwalili dziewczynkę.

Dziewczynka tymczasem odeszła daleko.

Spodobała jej się Kraina Tysiąca Trzcina. Wymuskiły były, miały wielkie rozchełstane łby, srebrne i zorzane — o tyle, że właśnie pokazała się na niebie jutrzynka. Umiała się kiwać z dużym wdziękiem i powagą. Posiadała też z nich każdą swoją powiastkę, bardzo ładną, ale że wszystkie gadały razem, więc na dobrą sprawę nie można było wyrozumieć, o co chodzi.

Wówczas dziewczynka przetrąciła kolanka jednej trzciny, chcąc zbliżyć posłyszec, co w bagnie piszczy. Ale trzcina, mozolnie przyciągnięta na suchy ład zapomocą długiej gałęzi wierzbowej, całkiem straciła mowę. Tak było z każdą: zaś o kroków parę nieznośne, uparte trzciny rosły — piękne i wymowne! Dziewczynka siadła pod wierzbą, by razem z nią zapłakać; poznała wszakże, iż w zapasach o żywą treść, żywy miąższ mordowanych prawd, straciła dar łez.

Nie widziała już tęczy na pustkowiu: bo te były cudem łez na rzesach. To też zdało jej się pustkowie beznadzieją; zato linję każdą widziała ostro, aż do bólu, i barwę każdą nazywała imieniem, uznanem za właściwe przez głos tłumu, który, jak powszechnie wiadomo, głosem jest bożym.

Przypomniała też sobie, że sukienkę ma koronkową, i że jest zimno, zimno.

* *

„Miau!“ powiedział Kotek. „Niosę ci, dziewczynko, wieści z różanego domku... Smok znudził się stróżowaniem. Znalazł sobie inne różę... wierzaj mi, nie zna się na niczem! To szarlatan skończony!“

„A moje różę?“ spytała żałośnie dziewczynka.

„Biedne, biedne dzieciątko!... widzisz... trochę twoich różyczek poszło na sałatę niebieskiemu ptactwu... ale ty lubisz ptaszki, prawda? A trochę poszło na śmietnisko, między łopuch i pokrzywę... ale ty nie gardzisz skromnym ziółkiem, prawda?“

„I nic, i nic z nich nie zostało?“

„Cyt... cicho, cichutko maleńka moja... To już było; trzeba zapomnieć... O, tak i czujesz? Łapki mam takie miękuchne... Położę ci je na oczkach... żeby nie widziały brzydkich rzeczy, które boją. Ty weźmiesz gładki, czysty grzebiczek i będziesz czesała moją delikatną sierść... Ja to bardzo lubię — więc i ty musisz

polubić... musisz, malutka, bo tak będzie dobrze. No, zamknij oczka... zmrzucz oczęta, zmrzucz!“

„Ale słońce?! Słońca także widzieć nie będę, mój dobry kotku?“

„E, drobiazgi! Dziwię się nawet, że dziewczynka taka mądra i dobra, w takiej ładnej, koronkowej sukience, może być równie małostkową! Przecie to o wiele prościej będzie, jak ja ci opowiem czasem o słońcu, że jest jasne, jasne: czerwone, niebieskie, fioletowe... bardzo zajmujące! Tylko pamiętaj, ciesz się umiennie — i żebym miał zawsze ciepłe mleczko, skoro pierwsza gwiazdka zabłyśnie... moja ty kochana malutka!“

Dziewczynka potulnie czesała Kotka cały boży ranek i słuchała jego mowy, jedwabistej a rozropnej. Ale gdy o południu stanęło nad nią słońce, to prawdziwe, złote, upalne słońce, z wielu czarnymi plamami, nagłym dostojnym ruchem strąsnęła z oczu kocie łapeczki. Podążyła ku zachodowi, nie bacząc, że dobry Kotek miauczał bardzo, bo upodobał sobie lekki chód grzebienia na grzbiecie.

* *

Dziewczynka spoczęła u rozdroża. Było jej wstyd. Bardzo tęskniła po utracie różanego domku — i było jej wstyd, bo tak jest wszelkiemu niewinnemu winowajcy. Przytem lękała się wezwać Smoka, bo jej się, biorącej rzecz na rozumek węzowy, zupełnie do prawdy podobnym zdało, że Smok poszukał sobie ładniejszych róż. Dziewczynka, bardzo pokorne z natury stworzenie.

Ponieważ jednak było jej źle u rozdroża, postanowiła zakląć Smoka, by przybył i powiedział jej, czy to, co Kotek mniemał o smoczem wiarołomstwie, prawdą jest, czy prawdopodobieństwem? Żeby wbrew metodzie, powiedział jej, nakoniec, własną, prawdziwą prawdę.

Osobliwa rzecz jednak. Oto, chcąc zakląć Smoka, by zjawił się rzecz słowo swoje, zakłęła go — na swe własne, nieistniejące już, ponoć, różę, o których, dzięki perspektywie historycznej, zaczęła wątpić, czy kiedykolwiek istniały? Taka to już logika niewieścia, ujmujący dar gołębiego serduska.

Nie dziwota, że Smok przybył. Pociąga wieczysta kobiecość? — Zachowywał się jednak równie zagadkowo, jak przed wybrykiem dziewczynki. Natomiast wręczył jej naszyjnik... Myślicie, że z klejnotów? Broń Boże! Były to paciorki weneckie: dętki szklane, nieduże, bardzo misternie, barwnie kraszone.

„Co to ma znaczyć?“ — „Nic i wszystko. To są, królowno, zaczarowane różę, gawędy bratków, lzy — i dużo innych rzeczy niepotrzebnych. Noś to na pamiętkę moją, albo wyrzuc. Zresztą kocham cię, dlatego żegnam. Dość mocno bo jesteś, abyś sam stwarzał się, człowiecze, wierz mi!“

Dziewczynka, istotnie, została sama i zła. Niebardzo jakoś czuła się człowiekiem. Zbliżał się wieczór. Koronkowa sukienka była, jak już wiadomo, bardzo przewiewna.

* *

„Piesek!... a — a!“ uradowała się nagle dziewczynka. Piesek był młody, zwiny, odważny; przy stojny, zdrow piesek.

„Ham — ham!“ powiedział Piesek. „Czy masz co dla mnie smacznego?!“

„Nie mam, Piesku!“ rzekła dziewczynka, nieuleczalnie pokorna dziewczynka.

Przecie było jej smutno. Piesek ładny, lasi się uprzyjmie, ma białe ostre ząbeczki — taki zachwycająco pewny siebie.

„Wiesz, Pieseczku, co?!... Masz!!“ Na złość, na złość przewrotnemu Smokowi, płaksiwemu Kotkowi... Sobie na złość: masz!

Perelka szklana zgrzytnęła w ostrych ząbeczkach odważnego Pieska. Dziewczynka pożałowała nagle swej lekkomyślności... Późno już.

„A fe! co to za potrawa?!... Nie znam tego smaku!“ skrzywił się ładny Piesek. Ale miał dobre serce, więc rozgryzł jeszcze drugą perelkę i powachał trzecią.

„W środku niema nic“ — konstatawał dalej. „Za to może potrafisz usiekać dobry kotlecik?... Potrafisz, pewnie potrafisz“... ciągnął dalej — tak, ze szczerego serca, choć bez przekonania.

Dziewczynce było tymczasem okropnie zimno. Zrozumiała nagle, czego zrozumieć długo nie chciała, że koronki podarły się w całodziennej wędrówce, że dyskretne ażury prześwitują nędzą i bezwstydem, niczem gminne łachmany żebraka.

Uśmiechała się, uśmiechała się, mimo to — bo i cóż Piesek winien jej bezradnej głupocie?

Poczem odeszła, czując, że już naprawdę minął dzień.

* * *

Sady się wokół gwiazdździe nie śnieją. Wokół jest bór poważny, więcej nawet — bór złowieszczy. W górze niebo chmurne, miast rozkoszy dróg mlecznych.

Próbowała piąć się po skale, by znaleźć to, co jest po tamtej stronie: może własną zapomnianą ciszę i kwiaty? — Odmówiły jej pomocy wiotkie dłonie, zdarte wrędcy o szorstkie nieprzebycie głazów, ech głosem olbrzymim urągające.

Zostać trzeba w dole, pokornie, potulnie. Duszy własnej powiedzieć trzeba: idź precz odemnie! Bierz i te liche koronki na dokładkę! Ja chcę chodzić w modnej sukni z pierwszorzędnego magazynu, jak wszystkie zdrowe i pełne godności dziewczynki!

Na takie dictum wężowego mózdzku, wezbrało w dziewczynce serduszko gołębie. Rozbolało tak bardzo, że od przenikliwego, dotykającego wprost błysku noża w sercu, wrócony jej był dar łez.

Odnalazła tęcze na pustkowiu. Pozbierała też resztę potłuczonych paciorków, zmieszanych z pyłem przydrożnym. Zbierała, jak relikwie, po dniu, który minął.

* * *

Wtedy poczuła na ramionach swoich ciepło: na spowicie uczyniony całun, aby jej, żywej wpośród cmentarza, jaśniej było; całun powielekroć świetniejszą, niż suknią weselną prawdziwej królowej.

Zrozumiała, że Bóg czuwa nad rozrostem róż i że serca nie można żałować z chwilą, gdy umocniło się w dźwiganiu krzyża własnej odrębności; że błąkać się można w ciemnej nocy, nocy, gdy każdy ból stokróć boli, zwyciężając pokusę mazgajstwa. Że w taką noc należy zaśpiewać wesoło gwiazdom.

Hymn szczodry dziękczynienia za mękę, ten zbliża nas o wiele mil do Złotego Grodu.

Daleko jeszcze? — Być może; być może — niema go wcale.

Na złość, na złość jednak Fatum, na złość po krzepieniu bez mocy — długie, bure życie, klątwę gorzka, przeżyć trzeba, jak słoneczną pieśń.



CARMEN SYLVA:

MATKA STEFANA WIELKIEGO.

(Legenda historyczna.)



północnej Mołdawji, pomiędzy Piatra a Folticeno, na szczycie pewnego wzgórza, wznoszącego się stromo nad brzegiem rzeki, leżą ruiny starego zamku obronnego, zwanego przez okolicznych mieszkańców Niamcem.

Dawnemi czasy, gdy zamek ten służył za rezydencję wielkiemu księciu i sławnemu wodzowi mołdawskiemu, Stefanowi, uchodził on za fortecę niezdobytą. Bohater narodowy, którego sława rozeszła się w najdalsze strony, a imię przechowało się w tysiącu pieśniach w pamięci potomnych — dzielny i rycerski Stefan brał udział, jak wieść niesie, w czterystu bitwach, a z żadnej nie powrócił bez ran, i nigdy inaczej, jak zwycięzca. Po

każdym zaś powrocie, w dowód wdzięczności Bogu, budował wysoką cerkiew i odprawiał w niej dziękczynne modły. Niestrudzony obrońca swego kraju, wielki wódz, po trudach bitewnych rządził krajem swym sprawiedliwie i mądrze. W archiwach tajnych republiki weneckiej dochował się dotąd jeszcze tekst jego paktu obronnego, zawartego przeciwko Turcji. Pakt ten pomiędzy dwoma mocarstwami chrześcijańskimi, był kamieniem obrazy dla Turcji, która pragnęła wszelkimi siłami pokonać chrześcijaństwo na wschodzie Europy.

W czasach owych drobne państewka naddunajskie cierpiały straszny ucisk i nieustanną napaść ze strony swych dzikich sąsiadów pogańskich: Turków i Tatarów. Dzikie hordy nie dawały tym krajom spokoju

ani we dnie, ani w nocy, napadając i niszcząc wszystko po drodze. Stefan walczył z nimi zaciekle, a jego rycerze wierzyli w niego, jak w Boga, i szli za nim wszędzie, gdziekolwiek ich zechciał poprowadzić.

Podczas jednej z takich wypraw przeciwko Turkom w twierdzy obronnej Niemcu pozostały tylko dwie kobiety: żona i matka Stefana. Cała załoga twierdzy wyruszyła w bój. Obie niewiasty śledziły z niepokojem ze szczytu wieży za przebiegiem bitwy i widziały jasno, że tym razem zwycięstwo przechyli się na stronę nieprzyjaciela.

Młoda księżna płakała rzewnie, a łzy jej płynęły strumieniem po różowym liczku, otoczonym złocistymi kędziorami włosów. Drżąc z niepokoju i bólu, wychylała się przez blanki murów, to wpijając wzrok w przestrzeń, aby dojrzeć wśród gwaru bitwy postać ukochanego, to — w przystępie trwogi o jego życie — kryjąc twarz w fałdy płaszcza, aby nie widzieć już nic więcej. Inaczej zachowywała się matka Stefana. Nie ruchoma i spokojna, jak posąg kamienny, patrzyła ona przed siebie dumnie i bez trwogi. Pod cienkimi i surowo ściągniętymi brwiami płonęły czarne oczy, nadające jej, wraz z ostremi rysami szczupłej twarzy, wyraz orlicy. Czarna chustka okrywała siwiejące włosy. Usta silnie zaciśnięte znamięnowały energię i wolę. Za strój jej służyła skromna suknia z samodziału. Stała tak matka księcia dzień cały na wieży, z oczami, wlepionymi w jeden punkt. Od czasu do czasu tylko kładła w milczeniu piękną swą rękę na ramieniu synowej, drżącej w śmiertelnej trwodze przy każdym odgłosie, dolatującym z pola bitwy.

Walka stawała się coraz zacieklejszą — wojska nieprzyjacielskie nacierały coraz to bliżej na rycerzy Stefana, którzy zaczęli się cofać.

— Ach, matko — jęknęła rozpaczliwie młoda księżna — Stefan może będzie zabity.

— Nie, córko, Stefan zwycięży, zanim wstanie jutrzejsza zorza poranna.

Spokój i pewność siebie, z jakimi starszka wypowiedziała te słowa, uspokoiły nieco młodą kobietę. Ale zgiełk bitwy stawał się wciąż bliższym i bliższym...

Słońce letnie, zapadając za brzeg widnokregu, tliło się ostatnimi blaski. Cienie się snuły po polach. Mrok rozścielał się szybko — noc rozciągała nad ziemią czarny swój płaszcz, zakrywający niebawem cały horyzont, aż po brzegi.

Dwie kobiety siedziały wciąż jeszcze tam, wysoko, nieporuszone, milczące, całe zamienione w słuch. Nagle ciszę nocy zmaćił szybki tentent konia, a w chwilę potem rozległo się silne i władcze kołatanie do zawartej bramy.

— O matko, to Stefan, poznaję go — i młoda księżna zerwała się radośnie z miejsca — lecz starszka jednym ruchem ręki powstrzymała ją i, zapaliwszy latarnię, schodzić ją w dół po kamiennych schodach.

— Kto tam? — spytała, nie odsuwając wrześciadów.

— Jam to jest, matko, syn twój, Stefan.

— Mój syn! Cóż ty za obcy, co szukasz wejścia do domu mego bohaterskiego syna?

— Matko, błagam cię, otwórz mi. Jestem zwyciężony, Turcy gonią za mną, znużony jestem, rany mię pała.

— Ty, coś wyrzekł te słowa, nie jesteś moim synem, lecz jakimś nieznanym. Mój syn nigdy jeszcze nie wrócił do domu, dopóki nie zwyciężył. Stefan nie może być tu w tej chwili — on jest tam, na polu bitwy, zwyciężając ze swoim dzielnym wojskiem nieprzyjaciela. A ty, młody rycerzyku, któryś próbował mi oszukać, nazywając się synem moim, idź sobie. Dla ciebie nigdy się te wrota nie otworzą. Wracaj na pole boju, umrzyj tam, jeśli nie możesz zwyciężyć, śmiercią bohaterską, a wtedy ja sama będę ci matką i stroić będę mogiłę twą w kwiaty.

Młoda księżna padła na kolana przed nieugiętą kobietą i błagała ją o litość ze łzami w oczach, ona jednak nakazała jej milczenie.

Książe Stefan, złamany bólem i wstydem, słuchał słów matki w milczeniu. Nagle powstał, uniósł dumnie głowę, jak wprzód, odrzucił w tył bujne kędziorzy włosów, wskoczył na konia i, trąbiąc w swój róg bojowy, puścił się z powrotem w ciemną dal, ku polu bitwy, na które go wysyłała matka po śmierć bohaterską. Nadźwięk jego rogu zbierać się poczęła rozproszona przez wrogów bojowa drużyna księcia, gotowa do nowej walki.

Jak burza, przeleciał Stefan przez błonie i wpadł na obóz nieprzyjaciela, który się był tymczasem, uradowany zwycięstwem, rozłożył bezpiecznie na leże nocne. Rozpoczęła się nanowo bitwa, zgiełk której rozlegał się daleko wokół. Powiew nocnego wiatru przynosił obu niewiastom echo okrzyków zwycięskich, na dźwięk których a zały im serca radością wielką.

I oto znowu rozbrzmiewa głos rogu — tym razem tryumfalny. Stefan jedzie ku zamkowi, którego wysokie wieże kryją się wśród chmur, a wszystkie okna, na powitanie zwycięscy, płoną radośnym światłem.

I znowu słyszą obie niewiasty tentent konia, i znów staje Stefan — tym razem na czele swej drużyny — przed wrotami zamku, otwartymi szeroko na jego przyjęcie.

Na widok matki swej zsiada wódz z konia, pada przed nią na kolana i rękę jej do ust swych przyciska.

— Tobie, matko, zawdzięczam to zwycięstwo...

Ona przytuliła głowę syna do piersi swych i z dumą całuje jego czoło. Poraz pierwszy w życiu oczy tej surowej niewiasty napełniają się łzami...

Stefan przygarnia do siebie młodą swą żonę, całą promienną szczęściem, jak kwiat wiosenny.

— Chciałaś mi wtedy otworzyć wrota, gdym powrócił? — pyta z uśmiechem.

— O, ukochany, mamę cię ponad wszystko i lekam się o twe życie — odparła głosem, w którym drżały łzy.

— Tak — odrzeczł Stefan głośno, zwracając się do swej drużyny — lecz matka mię umiłowała bardziej i lepiej, niżli ty.



CECYLJA WALEWSKA

PANNA KAMILCIA

5

Historja prawdziwa.

Nie widziała tej sceny Kamilcia, wpatrzona w żółty balon, który jeszcze trwał na stanowisku. Jak gdyby czekała na znak stamtąd, na wolę nieba i słońca, które budziły w niej dziwne głosy. Słyszała je w sobie wyraźnie, ale jeszcze mówić nie mogła.

Lekki wiatr południowy przeleciał po chorągiewkach wzdłuż lin obserwatora.

Kamilcia drgnęła. Znak. Podeszła do kamiennej balustrady balkonu, wyciągnęła ręce i zaczęła wzywać tłum, żeby poszedł za nią zbawić Polskę. — Nie ma pieniędzy, nie umie bić się, ale trzeba tylko prosić. Wszystkich królów na świecie, samego papieża. Ona poprowadzi. Tylko, żeby dużo ludzi było, bo jej samej nie wysłuchają ani króle, ani papież. Mówiła biegłym wierszem, przypominającym prozę Krasińskiego, którego nigdy nie czytała. Z kątów podświadomości wypływały zdania dziwne, dyktowane siłą przemożną, a niewytłomaczoną, jak magia księżycy, jak przypływ i odpływ oceanu.

Słuchałem jej, przyczajona z tyłu za nią, i jakiś lęk niesamowity rósł we mnie. Zdawało mi się, że runę w otchłań kamienistej ulicy z nią razem, choć rwało nas ku sobie niebo i słońce.

Mówiła odtąd bez przerwy tym swoim dziwnie przewlekłym, nosowym głosem, który szedł za mną wszędzie — w gwarne środowisko ludzkie, czy w samotnię mego pokoju — blisko czy jaknajdalej od niej i grażył jestestwo moje zjawą prawdy, przed którą truchlała dusza. Wszystkiego bałam się teraz. Było mi, jak gdyby świat cały wirował z nią, tą obłąkaną dziewczyną i ze mną, w jakimś przepaścistym kręgu, z którego niema wyjścia.

Zaprowadziłam ją do lekarza. Opowiedziawszy przebieg choroby, zwróciłam uwagę na źródło jej i podłoże.

Dr. Wacław Męczkowski — nie żyje dziś ten człowiek dobry i mądry — wezwał Kamilcię z poczekalni. Usiadła na brzeżku krzesła i patrzyła w niego płochliwymi swemi oczyma.

— No, co pani jest? Dlaczego przyszła pani tu do mnie?

— Panie doktorze, ja przyszłam powiedzieć, że zostałam królową Polski. Mój pradziad był markiz. Wszyscy się bili za Polskę — a teraz ja muszę. Pójdę do królów i papieża. Będę błagała. Wysłuchają. Musi być Polska.

I potoczyło się opowiadanie białym wierszem, jak zbierze tłum i ruszy na jego czele. Jak wszyscy muszą być dobrzy, bo tylko dobroć zwycięża. Jak później nie będzie panów ani sług, ale zostanie *h r a b s k a k r e w*, bo musi, bo to jej prawo.

Słuchał doktor. Słuchaliśmy oboje. A mnie jakby coraz gwałtowniej rwało coś w wiry obłędne i przez martwe okna cichego gabinetu wtłaczało się straszne cielsko potwory, która w ową pierwszą noc na nowem mieszkaniu zwiastowała nieszczęście.

— Państwo mieszkacie na którym piętze? — zwrócił się do mnie doktor:

— Na piętym.

— Balkon jest? Tak.

— W takim razie musi pani usunąć chora jaknajprędzej z tego mieszkania.

· Kazał wyjść Kamilci do poczekalni.

— Widzi pani, takim nieszczęśliwym krzyczą w uszy różne nakazy. Może przyjdzie głos, żeby skończyła w dół. Nie chciałaby pani mieć tego na swoim sumieniu — prawda? Więc proszę ją przywieźć do mnie jutro. Mam w szpitalu na Złotej cztery pokoje dla swoich nerwowo chorych. Umieszczę ją z trzema dziewczętami, które też jak ona zbawiają Polskę, bo to teraz epidemiczne. Tylko tamte nie gadają. Leżą i patrzą w sufit. Uczennice seminarjum nauczycielskiego. Dwie już miały skończyć teraz. Więc do jutra — bez zwłoki czasu...

Tego dnia po południu wyszłam z nią na balkon. Usiadłyśmy na ławeczce pod ścianą.

— Chcę ci powiedzieć, Kamilciu, że musisz się leczyć. W domu nie można. Doktor, u którego byliśmy dzisiaj, pragnie cię mieć pod swoją opieką. Jutro cię zawiozę do niego, do szpitala. Będiesz w pokoju z trzema dziewczynkami, które też nie są zdrowe.

— Może chłopki?

Spojrzała przerażona, oczyma, których stężała błyskawica przeszła mnie nawskroś.

— Uczennice seminarjum. Ciche panienki. Nie będą ci przeszkadzały.

Tej nocy miała silne bóle głowy. Zrywała się co chwila, krzyżąc, szlochając. Zasnęła o świcie dopiero. Było już po ósmej, kiedy zająrzałam do niej. Leżała z oczami, szeroko otwartymi. Nie patrząc na mnie, powiedziała:

— Proszę pani, ja dziś będę tłukła wszystkie lustra, tutaj i w całym domu. Przyszedł anioł i kazał. Bo nie będzie Polska zbawiona, dopóki próżność będzie na świecie. A człowiek, który chce siebie widzieć w lustrze, jest próżny. Ja byłam próżna. Już nie będę.

Zerwała się. Schwyciła lustro i puszek z pudrem, które leżały obok łóżka na krześle. W mgnieniu oka wyrzuciła je przez małe okienko alkowy w bezdnie podwórza. Ręka jest zeszytywniała w ruchu. Ona sama stanęła w kataleptycznym zapamiętaniu.

Zawołałam ostro, żeby się ubierała, gdyż musimy pojechać do doktora. Jak ze snu zbudzona, powoli zaczęła szukać najbliższych przedmiotów niby czegoś bardzo dalekiego. Wciągnęła pończochy, spódnice sukienkę.

— A buciki?

— Anioł nie chce. Próżność.

Ledwie jej wytłomaczyłam, że nie może iść pół pojechać do doktora. Włożyłam jej kapelusz na głowę. Zrzuciła go i wyszła na balkon, żeby mówić do niewidzialnych słuchaczy, bo nie patrzyła na tłum ludzki w dole. Nagle przystąpiła do krzaku bzu białego, który zakwitł w doniczce, i pewną ręką, nie szukając, wyrwała z gałązki koronę pięciolistną, kazała mi popatrzeć na nią, a potem schować do maleńkiej, kasetki, którą miałam przy łóżku swoim.

— To na szczęście. Nie będzie pani w tę wojnę nigdy głodna i pan także... Za to, że nie byłam tutaj, jak prosta chłopka... Anioł kazał powiedzieć...

Uklękła i uderzyła w płacz. Naraz podniosła się i wolno, z wielkim skupieniem, wyjęła z zanadru obrazek Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Pokazała mi go.

— Ja tak chcę być u pani, jak to Dzieciątko własne — na zawsze. Wtulę się w jakiś kąt tutaj i już zostanę. Będę się modliła za panią i za pana. Tylko,

żeby już nigdy ztąd nie wyjść. Żeby nie być, jak to chłopskie popychle — dziś u jednych, jutro u drugich, a zawsze w służbie, zawsze w poniewierce...

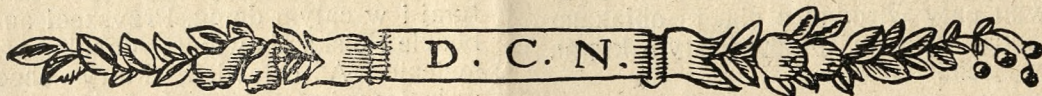
Zaczeła szlochać. Łkanie przeszło w spazmy. Położyłam ją na otomanie, przyniosłam wody, kazałam odpocząć i przyrzekłam, że nie opuści jej nigdy, że będzie zawsze naszym dzieckiem, które uchronię od poniewierki.

Rozsypał się w proch bez pięciolistny, który mi dałaś, Kamilciu. Niema już ciebie na świecie, ale dla mnie zostałaś, jak przyczajony gdzieś w ścianach mego domu daszek, który ochronił mnie i mego starego męża od klęsk wojny — od głodu, nędzy, poniewierki. Jesteś, jak wspomnienie zła, które wisiało nad nami, a które ty wzięłaś na siebie i wchłonełaś swoją czystą, niewinną duszą. Trwasz we mnie wdzięcznością i żalem twego młodego życia, które widać było potrzebne gdzieś, kiedy spaliłaś się tu, na ziemi, jak ambra, garścią dziecka rzucona, garścią dziecka na płomień błękitny. Wróci płomień. Zadrży nad czyjś czołem. Kogoś powoła. Może to będzie twój chrześniak — Stasinek, kropla krwi twojej, a może obcy, który nie dowie się nigdy, kto był aniołem jego czynu?

Zgasło twoje młode życie, ale nie twój poryw, bo on jest, jak to światło przed Ciałem Chrystusa w wielkim ołtarzu — wieczne — mimo, iż spala się oliwa, która je syci.

* * *

W szpitalu Kamilcia już tylko po cichu, do ucha mówiła mi, że ma zbawić Polskę. Towarzyski jej — każda w sobie — głęboko chowały tajemnicę zamierzeń swoich. Jedna tylko przez Kamilcie w sekrecie prosiła, że bym jej przyniosła tekturę i nożyk w wykra-



wania broni na Moskale i Niemca. Druga co wieczór po cichu wstawała, próbowała wydostać się ze szpitala, żeby iść w świat, szukać legionów i walczyć z nimi razem za Polskę. Trzecia płakała ciągle i modliła się o cud, żeby nagle została chłopcem, bo wtedy pójdzie bić się z wrogiem. Słodka, łagodna Kamilcia zawsze jeszcze tylko prośbą postanowiła zmiekczyć serca cesarzy, królów i papieża, żeby przywrócili Polskę.

Po paru tygodniach rodzina zabrała jedna seminarzystkę — tę, która ciągle płakała. Obłęd jej był cichy — raczej melancholja. Przewidywano, że może prędzej minie wśród swoich. Miejsce jej zajęła inna chora, młoda, szczupła blondynka o głębokich, czarnych oazach z obrazu Madonny Murilla. Od pierwszej chwili obudziła zachwyty w Kamilci. Patrzyła w nią jak w świętą, składała ręce, modliła się do niej. Zachwyty przechodził w ekstazę. Klękała na łóżku. Oczy jej nabierały blasków, jak u rozmodlonych świętych Luitpolda lub Giotta. Twarz, usta pały. Trwała w nadziemskim ubóstwieniu. Gdy w takiej chwili przyszedłam do niej i — siedząc zdaleka — czekałam, aż minie stan zachwycenia, zwracała ku mnie czasami głowę wolno, jak na rdzawych zawiasach i szeptała:

— To Matka Boska... Przyszła mnie pobłogosławić...

Ale nastąpiły dni straszne. Ekstaza minęła. Kamilcia — jak objaśniali lekarze — zaczęła słyszeć w sobie od wewnątrz głosy, które jej groziły, albo może rzucały straszne nakazy. Krzyczała, żeby je zgłuszyć. A krzyk ten był coraz rozpaczliwszy. Rozległ się po całym szpitalu w dzień, w nocy, bez przerwy. Chorzy nie mogli spać. Przeklinali ją. Gdy przyszedłam któregoś ranka, już jej nie zastałam. Wywieziono ją nocą w zamkniętej karecie tam, skąd prawie już nie wychodzą ludzie, żeby żyć po za mrokiem odruchów.

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

27

Na wieść o pośpiesznym poddaniu Soissons przez dowódcę jego garnizonu, wpada w szał gniewu — woła, że rozsiekaliby tego zdrajcę własnymi rekoma... Za to mieszczenie Compiègne stają się bliscy jej sercu, równie, jak Orleańczycy, przez swą niezłomną wolę obrony. W księgach grodowych zachowała się ich uchwała jednorodna, stanowiąca, iż zgina raczej, niżli odstąpią sprawy króla, choćby on sam tego żądał. Oto prawdziwi bracia Joanny, w duchu i w doli... „Wierność ich była krępująca**”) — ich poświęcenie wiele przysparzało kłopotu. Arcybiskup de Chartres i książę Clermont tłómaczą się pokornie Filipowi z niepojętego oporu Compiègne — oświadczając, że król nie będzie przeciwdziałać obleżeniu...

A tymczasem Dziewa, przez kwiecień cały i większą część maja, przebiega okolice Compiègne w szerokim promieniu, zygżakowatym szlakiem, na własną rękę organizując obronę. W Lagny (nad Marna) zwerbowała sobie czterystu ludzi, z którymi zwycięża równe siły groźnej bandy burgundzkiej i bierze jeńcem jej

łowódcę, znanego opryszka, Frauquet d'Arras. W bitwie tej okazuje się znowu, że „biegła była wielce w rychtowaniu dział“**).

W maju, prowadząc zaciągi, zbierając żywność, broń, amunicję, krąży dokoła zagrożonej twierdzy „jak pies stróżujący, co zgromadza trzodę“*). Udało jej się skupić pod swą chorągwią 2.000 wypróbowanych wojaków.

Władza królewska nie sięgała wówczas tak daleko, by podobnej partyzantki mogła poprostu zabronić. Arcybiskup, ks. Clermont i La Trémouille, czynili jednak wszystko, dla zahamowania jej, płacząc się ciągle ze swą dyplomacją, w rejonie działań Joanny; są silnie poszlaki, że spiskowali przeciw niej z dowódcą wojskowej załogi Compiègne, walecznym, lecz niegodziwym, Wilhelmem Flavy. Podobno nawet uciekli się do jakiegoś podstępu, aby oderwać chwilowo Joannę od jej oddziału, a tymczasem skłonić go do rozproszenia się.

**) Słowa księcia d'Alençon.

*) G. Hanotaux.

W spojrzeniu, w ruchach osaczonej ofiary musiało być wtedy coś tragicznego: czasem, gdy modliła się w kościele, ze zwieszoną żałośnie głową, skupiały się koło niej grupki nieznanym ludzi, ze łzami w oczach, jakby pragnąc pocieszyć bez słów swoją ukochaną Dziewę. Raz, w połowie maja, w jednej ze świątyń Compiègne, wzruszona niemem współczuciem tłumu, poskarżyła się głośno:

— Dzieci moje i miłe przyjaciół — jam sprzedana, zdradzona. Wrychle mnie wydadzą na śmierć. Błagam was, czyńcie modły za mną...

A przecie, nie mając już złudzeń, trwa do ostatka niezłomnie w tem, co uważa za powinność swoją. „Compiègne warte jest Orleanu. Te dwa ooblężenia czynią dyptyk, bramując symetrycznie ową krótką, cudowną karierę“.*) Twierdza, broniąca praw króla, wbrew jego woli, została przez Joannę umocniona w oporze, dźwignięta do wyżyn niezwykłego bohaterstwa. Dlatego tylko załoga, nie dochodząca nawet kilku tysięcy, lecz wsparta zapalem ludności całej, mogła stawić czoło przez wiele miesięcy 20-to tysięcznemu prawie wojsku i ciężkiej artylerii...

W chwili rozpoczęcia oblężenia Dziewica ze swym lotnym oddziałem była odcięta; przedarła się jednak do miasta, na jego czele, nocą 23 maja. Tegoż dnia popołudniu namówiono ją do wycieczki, dla zniesienia najbliższego burgundzkiego posterunku.

Zadanie się powiodło — lecz niespodzianie nadszły większe siły nieprzyjacielskie, i zwycięstwo zamieniło się w porażkę. Hufiec francuski uchodził już, co sił — gdy Joanna, otoczona najbliższa swa świta, walczyła jeszcze ze wspaniałego, siwego rumaka, wołając, jak zawsze:

— W imię Boga, naprzód!

Towarzysze uprowadzili ją siłą w tył, wówczas dopiero, gdy za uciekającymi podnoszono most miejski i zamykano bramę. Nie było już gdzie wracać: pozostało tylko przetrząść się przez szeregi wrogów i za-

*) G. Hanotaux.

uwać rącości koni. Trudno uwierzyć, by rycerka, broniąc się wtedy z odwagą rozpacz, nie zabiła nikogo (jak zeznaje później, z pełnym przekonaniem, podczas procesu); uniesiona szaleńczo w walce, rozdawała z pewnością śmiertelne ciosy, nie wiedząc nawet, co czyni. Ci najwierniejsi, co pozostali przy niej, też nie żalowali ramienia. Lecz daremnie — oblegający, spostrzegłszy się, kogo los oddaje im w ręce, wyteżyli całe swe męstwo i wszystkie siły, aby ująć cenny łup.

A z bliskich murów Compiègne nie odezwał się ni jeden strzał, nie przybywała żadna pomoc...

Ściągnięta z konia za swą szkarłatną, złotem dzianą suknię, przyduszona brutalnie do ziemi kolanami zjadłych Burgundów, rzuciła im w twarz przez ściśnięte zęby:

— Poddawać się?! Innemu oddałam cześć moją rycerską... nie wam! I zdzierzę ślubowania!

Razem z Dziewicą dostali się do niewoli rycerze: d'Aulon i Potou, brat jej Piotr i kapelan Pasquerel.

Ogromna radość zapanowała w obozie, gdy wprowadzono gromadkę jeńców. Zdawało się Burgundom i Anglikom, że dawne szczęście wojenne powróci, skoro mieli oto w ręku tę, co im je wydarła. Książę Filip rozesał zaraz gońców we wszystkie strony, ze specjalnym orędem triumfalnym.

Sam pośpieszył copędzej oglądać łup, jak motyla w siatce... Jakie słowa padły między temi dwojgiem, zmilczeli świadkowie, umyślnie chyba — bo odważna szczerłość Joanny mogła być wielce niemila dworakom „Wielkiego Księcia Zachodu“. Co ona śmiała rzec w oczy zdrajcy, — tego oni bali się nawet powtórzyć...

Wedle praw ówczesnych, branka należała teraz do Jana de Luxemburg, księcia Ligny (pojmiana była bowiem przez jego ludzi) — lecz ten, jako wasal, oddany swemu panu, nie mógł nią rozporządzać bez zgody Filipa „Dobrego“. Kwestja jeństwa była wtedy prawie zawsze kwestją okupu; zupełnie wyjątkowo tylko nie uwalniano za pieniądze wrogów, szczególnie groźnych wojskowo, a zwłaszcza politycznie.

(c. d. n.).

JANINA MASZEWSKA - KNAPPE.

TAJNIKI ŚWIATA ZWIERZĘCEGO.

5

Od najniższych szczeblów w szeregu, aż do najwyższych, wszystkie zwierzęta, w pewnej chwili swego istnienia, zniewolone bywają wzięciem udział w jakimś stowarzyszeniu. Otoczenie społeczne jest niezbędnym warunkiem zachowania i odnowy życia. Jest to mocne prawo biologiczne, a nie przywilej, jak się często mniema, przywilej pewnych gatunków, odosobnionych w szeregu istot zwierzęcych, jak bobrów, pszczół i mrówek. Jest to zjawisko, przeciwnie, stałe — powszechne. Co więcej, od najniższych szczeblów, aż do najwyższych spostrzega się w rozwoju nawet potrzeb towarzyskich postęp wyraźny, postęp — w którym każda grupa zoologiczna posuwa się coraz wyżej, w miarę wspinania się na szczeblach drabiny zoologicznej. Zwierzęta są szalenie towarzyskie. Znany jest przyrodnikom fakt, że na brzegach wielkich lasów i puszczy, zbierają się co rano wszystkie ptaki niedrapieżne i wspólnie witają radośnie jutrzeńkę. „Pod wieczór, mówi Brehm o wronach (t. I. str. 279) zbiera się ich wielka liczba w oznaczonych miejscach, dla udzielania sobie wrażeń dnia. Udają się tam z niezwykłą przezornością, po wystaniu

szpiegów dla zbadania miejscowości. Widziano w Dijon (w Bretanii), ogromne stada wron, niektóre zawierały przeszło 500 ptaków i musiały przelecieć najmniej 15 kilometrów, a zbierały się w parku Kondeuszów i tam, przed zaśnięciem, w największej wysokości oddawały się zabawom, przy akompaniamencie głośnego krakania. Wkońcu zimy przeniosły one te zabawy na południe. Następnie, zebrania te stawały się coraz mniej liczne, w końcu ustały zupełnie.

Gdy młode szpaki się wyklują, mówi Brehm, rodzicielska para ma tyle pracy z ich karmieniem, że ojciec-szpak niema czasu w ciągu dnia korzystać ze swego ładnego głosu. Jednak wieczorami, gdy piskłeta nasycone, otulone skrzydłami matek, zasypiają w swych gniazdkach, samcy zbierają się gromadkami i śpiewają chórem. (Brehm, t. I, str. 244) W Hawrze, mówi dalej Brehm, wróble z całej okolicy portowej naznaczają sobie każdego wieczoru schadzki na drzewach przed gmachem teatru, w miejscu, gdzie nie mogą sobie znaleźć i gdzie nie szukają sobie żadnego pożywienia i tam, całemi tysiącami, siedząc nieruchomo lub fruując z gałęzi na gałąź, wydają ogłuszające, ra-

dosne krzyki. Rano, przed rozstaniem się, witają świt, takim samym koncertem. Wogóle, znaczna liczba ptaków różnych gatunków łączy się na ranny i wieczorny wspólny śpiew.

W wyższej Gwinei szympanse postępują zupełnie tak samo, jak wyżej wspomniane ptaki.

Houzeau opowiada, że widział w Teksasie młode psy kolonistów, zbierające się co dzień po południu na jednym miejscu, gdzie oddawały się różnym zabawom. Po półtora, lub dwugodzinnej nieobecności każdy pies wracał rozbawiony i szczęśliwy do domu. Psy dorosłe nie przyjmowały żadnego udziału w tychże zgromadzeniach.

Wogóle, trzeba to podkreślić, że u wszystkich prawie gatunków zwierząt młode osobniki najłatwiej łączą się w stada. Tam, gdzie dorosłe żyją parami, młode, aż do okresu miłosnego, żyją gromadami. Tworzą one wspólne społeczeństwo, ale trwa ono zwykle tylko do czasu dojrzałości płciowej osobników składowych, to jest, przez okres, gdy uczucia rodzinne nie stają na przeszkodzie. Lecz, gdy nastąpi czas — zakładania rodzin, zjawia się gwałtowny niszczyciel — zazdrość. Żywiół przemożny. Wywoła walki wściekłe między samcami, rozdzieli samice, które staną po stronie swoich samców. Po utworzeniu się par, ze zwiększeniem się liczby członków, potrzeby rodziny wzrosną. Zdobywanie pożywienia zapali nową nienawiść i stworzy ostateczny rozdział. Stowarzyszenie będzie żyć, przynajmniej czas jakiś, w rozproszeniu i to właśnie pod w.p.l.y.w.e.m u.c.z.u.ć r.o.d.z.i.n.n.y.c.h. Z powodu tych uczuć, dwie trzecie społeczeństw zwierzęcych rozbiega się podczas okresu miłości. Co do gatunków całkowicie nietowarzystkich, to żarłoczność młodych, rozszerzając teren polowań rodziców, zmuszając tych ostatnich do zaborczości i wojowniczości — siłą rzeczy powoduje coraz większą ich samotność. U ssących widzi się silne przeciwieństwo między rodziną, a społeczeństwem. Nie znajdujemy między nimi takiego stada, złożonego z rodzin, któreby się nie rozpraszało pod działaniem miłości i potrzeb wychowania dzieci. Tam, gdzie rodzina jest ściśle połączona, społeczeństwa nie tworzą

się wcale lub też spotykają się bardzo rzadko, w okolicznościach nader sprzyjających, a szczególnie tam, gdzie brak instynktów drapieżnych.

W świecie zwierzęcym widzi się niezbiecie, że wszędzie spoistość rodziny i możność powstawania społeczeństwa są do siebie w stosunku odwrotnym! Ażeby uformowało się społeczeństwo trzeba, aby węzły rodzinne były w pewnym stopniu osłabione; aby osobnik używał osobistej swobody. Dlatego to społeczeństwa uorganizowane są tak rzadkie między ptakami. U ssących, naodwrot, znajdujemy społeczeństwa mniej więcej uorganizowanego, dlatego, że w klasie tej zwierzęta nie są pochłonięte przez rodzinę. Łatwo zresztą zrozumieć, że uczucia rodzinne, tak blisko związane z miłością własną, wywierają taki sam, a nawet o wiele silniejszy wpływ na tworzenie się większych społeczeństw, jak egoizm indywidualny.

Łączenie się w gromady i tworzenie się społeczeństw zwierzęcych, tak czasowych, jak i długotrwałych, jest w świecie zwierzęcym niesłychanie ciekawym przejawem życiowym. Czynniki, które się na to składają, przyczyny, które je powodują są tak różnorodne, że nie może tu być żadnych uogólnień. Fakt istnienia społeczeństw zwierzęcych, a co zatem idzie, i pewnego rodzaju życia p r z e m y s ł o, w, e, g, o nawet, jest uznanym już od czasów starożytnych, kiedy chciały go zgłębić umysły filozofów ówczesnych, będących jednocześnie badaczami przyrody, jak ojciec wszechwiedzy, Arystoteles n. p. — nie wyjaśniono go jednak dotąd. Nie związane z żadnym prawem ogólnym. Z zoologów naszych stuleci, którzy specjalnie temu zagadnieniu się oddawali i do pewnego stopnia wywiązali się z zadania i największe zasługi położyli, byli: Cuvier (Grzegorz i Fryderyk) Hubertowie — ojciec i syn, Milne Edwards, Lacaze — Duthiers, Houzeau, Giard. Jedni badali stowarzyszenia, wytwarzane przez zwierzęta niższe, z klasy promieniaków, inni określili ustrój społeczny żyjących gromadnie owadów; nakoniec cały tłum przyrodników i podróżników gromadził wiadomości o objawach wspólnego pożycia wśród zwierząt wyższych, o objawach, które w jednym rozległym obrazie przedstawia przepiękne dzieło Brehma.

(c. d. n.).

Kobieta w świecie i w domu

KOBIETY W PRZEMYŚLE AMERYKAŃSKIM.

Biuro statystyczne departamentu pracy w Stanach Zjednoczonych ogłasza drukiem dzieło p. t. „Rozwój ogólny przemysłu w Stanach Zjednoczonych i wpływ jego na zatrudnienie kobiet w poszczególnych gałęziach tego przemysłu“. W książce tej znajdujemy bardzo interesujące zestawienia statystyczne, dotyczące pracy kobiet w różnych dziedzinach przemysłu amerykańskiego.

Ilość kobiet pracujących zawodowo na polu przemyslowem w Ameryce zwiększa się z każdym rokiem. Przyczyniają się do tego nowoczesne badania naukowe z dziedziny techniki, uniezależniające w znacznym stopniu pracę w fabrykach, warsztatach i t. p. od siły fizycznej i, co za tem idzie, udostępniające ją dla kobiet. W bardzo wielu gałęziach przemy-

ślu, które dotychczas wcale, lub w wyjątkowych tylko wypadkach zatrudniały kobiety, personel kobiecy stanowi dziś znaczną większość.

Wyjątek stanowi w tym wypadku przemysł papierniczy, który w ostatnich latach przestał zupełnie prawie zatrudniać kobiety. Zato wynalezienie jedwabiu sztucznego przyczyniło się w ogromnym stopniu do wzmożenia pracy zawodowej kobiet. Wzmiankowana gałąź przemysłu znajduje się prawie wyłącznie w rękach kobiecych.

Wielkie warsztaty fabryk lam elektrycznych firmy „Mazda“ zatrudniają prawie wyłącznie personel kobiecy. Produkcja płaszczy gumowych spoczywa także przeważnie w rękach kobiet. Stanowią one przeszło 80% wszystkich pracowników tej gałęzi przemysłu.

Również przemysł krawiecki należy do zajęć czysto kobiecych. Statystyka wykazuje, że przemysł ten liczy siedem razy więcej kobiet, niż mężczyzn, wśród swych pracowników.

Wprowadzenie w użycie nowych rodzajów metali przyczyniło się także do wzbogacenia dziedzin pracy, odpowiedniej dla kobiet. W przemyśle metalurgicznym duży odsetek pracowników stanowią dziś kobiety.

Bezsprzecznie jednak polem pracy zawodowej, na którym kobiety święcą największe triumfy, jest praca biurowa, w szczególności zaś stenografia i stenotypja. Udział kobiet w tej gałęzi pracy jest z każdym rokiem coraz liczniejszy. W roku 1890 statystyka pracy w Stanach Zjednoczonych wykazywała tylko 21.270 maszynistek i stenografistek, co stanowiło zaledwie 63.7% wszystkich kobiet, pracujących zawodowo w Ameryce. Obecnie ta sama statystyka wykazuje 564.744 pracowniczek na tem polu, co stanowi 91.8% wszystkich pracowników biurowych tej kategorii. To samo da się powiedzieć i o gałęzi przemysłu telefonicznego, wprowadzonego do Ameryki w r. 1876. Od tego czasu kobiety zmonopolizowały prawie wyłącznie zajęcie telefonistek, tak że mężczyzn na tem polu pracy niema w Ameryce prawie zupełnie.

BADZCIE PIĘKNEMI“.

Pod tym tytułem wydała znana powieściopisarka francuska, Lucie Delarue-Mardrus, nowa książkę, w której staje się gorliwą apostołką piękna niewieściego i podaje liczne, a podobno i skuteczne środki ku jego pielęgnowaniu i zachowaniu na czas możliwie najdłuższy.

Jako prawdziwa Francuzka, pani Delarue-Mardrus rozpoczyna dzieło swe od stwierdzenia, że „piękność kobiety nie zależy wcale od rysów jej twarzy“. „Jeśli natura nie obdarzyła nas pięknosciami, należy umieć stworzyć ją sobie. Nigdy nie należy wątpić o możliwości upiększenia twarzy, choćby najbrzydszej. Jeśli się nie jest ładną, musi się mieć jakiś wdzięk, jakiś właściwy sobie styl, który należy podchwycić i wyzyskać.“

Szczególnie baczność uwagi radzi zwrócić autorka na spustoszenie, jakie w urodzie niewieściego czyni nieubłagany postęp czasu. „Jeśli się pozwoli naturze działać bez przeszkody, przyjdzie pewien okres czasu, w którym codzień znajdować będziemy na swej twarzy i w całej swej postaci jakiś brak. Tak czyniły nasze babki, poddając się bez skargi biegowi czasu. Gdy pomyśle o tem, że Balzac, tak bliski naszym czasom, mógł pisać o „Kobiecie trzydziestoletniej“ — gdy sobie uprzytomnie, że Rousseau nazywał panią de Warens „mamusią“, przerażenie mnie ogarnia na myśl o losie, jaki z rezygnacją przyjmowały kobiety ówczesne“.

I, sławiąc czasy, w których kobieta nigdy nie rezygnuje ze swej młodości, zachwyca się pani Delarue-Mardrus nowemi wynalazkami kosmetyki, wkraczającymi już nieraz nawet w dziedzinę chirurgii. Z podziwem, pełnym uwielbienia, pisze o specjalistach-lekarzach, którzy nie tylko potrafią odmłodzić twarz, nacinając i ściągając skórę z czoła, policzków i szwi, lecz odmładzają także całą postać, wycinając niepotrzebne warstwy tłuszczu i przekształcając „najobfitsze kształty Junony w pełne dziewiczego wdzięku okrągłości nimi“. Tym rozważaniom chirurgicznym poświęca autorka sporo miejsca, zastanawiając się nad drażliwością niektórych operacji, dość często podobno praktykowanych.

Inną kwestją wielkiej wagi jest kwestja używania kosmetyków. Pani Delarue-Mardrus występuje gorąco w obronie szminki, która, jak powiada, „towarzy-

szyla kobiecie przez wszystkie czasy i epoki: począwszy od Babilonu, Egiptu, Grecji, poprzez epokę Ludwika XV aż do czasów najnowszych“. Autorka usprawiedliwia dążność kobiet wszystkich stanów i epok do podnoszenia swej urody sztucznymi środkami upiększającymi, następującą sentencją filozoficzną: „Bóg nas stworzył na podobieństwo róży polnej, pozostawiając nam możność przekształcenia się w różę, która jest królową i ozdobą wszystkich kwiatów“. — „Zresztą — powiada pani Delarue-Mardrus — czyż nie należałoby przypomnieć niektórym starszkom, tak surowo potępiającym młodzież dzisiejsza za jej zamiłowanie do pudru i różu — tych wszystkich maskarad, jakie w okresie ich młodości narzucała im moda? Czy zapomniały już o owych tiurniurach, pufach, rękawach w kształcie szynki, fałszywych biustach, wypchanych biodrach i sztucznych szczękach, które ich uśmiechowi do dziś dnia nadają wśród zmarszczek zwiedłej twarzy nieoczekiwany wdzięk młodości?“

Wśląd za tem następują przepisy używania owych środków upiększających, — przepisy niezwykle szczegółowe i dokładne:

„Kwestja nakładania różu na właściwe miejsce nie jest kwestją tak łatwą, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawało. Jakże często spotkać można osoby, zeszepeczone nieumiejętnym sposobem różowania się! Aby uniknąć tego błędu, trzeba zachować ostrożność następującą: trzymając w ręku paleczkę różu lub kawałek waty, umoczony w różu płynnym, zanim zaczniesz pocierać nim wasze policzki, uśmiechnijcie się wpierw, by uśmiech ten wskazał wam wyraźnie kształt policzków i miejsce, na którym rumieniec znajdować się powinien. Wtedy, nie przestając się uśmiechać, ubarwiajcie różem odznaczony w ten sposób policzek“.

Doskonały przepis! Uczy nie tylko umiejętności różowania się, lecz i wesołości zarazem. A oto inne uwagi, w których mieści się tyleż kosmetyki, co i psychologii:

„Nie pudrujcie się nigdy jednym zamachem, myśląc przytem o czemś innem. Kwestja nałożenia pudru na twarz jest sprawą bardzo ważną“.

„Tym, które mają typ t. zw. „interesujący“, radzę stanowczo nie używać wcale różu — odrobina pudru o odcieniu Rachel na policzkach wystarczy najzupełniej dla nadania twarzy kolorytu zdrowego i utrzymania jednocześnie koniecznej dla tego typu błałości, podkreślając dramatyczną ekspresję twarzy“.

A oto refleksja tyleż głęboka, co prawdziwa:

„Bywają oczy kobiece tak piękne, że możnaby je nazwać idealnemi, gdyby nie były jednocześnie... bezbrzeżnie głupie. Głupota tych oczu spowodowana jest tem, że ich właścicielka oczekuje tylko hołdów i podziwu, nie dając natomiast z siebie nic swemu otoczeniu. Tymczasem patrzenie w życie i w dusze innych z zainteresowaniem nadaje oczom piękno wyrazu i blask, którego nie potrafi wywołać żaden ołówek, ani inny środek kosmetyczny“.

Pani Delarue-Mardrus uważa wogóle psychologię za niepodłączną mistrzynię kosmetyki. „Największym środkiem upiększającym są uczucia, zamieszkujące naszą duszę. Złe i złośliwe uczucia pozostawiają po sobie ślady w postaci grymasów, a grymasy te wkońcu utrwala się na stałe na twarzy naszej, nadając jej wyraz przykry i złośliwy“. Takież sam skutek wywierają trwale pielęgnowane w duszy uczucia nienawiści, liwości, pogody wyciskają swe dobroczynne piętno na najbrzydszej nawet twarzy, nadając jej swoiste piękno.

Jeden z rozdziałów swojej książki poświęca pani Delarue-Mardrus samej tylko kwestji uczesania. Z dyplomacją prawdziwej Francuzki nie wypowiada się ona

wcale ani za, ani przeciw obecnej modzie krótkich włosów, która dała pole do tyłu namiętnych sporów. Przyznaje, że do wielu główek kobiecych pasuje doskonale fryzura greckiego efeba—inne natomiast, pozabawiając się swych długich warkoczy, straciły bardzo wiele. Sama autorka, pomimo swego wieku, oddalonego już od młodzieńczego, kazała sobie obciąć włosy — jak twierdzi, na znak żałoby po minionej młodości. Poświęciła temu wypadkowi piękny, wiersz, zaczynający się od słów: „Obciąłem włosy swoje, aby moje dawne uczesanie nie przywodziło mi na myśl rozdzierającego wspomnienia rzeczy dawno minionych.. Podobna tym starożytnym kapłankom, które na grobach wybrańców swych składały w ofierze bogom swe warkocze, poświęciłam włosy moje cieniem mojej młodości umarłej“.

„Uczesanie — twierdzi pani Delarue-Mardrus — powinno być raczej dziełem artysty, niż rzemieślnika.

Fryzjer idealny powinienby, moim zdaniem, być czemś w rodzaju Praksytelesa. Powinien znać dokładnie sztukę starożytną i nowożytną, mieć doskonałe poczucie proporcji, harmonji i czystości linii, umieć poznać na pierwszy rzut oka, czy rysy danej twarzy, zarys jej czoła, oprawa oka, długość szyi, zaokrąglenie ramion i t. p. — wymagają uczesania gładkiego, czy sutego, włosów zafrizowanych, czy prostych, skroni przykrytych, czy odsłoniętych? Gdyby moda krótkich włosów miała się utrzymać, należałoby otworzyć przy Akademji Sztuk Pięknych szkołę przeznaczoną dla artystów uczesania, — rzeźbiarzy, których zadaniem byłoby nadawać ostatnie wykończenie posagowi ludzkiemu, niemogącemu stać się całkowitem dziełem sztuki, dopóki nie urobą go ręce artysty uczesania“.

Zobaczmy, czy projekt akademji dla „mistrzów grzebienia“ uzyska aprobatę zarządu paryskiej Szkoły Sztuk Pięknych?
Z. B.



K. Bielańska.

WIERSE SŁONECZNE*).

Mówił Słowacki, mówił Balzac, a niedawno powtórzył Przybyszewski, że imię człowieka stoi w dziwnym związku z jego jaźnią, a nawet — losami.

Słowacki twierdził, że nienaprawdę nazwisko swe od Słowa wywodzi, Przybyszewski czuł się na ziemi własnej przybyszem wiecznym.

Zauważcie zatem, Czytelnicy, że źródłosłowem autorki 2 pięknych zbiorów poezji niedawno wydanych jest — *Słońce*; i nie dziwcie się, że sa one przepojone jego blaskiem, że migocą żywocią barw, i że boska postać Chrystusa, często jawiąca się przed oczyma poetki, przybiera u niej, tak jak u Rembrandta, kształt światła. Czasem zdaje się poprostu, że Bóstwo a Słońce, — to jedno.

Wiersze p. Słoneczyńskiej nigdy nie są banalne. Czasem klasyczna forma trzynastogłoskowca wyda nam się nieco staroświecka, ale to w najlepszym znaczeniu tego słowa. A tu nagle błyska i olśniewa jakieś „epatujące“ porównanie. Słyszymy echo życia bujnego, bogatszego, niż nasz polski zaciątek. Metropolja francuska niezatarte wycisnęła piękno na malarskim sposobie patrzenia w świat autorki. Rytm życia żywszem tam bije tętnem, tak, że nawet „ulicę rozigrały się i biegną na oślep“, jak swawolne dziewczęta. Piękno całych stuleci, pojące oczy niezmiernem swoim bogactwem, wydoskonala wszystkie zmysły, każe ujmować zjawiska w kształt zwarty o barwach subtelnych i wystylizowanych liniach, przypominających prerafaelskie gobeliny:

ważmy np. takie *Pory roku*:

Wiosna: dziewczyna — podlotek;
tupnęła nogą, echem budząc drzew wierzchołki,
aż z pod nóg jej wytrysły sasanki i fiołki.

Lato: sułtan, patrzący jak tańczą
„w krzyczącej purpurze
Hurysy, miłośnice jego, młode róże“.

Jesień:
„*pokutnica, owinięta w fioletowy szal*“.

Zima:
„*przezysta mniszka, której serce
uśpiło swój wiolin i bas.
Zamarło pod pancernem śniegu...*“

Są tu, jak widzimy, również oddźwięki muzyczne. Najsilniej brzmią one w „Orkiestrze burzy“. Ale zawsze nad wszystkim góruje: *Słońce!* Jak w „*Kłótni klejnotów*“, wszystko przed niem się skłania.

Słoneczna natura kocha życie, jego rytm i radość. Czasem znuży ją wielkomięski gwar, znuży nawet przepych obcej przyrody: „*puhar morza, pachnący wiatrem, szampanem i lodem*“, niebo „*gładkie, jak błękitna tapeta*“, i zateśkni do ciszy wiejskiej, polskiej, litewskiej, ale zawsze — słonecznej:

*Iść zbożem w graniu słońca, w śpiewie
kłosów tysięcy,*

*Iść zbożem i nic więcej...
Słyszec słoneczne, śpiewne „zbożne“
serca bicie.*

Zapomnieć, że tam gdzie: „*życie, samochodem gna, z rykiem i poświstem*“.

Zapomnieć! Dusza usypia w „zbożnej ciszy“ i oto znów śni jej się... „*życie, rozkosz dzikiej jazdy!*“

Jeśli natura tak bujna, zdrowa i radości pełna, w której cały dorobek kultury i refleksyj nie zabił żywociowej impulsyjności, zwróci się do tematów religijnych, stanowiących treść tomika p. t. „*Boże gniazdo*“, nie będą to obrazki szablonowej dewocji, nie będzie również sadzenia się na tani mistycyzm, ani „wzywianie imienia Boskiego nadaremno“, jakie, niestety, często się spotyka u poetów-snobów.

Wizje te, są zawsze pełne powagi, nieraz uderzające niezwyčajnem ujęciem starego tematu. Sceny, znane z kolendy, traktowane, jako zjawy kosmiczne. Przy żłobku Dzieciątka czuwają cztery żywioły: Ziemi i Nieba, Ognia i Wody. Przy grobie Chrystusa stróżuje *Noc i Cisza*, palmy są podobne do Magdaleny, a cyprysy do św. Jana. Porównania *à rebours* zwykle używane.

Jeszcze oryginalniej jest pojęte „Zesłanie Ducha Świętego“, z punktu widzenia — izby, w której cud się odbywa:

*Wieczernikowi zdało się, że wichru dusza
Opętała mu głowę...*

A to Duch wiał!

Tak samo wielki dylemat grzechu i pokuty odbija się o — *kontesjonal*, „*zwyczajny, cichy, ciemny...*“, przez który, niby przez most, czarne cienie rzucają okrwawione kamienie, grzechy swoje... aż je pokorny sprzęt w męce niemalej wchłonie w siebie i — pozostanie czarny, a dwie postacie, kłęczące u jego boków — wybieleją!

Taka to gra światła i cieni migoce wciąż w wierszach p. Anny Słoneczyńskiej. I, jako się już rzekło — przypominają się światłocienia mistrz stary: Rembrandt; ta „*Wieczera w Emaus*“, w której Chrystus — Światło jawi się wśród „*pokornych, ciemnych, zwyczajnych*“ ludzi. Ten sam Chrystus, który:

*N'epostrzeżenie, cicho, spokojnie, bez hałasu
Otworzył drzwi od przestrzni i od czasu*

*Ustami, co dostojne były i laskawe
Spożył życie i śmierć: prostą potrawę.*

(*Boże Gniazdo*).

*) Anna Słoneczyńska. *Muzyka Słońca — Boże Gniazdo*. Wilno, 1926.



718.

719.

720.



722.

723.

721.

724.



725

726

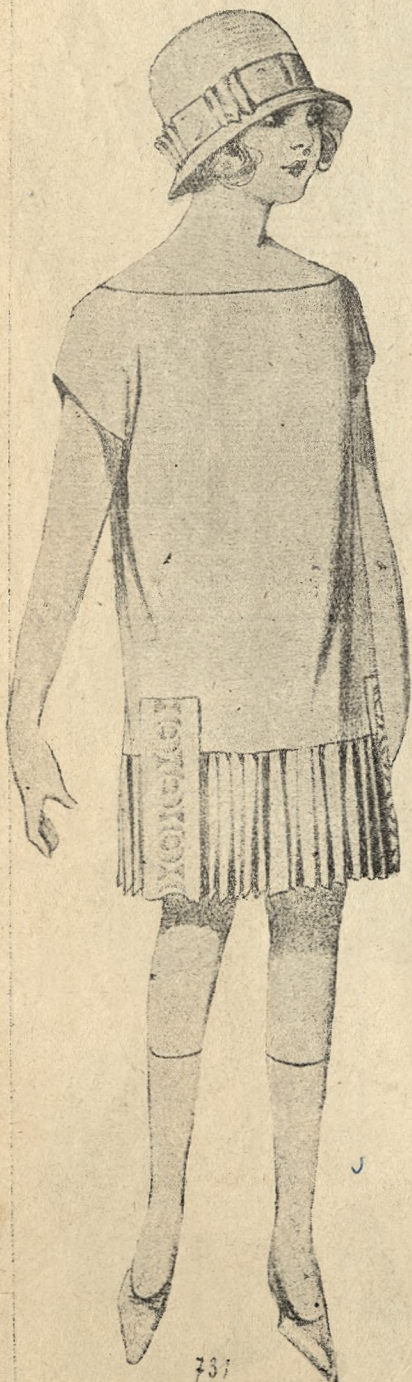
727

728

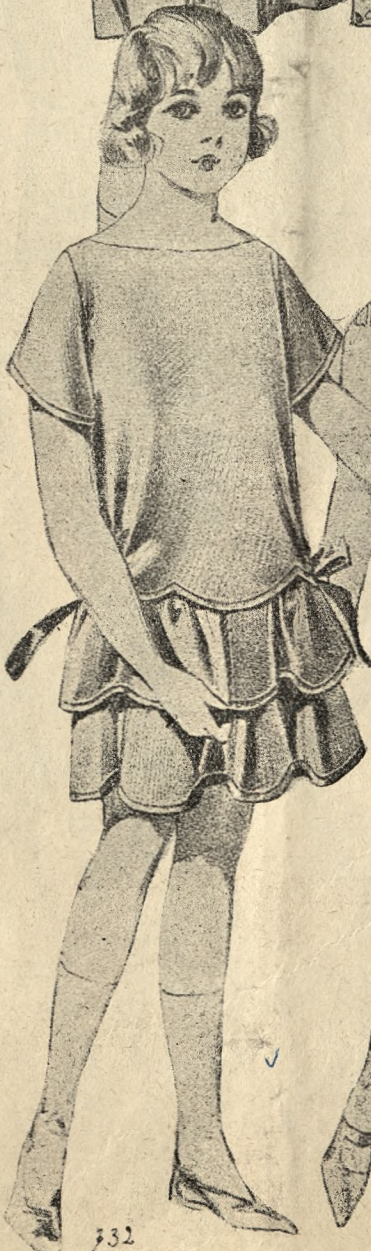


729

730



731



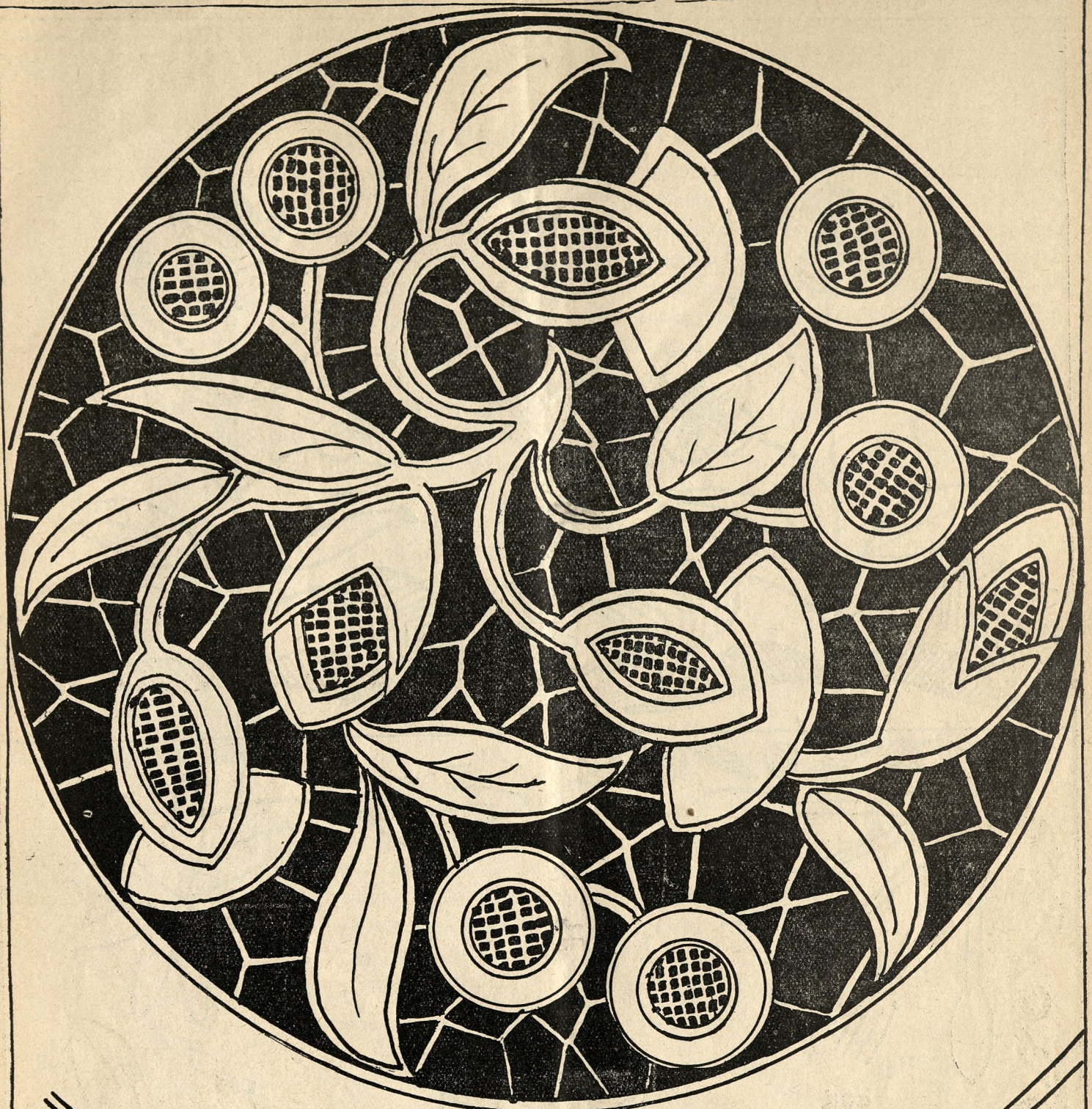
732



733



734



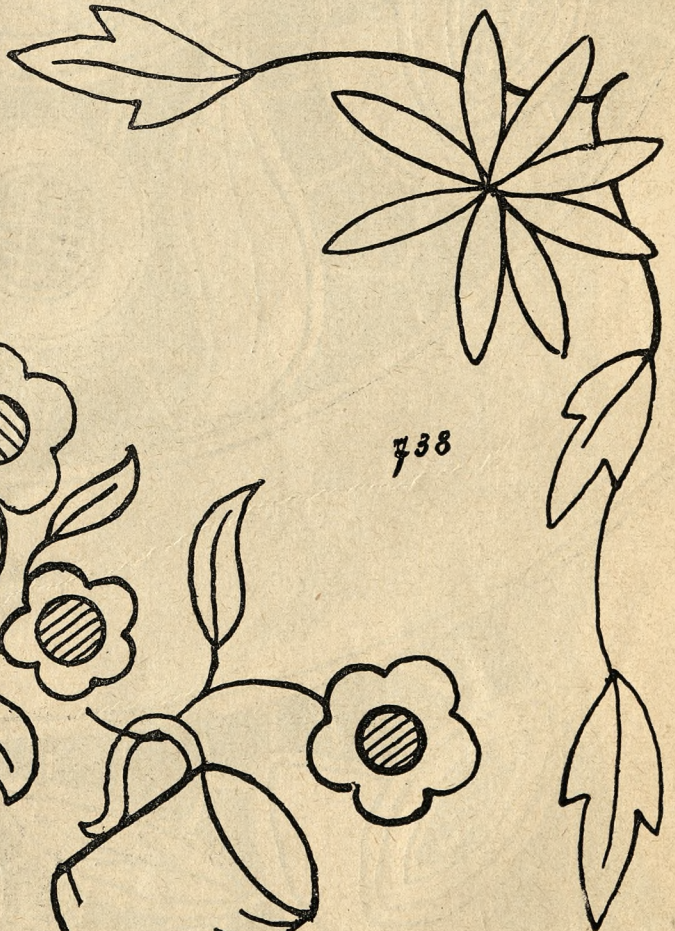
735



736



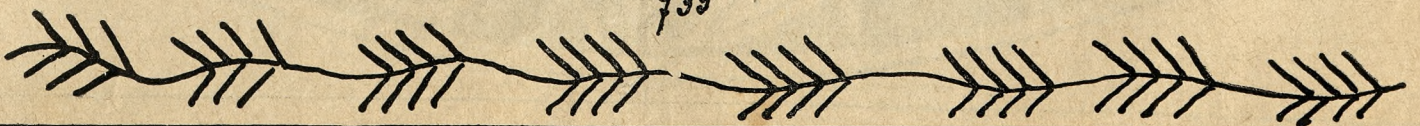
737



738



739

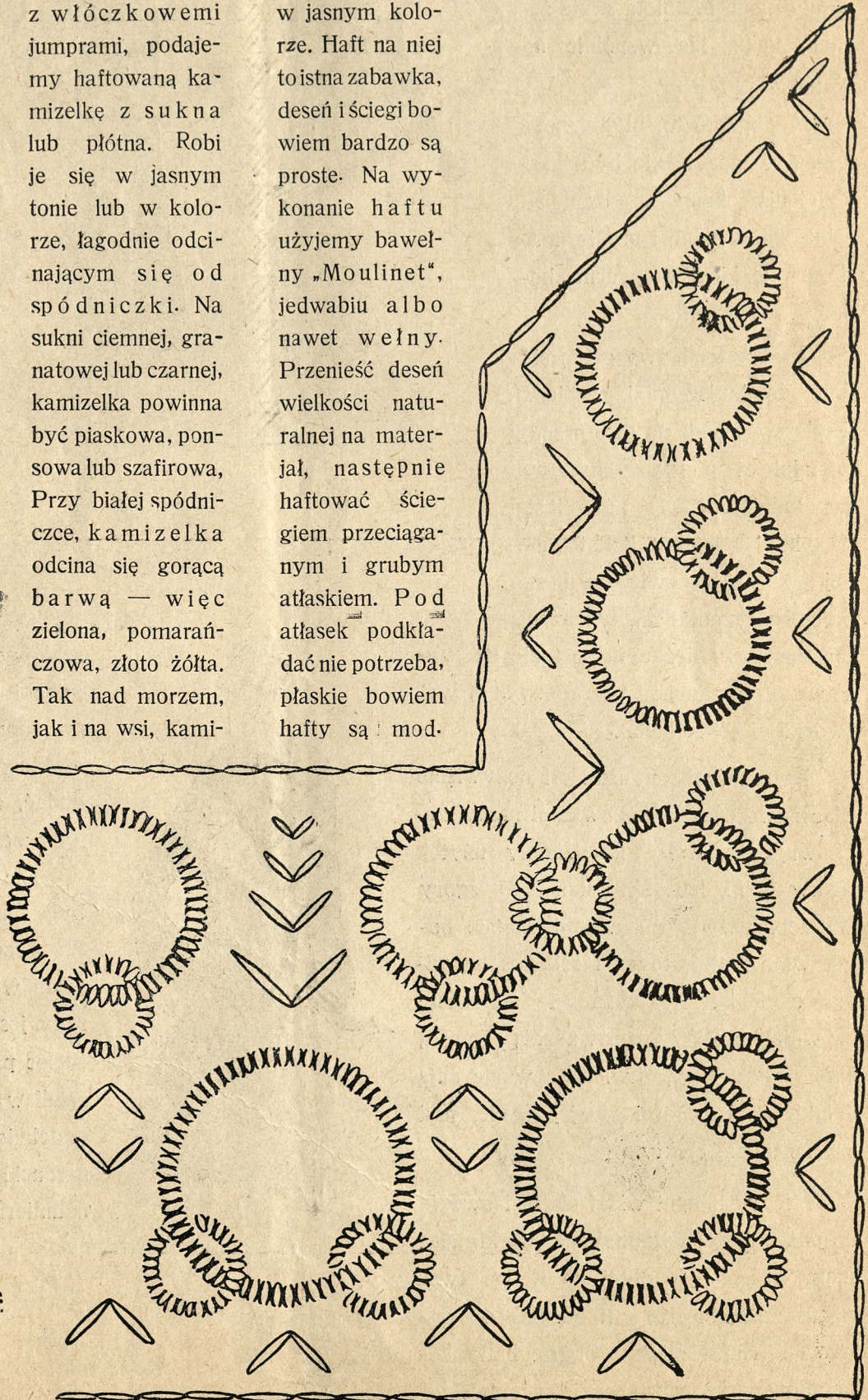
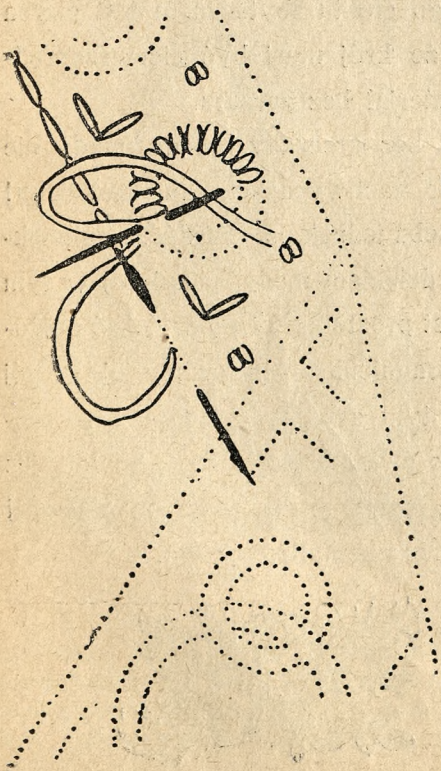




KAMIZELKA HAFTOWANA.

Zimne i dzdzy-
ste lato tegoroczne
prosi się o ciepłą
kamizelkę na lekką
suknię lub bluzkę.
Dla odmiany
z włóczkowemi
jumprami, podaje-
my haftowaną ka-
mizelkę z sukna
lub płótna. Robi
je się w jasnym
tonie lub w kolo-
rze, łagodnie odcி-
nającym się od
spódniczki. Na
sukni ciemnej, gra-
natowej lub czarnej,
kamizelka powinna
być piaskowa, pon-
sowa lub szafirowa,
Przy białej spódni-
czce, kamizelka
odcina się gorącą
barwą — więc
zielona, pomarań-
czowa, złoto żółta.
Tak nad morzem,
jak i na wsi, kami-

zelka jest użyteczna, od tego, gdzie będzie noszona, zależy, z czego ją zrobimy. Do kostjumu kamizelka elegancko będzie wyglądała, dobierzemy cięń materiału odpowiedni do koloru kostjumu, a haft wykonamy w jej tonach. Przy pomocy wzoru podanego, łatwo będzie skrajać samą kamizelkę z cienkiego sukna, płótna niewarownego lub welenki w jasnym kolorze. Haft na niej to istna zabawka, deseń i ścięgi bowiem bardzo są proste. Na wykonanie haftu użyjemy bawełny „Moulinet“, jedwabiu albo nawet wełny. Przenieść deseń wielkości naturalnej na materiał, następnie haftować ścięgiem przeciągającym i grubym atłasem. Pod atłasek podkładać nie potrzeba, płaskie bowiem hafty są mod.



LIST Z PARYŻA.

„Nigdy jeszcze moda nie była tak zachwycająca, jak tego roku“. Zdanie to wygłasza- ne na wszelkie tony słyszy się, wszędzie. Słyszy zawsze od kiedy moda i kobieta skute że- lazną mocą, idą wspólnie od wieków...

A pomimo to, nigdy może opinia o modzie nie była bar- dziej niż obecna uzasadniona. Linje młodociane i proste, ma- terje miękkie i wytworne, ko- lory — marzenie.

Rodzaj sportowy zdaje się być dominującym i rozciąga królestwo swoje na całe przed- południe i pierwsze godziny popołudniowe; (1) natomiast od piątej oficjalnie traktowa- nej, jako czas poświęcony her- batce, paryżanka ma wyraźną tendencje w bieżącym sezonie do wy- szukanej elegancji i wyrafinowanej wy- tworności ensemble'm.

Przez wrodzony smak i oczywście idąc zawsze za wskazówkami mody, za- chowuje ona wciąż na dzienny użytek rękaw długi, lecz skromność te zgóry narzuconą, wynagradza sobie hojnie bo- gactwem materiałów i nieskończoną ga- mą odcieni. Drukowane i hafotwane barwnie muśliny wprowadzają wesolą nutę do całości, kwieciste woale dają dzięki przejrzystości swojej lekkie, nad wyraz udane efekty. (2).

Między innymi widzi się tu i owdzie do plisowanej jedwabnej spódniczki, „ca- saque“ z lamy jednolitej co razem tworzy całość bardzo młodociana i szy- kowna. Na wieczorne okazie biały ko- lor znów, wraz w całej swej królewskiej



prostocie. — Suknie całkowi- cie „pailleteés“, lśnią się, jak łuska rybia i rozchodzą się u dołu w formie koronv kwia- tów z lekkiego tiulu.

Albo dla odmiany na czar- nej atlasowej sukni, jedyny kwiat na ramieniu daje jej wy- raz i charakter. Na innej znów haft imituje cudna kolję. (3). Wyrafinowanie w prostocie oto „leit-motif“ terażniejszej mody.

Na wszystkie te cuda ru- chem ostrożnym i niedbałym zarazem, narzucamy tak bar- dzo przez nas faworzowane odkrycia w setki fałd. Bez względu na to czy są one z wełny, jedwabiu lub z lamy, idea przewodnia, zawsze jest niezmienna: wielki kołnierz szalowy, godety biorące początek u ra- mion i spadające w pięknych liniach ku samemu dołowi. Dla otrzymania ko- rzystnego efektu zbytecznem jest chyba dodać, że krój musi być pierwszorzę- dny i materiał bez zarzutu.

Nie bez przesady, moda nigdy nie była tak zachwycająca, jak tego roku!

Trzeba jednak podkreślić, że najwięk- szym wdziękiem mody, panującej w tym roku, jest prostota. Należy wyrazić najgo- rętsze pragnienie — by dalszy jej rozwój szedł w tym samym kierunku. Prawdo- podobnie świat kobiecy nie pozwoli już narzucić sobie stroju przeładowanego i nadmiernie skomplikowanego.



POLSKA WSPÓŁCZESNA.

VIII.

STOSUNKI ANTROPOLOGICZNE.

(Rysunki wg. książki prof. Talko-Hryncewicza „Człowiek na ziemiach naszych“.)

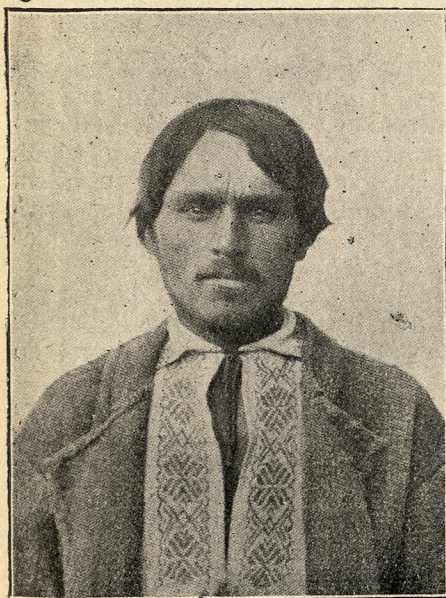
Bez żadnego związku z podłożem antropologicznym ułożyły się w Polsce stosunki etnograficzne. Jedynie Żydów wyróżnia właściwy im typ antropologiczny, inne plemiona osiadłe w Polsce nie różnią się od siebie pod względem budowy fizycznej, albo też różnią się tak nieznacznie, że niejednokrotnie większą jest różnica przeciętnej budowy Polaków zamieszkałych w 2-ch różnych okolicach kraju, niż np. różnica pomiędzy Polakiem z Białej Rusi a Białorusinem.

Na ziemiach Polski osiadło 5 zasadniczych grup plemiennych i 3 zasadnicze grupy napływowe.

Do plemion osiadłych zaliczamy: Polaków, Rusinów, Białorusinów, Poleszuków i Litwinów, a do grup napływowych: Żydów, Niemców i Rosjan.

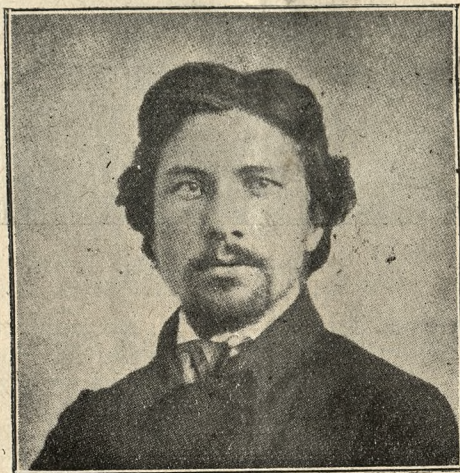
Polacy zamieszkują w zwartej masie cały Śląsk, Województwo Poznańskie, całe b. Królestwo Kongresowe, b. Galicję Zachodnią i okolice Wilna. Przewagę bezwzględną posiadają ponadto na Pomorzu, w Województwie Nowogródzkim i w Województwie Lwowskim. Dominują na całym obszarze Państwa pod względem kultury niematerialnej i rzeczowej, zażmożności i świadomości plemiennych.

Polacy dzielą się na wiele grup etnograficznych,



Polezuc.

wykazuje gwara górali tatrzańskich, oraz gwara ludności nadbałtyckiej — kaszubów. Gwara górnośląska jest raczej żargonem polsko-niemieckim i powoli zaczyna się oczyszczać od obcych naleciałości.



Litwin.

podział ten jednak nie osłabia więzi narodowej i jest znacznie mniej wyraźnym, jak np. podział plemienny francuzów lub Niemców.

Zależnie od grupy etnograficznej różni się także i język polski, będący jednakowoż wszędzie dość bliski od wspólnego wszystkim plemionom polskim języka literackiego. Największe odrębności językowe wy-

Znacznie więcej, niż w języku, różnią się Polacy od siebie w zwyczajach i obyczajach ludowych. Oprócz prastarych odrębności plemiennych, ma tu swój wpływ niewątpliwy także długotrwały podział ziem polskich, który odbił się zwłaszcza na usposobieniu i obyczajach ludności miejskiej.

Polacy odznaczają się wysoko rozwiniętym poczuciem plemiennym. Z trudnością się wynaradawiają i nawet w zmienionych warunkach (np. na emigracji w Ameryce) przez wiele pokoleń zachowują język i tradycję narodową. Poteżne Państwo, jakie w swoim czasie stworzyli, i stanowisko, jakie im w tem Państwie przypadło, przyczyniły się niemało do ugruntowania, nawet wśród najszerzych mas ludowych, poczucia więzi narodo-państwowej, silniejszej, niż zwyczajna więź plemienna.

Ludność językowo białoruska da się podzielić na obszarze Polski na 3 grupy. Pierwsza z nich, zachodnia, złożona z Białorusinów osiadłych w Grodzieńskim i w Biastoczczyźnie, stanowi plemię najbardziej zbliżone do sąsiednich plemion polskich. Język tej grupy pozostaje pod silnym wpływem polszczyzny. Grupa druga,

osiadła na północnym Polesiu i w Nowogródzkim używa języka najbardziej zbliżonego do białoruszczyzny, historycznego z czasów Wielkiego Księstwa Litewskiego. I ta grupa ma tradycje polskie i pewne skłonności asymilacyjne. Wreszcie trzecia grupa, której tylko nieznaczny odłamek znalazł się w granicach obecnej Polski (północno-wschodni kąt Woj. Wileńskiego) podlega wpływowi wielkorusyjskiemu.

Białorusini odznaczają się brakiem energii życiowej i odporności. Byli oni zawsze bierni wobec zdarzeń dziejowych. Stopień cywilizacji Białorusina jest dosyć niski — dopiero w ostatnich czasach zaczyna powstawać inteligencja Białoruska.



Żyd z Województwa Krakowskiego.

Rusini posiadają typ etnograficzny o wiele wyraźniejszy od Białorusinów, a silne tradycje historyczne utwierdzają w nich poczucie odrębności plemiennych i narodowej. Język rusiński (ukraiński) posiada parę

odcieni, ma jednak widok do wytworzenia wspólnego języka literackiego. Obecnie wśród rusinów wzrasta się poczucie narodowe i wzrasta ilość inteligencji.

Przejście, pomiędzy białorusinem a rusinem, stanowi osiadłe na Polesiu plemię poleszuków, niezdecydowane, co do swojej przynależności grupowej. Poleszycy nie mają widoków na wytworzenie własnej grupy narodowej i zaasymilowani zostaną bądź przez Polaków, bądź też przez rusinów, czy białorusinów.

Litwini tylko w nieznacznej liczbie znaleźli się w obrębie Państwa Polskiego. Posiadają oni typ etnograficzny, wyróżniający ich znacznie od otoczenia białorusińskiego i polskiego. W ostatnich dziesiątkach lat wzmocniło się wśród litwinów poczucie odrębności narodowej. Język litewski posiada wiele narzeczy i jest przedmiotem zaciekawienia licznych uczonych, jako jeden z najstarszych języków indo-europejskich.

Żydzi stanowią żywioł etnograficzny wyraźnie się wyodrębniający. Używają w życiu potocznym żar-



Rusin z Wołyńia.

gonu będącego mieszaniną języka polskiego, rosyjskiego i niemieckiego, a w nauce posługują się hebrajskim. Poczucie narodowe wśród Żydów, wzmacnia się w ostatnich latach i przeciwdziała asymilacji żydostwa.

Niemcy, zamieszkali w Polsce, nie różnią się od swoich współbraci zamieszkałych w Rzeczypospolitej Niemieckiej. Jeżeli pominąć Niemców łódzkich i sieradzkich, którzy wytworzyli typ odrębny, i Niemców wołyńskich, będących najmniej ucywilizowanym ze szczepów niemieckich. Odrębności etnograficzne Niemców zamieszkałych w Polsce są znaczne, od kraju pochodzenia imigrantów niemieckich. Przeważa żywioł pochodzący z Prus. Niemcy odznaczają się wyrobionym poczuciem narodowym i silną dyscypliną plemienną, dość łatwo jednakże się asymilują i wsiakają w społeczeństwo wśród którego osiedli.

Rosjanie stanowią pozostałość po panowaniu rosyjskim na ziemiach polskich. Pod względem kultury, stoją na poziomie dosyć wysokim, jednakże są bardzo nieliczni. Asymilują się dość łatwo zwłaszcza pod względem państwowym.



ŹRÓDŁA DOCHODU.

W mieście o źródła dochodu w gospodarstwie kobiecym bardzo jest trudno. Jedynym „dochodem“ może być staranne i rozumnie oszczędne prowadzenie gospodarstwa domowego, wydajność własnej pracy, dobra organizacja, przystosowanie poziomu życia do wysokości dochodów. Pozatem życie miejskie i miejskie gospodarstwo kobiece możnaby prędzej nazwać źródłem wieczystego rozchodu.

Inaczej przedstawia się sprawa gospodarstw kobiecych na wsi, gdzie na każdym kroku drzemie niewyzyskana krynica wydajnej pracy, która ma w sobie skarby życiodajne.

Panie, mieszkające na wsi, mają do swej dyspozycji rozległe ogrody warzywne, owocowe i kwiatowe, podwórka, zaludnione krzyliwą rzeszą drobiu, chlewnie, rozchrzäkane swoistą gwara biało-różowych prosiątek, składające się na olbrzymi, niewyczerpany warsztat pracy i dochodu, a pomimo to prawie zawsze aparat gospodarstwa kobiecego nie daje im bezcennej niezależności materialnej, co gorsze, nęka i tak przeciążone w czasach dzisiejszych gospodarstwa męskie.

Aby zaradzić złemu, należy wniknąć w przyczyny. Pierwszą i najważniejszą jest niedocenie warsztatu, za nią idzie brak fachowego przygotowania, no i powiedzmy sobie szczerze, nie szcędząc samych siebie — brak zamiłowania do prawdziwej sumiennej pracy.

Chcąc wykorzystać racjonalnie i umiejętnie wszystkie posiadane walory, trzeba w pierwszym rzędzie zorientować się w warunkach miejscowych. Gospodarstwo podmiejskie musi rządzić się innymi prawami, leżące zdaleka od wielkich miast, upośledzone trudnymi warunkami komunikacyjnymi — innymi. Dla wszystkich jest jeden punkt wyjścia, biorący początek w planowym wyspecjalizowaniu się.

Rozpraszenie i rozdrabnianie nigdy nie da tak zadawalniających wyników, jak skoncentrowanie pracy i wytwórczości na jednym punkcie, a punktów tych do wyboru mamy wiele.

W pobliżu wielkiego miasta opłaci się zawsze ogrodowizna — wszelkie nowalje, hodowla owoców drobnych i owoców wogóle, kwiaty cięte, wreszcie drób tuczny, którego brak na rynkach naszych, jeżeli chodzi o doborowy gatunek, daje się odczuwać dotkliwie.

W dziedzinie ogrodowizny są u nas poważne, niewykorzystane luki. Szczególniej dzisiaj, kiedy zakazy lekkomyślnego importu pozbawiły konsumenta wielu przysmaków, możemy liczyć na zbyt pewny, hodując na przykład karczochy, wykwinne odmiany sałaty, szczególnie zimowej, do jakich należą: rozponka i zapoznana, a tak delikatna i wykwinna rzerzucha, która we Francji, znana pod mianem „cresson“, jest najulubieńszą i najczęściej spotykaną na wykwinnych i skromnych stołach jadalnych.

Hodowla karczochów nie przedstawia wielkich trudności, a w latach ciepłych plonuje dobrze i obficie. Karczochy sieje się w końcu lutego w doniczki i hoduje w inspekcji przy temperaturze 16 do 18° C. Wsadzać trzeba w połowie maja w miejsca jaknajcieplejsze, najlepiej pod południowymi murami w metrowej odległości. Dołki pod karczochy należy zaprawiać jedną, lub dwoma łopatami przegniłego nawozu, późniejsza hodowla polega na oczyszczaniu z zielsk i podlewaniu w czasie suszy. Dobrze jest ścinać pąk wierzchołkowy, przez co dwa boczne rozrastają się silniej i dochodzą do poważnych rozmiarów. Pąków bocznych bywa i więcej, są jednak zazwyczaj zbyt do użytku małe, to też wskazaniem jest poświęcić je w imię lepszego rozwoju dwóch głównych. Dla osiągnięcia dwuletniej hodowli karczochów należy przed mrozami ścinać łodygi na jakieś 50 cm. nad ziemią, karpę wykopać jaknajstaranniej i zadołować w głębokiej skrzyni inspektowej, lub chłodnej piwnicy. W drugiej połowie kwietnia wysadza się karpę w grunt, a z wyrastających łodyg zostawia się na każdej roślinie dwie, lub trzy. Roszponka jest to jedna z niewielu odmian sałaty, jaką u nas bez zachodu, i w zimie na otwartem powietrzu mieć można.

Siać należy w ciągu sierpnia rzutem, niezbyt gęsto na grzędach opróżnionych po wcześniejszych warzywach, zasiew zahakować i cokolwiek utłoczyć. Opleć z zielsk, jeżeliby tego zachodziła potrzeba. Zbiór trwa przez całą zimę, o ile śnieg nie leży zbyt grubo. Roślina składa się z rozetki liści, którą wycina się nożykiem. By móc zbierać roszponkę i w czasie śniegów, a także by zabezpieczyć się od wymarzenia w zimie zbyt mroźne, a bezśnieżne, można siać ją na opróżnionych inspektach i na zimę skrzynie odpowiednio przykryć.

Rzeczka wodna, hodowana na sałate zagranicą, szczególnie w zachodnich Niemczech i we Francji u nas nie jest znaną w hodowli, chociaż spotyka się ją niekiedy w sprzedaży w wytwornych sklepach i restauracjach.

Hodują ją na grzędach wgłębionych, przedstawiających się, jak szerokie rowki o płaskim dnie, zalewanem wodą źródlaną. Rozmnażają się z gałązek, które wetknięte w rozmokłą ziemię zakorzeniają się natychmiast. W zimie nie marzną, o ile znajdują się pod wodą, na zimę zatem stan wody w rowkach podnosi się.

Do mało wykorzystanych należy też sztuczna hodowla pieczarek, które w odpowiednio założonych piwnicach rozmnażają się z gniazd, łatwych do dostania w większych zakładach ogrodniczych.

Hodując kwiaty cięte, należy wybierać odmiany i gatunki, łatwo transport znoszące. Róże, gwoździki, dalie, mieczyki, astry są po temu najpodatniejsze. Nasiona kwiatów, ziół i warzyw, hodowane starannie i sumiennie, takie, które dają pełną gwarancję siły kiełkowania i gatunku, zgodne z etykietą, winny zasłużyć sobie na baczną uwagę mieszkanek wsi naszej.

Należałoby też udoskonalić hodowlę drobiu jadalnego i przetworów, jak np. półgusków, pasztetów z gęsich wątróbek, pałek wędzonych, oraz wszelkich wędlin trwałych, szynek, poledwic, kiełbas obsuszanych, w wytwórczości których Litwa przed wojną przodowała. Hodowla trzody, przystosowana do systemu przetworzości opłaca się sówiciej, niż sprzedaż żywa. Dzisiaj, kiedy moda faworyzuje tak bardzo fu-

tra, i to nie kosztowne, a fantazyjne, źródło swe w skromnej króliczej skórcie biorące, otwiera się przed nami jeszcze jedna gałąź wydajnej pracy — hodowla kożuszkowych. Jest to dziedzina mało, a w każdym razie, niewystarczająco wykorzystana. Pożałowania godnym jest, że u nas specjalnie tak mało się sprawie tej okazuje zainteresowania.

Ameryka przez umiejętną i racjonalną hodowlę srebrnych lisów położyła podwaliny pod gałąź przemysłu, z którego rok rocznie miliony dolarów wpływają do kasy hodowców. Pomimo, że liczba ferm, specjalnie hodowli lisów poświęconych, dochodzi tam do kilku tysięcy, to wszystkie one nie są w stanie pokryć zapotrzebowania.

U nas jednym z nielicznych hodowców zwierząt, tak zwanych kożuszkowatych, jest pan Bronisław Biedermann, z zawodu rolnik, który swą fermę w Zdunach (Wielkopolska, powiat krotoszyński) założył w roku 1910 z 1 parą kun leśnych, 1 parą kun skalnych i 2 parami zwyczajnych lisów czerwonych. Z wybuchem wojny w roku 1914 posiadał on już w przychówku: 4 kuny leśne, 8 kun skalnych i 74 lisy. Rezultaty, jakie wówczas osiągnął, zawiaduje jedynie swojej cierplivej wytrwałości.

Zanim przystąpił do hodowli srebrnych lisów, postanowił, pomimo swojej czteroletniej praktyki, odbyć podróż do Kanady, gdzie wyspa Edwarda słynie, jako środowisko poprawnej hodowli zwierząt kożuszkowych. Po powrocie do kraju zamierza p. Biedermann założyć u siebie w Zdunach hodowlę srebrnych lisów na wielką skalę.

Hodowla, o której tutaj mowa, wymaga specjalnych urządzeń i umiejętności, a przytem dużego nakładu kapitału, o który dzisiaj trudno, dlatego też chwilowo trudno zwracać się myślą ku niej, jako ku zasługującej na specjalne wyróżnienie. Inaczej ma się rzecz z hodowlą królików, która może dać duże dochody i przyczynić się poważnie do zmniejszenia importu skórek z zagranicy. Na specjalną uwagę w dobie obecnej zasługuje odmiana królików białych z odcieniem kości słoniowej, futerko których przykrawane na wzór skórek gronostajowych, używane jest we Francji do wyrobu wspaniałych płaszczy wieczorowych. Przystrojone gronostajowemi ogonkami okrycia takie są nad wyraz optyczne i nie ustępują prawdziwym gronostajowym, a kalkulują się bardzo przystępnie. Widziałam w tym roku na Rivierze wspaniałe płaszcz z futerka, o którym mowa, pomimo, że zdołał wystawę jednej z pierwszych firm paryskich kosztował zaledwie 3.000 franków, co wówczas w przeliczeniu na nasze pieniądze wynosiło około ośmiuset złotych.

Gdyby każdy z dworów naszych, a właściwie każda dworu polskiego mieszkanka wzięła sobie za zadanie pracę twórczą i produktywną, nie tylko dobrobyt jednostek, ale i dobrobyt kraju, zyskałby na tem poważnie, gdy tymczasem olbrzymie, niewykorzystane pole pracy nie tylko nic nie odrzuca, ale zachwaszcza się coraz bardziej i ugoruje.

Jeżeli ziarno, które słowami temi w sercach i myśli Pań zasiać pragnę, padnie chociaż gdzieś gdzieś ma podatną glebę i plon wyda, będzie to już wielki dorobek, bo nie wątpię, że przykład podziała i pociągnie za sobą liczne naśladowczynie, którym z głębi serca mówię „Szczęść Boże“.

W. N.....cka.

JAK SIĘ USTRZEDZ GRUŻLICY.

Przed odkryciem prof. Roberta Kocha, który w roku 1882 wykrył laseczniki gruźlicze, panowało mniemanie, że gruźlica, czyli suchoty, są chorobą dziedziczną, przechodzącą z pokolenia na pokolenie i przeważnie nieuleczalną. Obecnie jednak wiemy, że gruźlica, jak i wszystkie choroby zakaźne, przenosić się może z człowieka chorego na zdrowego, a przy wczesnym rozpoznaniu i odpowiednim leczeniu, jest uleczalną. Podobnie jak i przed innymi chorobami zakaźnymi, można się i przed nią z łatwością ustrzec, o ile się ma świadomość niebezpieczeństwa i potrafi wytrwale i odpowiednio kierować swym postępowaniem.

Nie wszyscy ludzie są jednakowo skłonni do zarażenia się gruźlicą. Podczas gdy dorośli a silny mężczyzna może skutecznie stawiać opór temu, groźnemu zewsząd, nieprzyjacielowi, słabemu ciału dziecka, szczególnie w pierwszych latach życia, brak naturalnych sił uodporniających, i dlatego też dzieci są najbardziej zakażeniem gruźlicą zagrożone i najwięcej powinny być przed niem strzeżone. Środki ochronne w celu zapobiegania przenoszenia się gruźlicy muszą być skierowane w pierwszej linii przeciwko tym chorym, którzy w płwocinie swojej zarazki swoiste wydzielają. Bynajmniej, nie każdy posiadający ognisko gruźlicze, grozi zakażeniem dla otoczenia, niebezpiecznym pod tym względem jest jedynie ten, który żywe zarazki gruźlicze wydziela nazewnątrz, chory t. zw. gruźlicą otwartą. Ponieważ w przeważnej ilości wypadków u gruźlików zajęte są płuca, główną uwagę zwrócićby należało na wydzielinę górnych dróg oddechowych, t. j. na płwocinę. Wchodziłoby tu też w grę, tak zwane zakażenie kropelkowe, kiedy mianowicie przy mówieniu, kaszlu, lub kichaniu wyrzucane bywają nazewnątrz drobne kropelki, mogące zawierać zarazki gruźlicze.

Najmniejsze niebezpieczeństwo zarażenia innych przedstawia taki suchotnik, który leczy się w sanatorium lub szpitalu, ponieważ wtedy osobom zdrowym i dzieciom najłatwiej jest uniknąć zatknięcia się z chorym. Lecz jeżeli chory z gruźlicą otwartą pozostaje we własnym mieszkaniu, pośród swej własnej rodziny, jakież wtedy należy przedsiębrać środki zaradcze? Ideałem byłoby własne specjalne pomieszczenie dla chorego, żeby o ile możności uniknąć zetknięcia się z rodziną, a w szczególności z małymi dziećmi. Przy obecnych zaś trudnościach mieszkaniowych, chociażby nawet oddzielny pokój sypialny, a jeżeli i o to trudno, konieczne jest bezwarunkowo własne łóżko. W żadnym razie bowiem chory na gruźlicę nie może dzielić łóżka ze zdrowymi, a w szczególności z dziećmi. We wszystkich, podejrzanych o gruźlicę otwartą wypadkach, rzeczą pierwszorzędnej wagi jest poddanie badaniu mikroskopijnemu płwociny dla upewnienia się, czy nie zawiera ona zarazków.

W jaki sposób można ustrzec się od zarażenia się taką płwociną. Najprostsze rozumowanie prowadzi do wniosku, że należy ją usunąć lub unieszkodliwić. Chory lub chore muszą być o tyle uświadomieni i przyuczeni, żeby nie pluła na podłogę, szczególnie w pomieszczeniach zamkniętych, w tramwajach, wagonach, kościołach i t. p. Płwocina powinna być wypływana do specjalnych spłuwaczek z zamykana pokrywka, napełnionych płynem odkażającym, np. roztworem krezolu, który jednocześnie rozpuszcza śluz. Dla uniknięcia niebezpieczeństwa, mogącego wynikać na skutek zakażenia kropelkowego, podczas kaszlu lub kichania, chory powinien trzymać chusteczkę do nosa przy ustach, nigdy zaś nie zasłaniać ust ręką, która, będąc zanieczyszczoną, może przenieść zarazki na inne przedmioty, jak klamki, książki i t. p. Jeżeli ma się do czynienia z suchotnikiem nieostrożnym lub nieuwważnym, najlepiej odwrócić się od kaszlącego i trzymać wtedy usta zamknięte. Wogóle kropelki, zawierające zarazki, bywają rozrzucone na odległość 1 m., to jest na długość ramienia. Najbardziej narażone na zakażenie są więc osoby, które znajdują się w obrębie tego promienia, więc np. dzieci na ręku u matki. Podczas pocałunków w usta mogą się zarazki przenieść bezpośrednio od chorego na zdrowego. W ślinie chorych zarazki też się zawierają, dlatego też gruźlicy powinni mieć własne naczynia do picia i jedzenia, którychby nikt poza nimi, a w szczególności z dzieci, nie używał. Chustki do nosa, ręcznik, oraz bielizna osobista i pościelowa chorych powinna być przed praniem gruntownie wygotowana. Dalsze niebezpieczeństwo zarażenia się leży w zakażeniu zapomocą kurzu, kiedy mianowicie płwocina suchotników wysycha na podłodze i unosi się z kurzem w powietrzu. Zawarte tam zarazki mogą być wdychane przez współmieszkańców, głównie przez małego wzrostu dzieci, i dawać powód do nowej infekcji. Zamiast suchego zamiatania podłóg, stosować należałoby z tego względu zamiatanie na mokro jaknajczystsze, szorowanie rozczywnym wody lub szarego mydła. Zakażenie dzieci wyjątkowo łatwo może nastąpić w tym wieku dziecka, kiedy czołga się ono i bawi się na podłodze, tam najłatwiej może się zawałać płwociną nieostrożnego suchotnika, którą zapomocą paluszków przenieść potem może do ust i nosa.

Laseczniki gruźlicy mogą się dostać nie tylko przez drogi oddechowe, ale i zapomocą produktów spożywczych, pochodzących ze sklepów, gdzie pracują suchotnicy. Szczególnie dotyczy to tych produktów spożywczych, które jada się w stanie surowym, jako to: mleko surowe, masło, ser, kiełbasy i wędlinę; zarazki dostają się do kiszek, mogą wywoływać gruźlicę kiszek. Podobnie w mleku surowym od krów chorych na tak zwaną perlicę, są zarazki szkodliwe specjalnie dla organizmów dziecięcych. Do niedawna przeceniano nieco to niebezpieczeństwo ze strony gruźliczych zwierząt, ale i obecnie wiadomo, że 3% do 5% wszystkich gruźlic ludzkich jest wywołane przez te zarazki, na które są specjalnie wrażliwe małe dzieci. Najłatwiej jest uchronić się przed tem zapomocą gotowania mleka. Niszczy ono też i inne zarazki, które mogą się znajdować w mleku np. tyfusowe. Przetworzone mleko należy szybko ochłodzić i trzymać w chłodnym miejscu, przykryte i zabezpieczone przed zanieczyszczeniem.

Kiedy wprowadzamy się do mieszkania, gdzie zamieszkiwał chory na gruźlicę, trzeba tam dokonać gruntownego odkażenia. Najlepszym zabezpieczeniem przed gruźlicą są wszelkie zabiegi, wzmacniające organizm. Ponieważ zaś nigdy nie można całkowicie ustrzec się przed zetknięciem się z zarazkami gruźliczymi, najistotniejszą rzeczą w tej walce będzie wzmocnienie i hartowanie ciała, żeby zarazki, które ewentualnie do naszego organizmu wtargnąć mogły, nie miały nad nim żadnej władzy.

U źle odżywianego człowieka gruźlica prowadzi szybko do śmierci; dlatego też jest rzeczą pierwszorzędnej wagi dobre odżywianie się, które uczyni nas najodporniejszymi. Unikać należy nikotyny i alkoholu. Co do mieszkania, to należy dbać o to, żeby do pokoju wpadało jaknajwięcej słońca i powietrza, ponieważ słońce zabija zarazki gruźlicze w ciągu kilku

minut. Ubranie powinniśmy nosić z materiałów nie zbyt gęsto utkanych, żeby umożliwić dostęp powietrza do skóry, unikać należy specjalnie ubrań krępujących swobodę ruchów ciała. W ogólnym trybie życia, na pierwszy plan musi się wysuwać czystość i porządek. Codzienne obmywanie całego ciała wodą o umiarkowanej ciepłocie, zahartowują i wzmagają odporność na przeziębienie. Lecz jeszcze bardziej sprzyjają zahartowaniu, jak pouczają wyniki nauki i bogate doświadczenia, nabyte szczególnie w Japonii — gorące kąpiele i obmywanie. Nos jest naszym naturalnym filtrem dla nieczystości wszelkiego rodzaju, przedostających się z powietrzem wdychanym, — a więc i dla zarazków chorobotwórczych. Dlatego też należy oddychać przez nos, trzymając usta zamknięte. Jeżeli oddychanie nosem jest przez dłuższy czas utrudnione, co rozpoznaje się u dzieci na przykład przez to, że śpią z otwartymi ustami, zależeć to może od powiększenia migdałów gardłowych, które mają i powinny być usunięte przez lekarza specjalistę.

Poważnymi sprzymierzeńcami w walce z gruźlicą są także ćwiczenia cieleśne na świeżym powietrzu, dostosowane do budowy i stanu organizmu, oraz używane bez nadmiaru sporty. Wszelkie jednak nadużycia w tym zakresie, mogą tylko popsuć to, co osiągnięto przez długoletnie nawet staranie.

Wyżej wymienione zasady zdrowotne są pożyteczne dla każdego, lecz specjalnie pamiętać o nich powinni ci, którzy, z tych lub innych względów, muszą się obawiać gruźlicy, a więc osoby słabowite

o delikatnej budowie i wąskiej klatce piersiowej, specjalnie jeżeli pochodzą z gruźliczej rodziny, a także ci, którzy przez przestawianie z gruźlikami mogą przypuszczać, że mają w swoim organizmie zarazki gruźlicze, albo też ci, którzy przechodzili przewlekłe schorzenie płuc, gardła, skrofuły, błednicę i t. p. Ludzie o wrażliwych narządach oddechowych, powinni unikać nie tylko kurzu, ale i wszelkiego dymu, palenia tytoniu, zimnych i ostrych wiatrów, nie powinni mówić w zimnym powietrzu i podczas chodzenia, oraz wystrzegać się przeziębienia i przemęczenia.

Na specjalną uwagę zasługuje przestrzeganie tych wszystkich środków ochronnych w tych miejscach, gdzie jest większa ilość osób, głównie dzieci, przebywających razem, a więc w szkołach, zakładach wychowawczych, sierocińcach, żłobkach i t. p. Chorzy i chore na gruźlicę otwartą nie mogą pod żadnym pozorem pracować, jako nauczyciele i nauczycielki w szkołach, pielęgniarki lub pielęgniarki przy chorych, jako służący i służące w pensjonatach lub rodzinach, obarczonych dziećmi, także jako mamki lub niańki. W interesie zdrowia ogółu ci, którzy wydzielają zarazki gruźlicze, nie powinni też być czynnymi w sklepach spożywczych i restauracjach.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby zasady te były zastosowywane dokładnie i przestrzegane starannie, w wielu wypadkach udało by się uniknąć lub zapobiec zachorowaniu na gruźlicę. Zwłaszcza zaś rzeczą pierwszorzędnej wagi byłoby uświadomienie ogółu oraz dobra wola i wytrwałość w postępowaniu w myśl wyżej wymienionych zasad.

Dr. Felicja Pożaryska-Lunińska.

PRZEDŁUŻENIE ŻYCIA ZERWANYCH KWIATÓW.

Następujące łatwe przepisy mogą utrzymać świeżość zerwanych kwiatów dłużej, niż to zwykle ma miejsce. Różne kwiaty wymagają jednak różnych starań.

Piwonje, zerwane przed samem rozwinięciem się pączków i natychmiast włożone do wody, będą żywsze w kolorze i trwać będą dłużej, niż rozkwitłe na wolnym powietrzu. Jeżeli są potrzebne na jakiś dzień oznaczony, można je zachować przez kilka dni w piwnicy, lub w chłodnym, ciemnym pokoju. Kwiatciarze często trzymają pączki piwonji na lodzie przez cały miesiąc, zanim wystawią je na sprzedaż.

Gładjolusy najlepiej jest ścinać późno po południu, wybierając lodygi, na których tylko jeden, lub dwa kwiaty są otwarte. Ukośne cięcie ostrym nożem jest najlepsze. Następnie trzeba zostawić je leżące w słońcu na 15 lub 20 minut przed włożeniem do wody, a będą trwać bardzo długo.

Georginje często robią zawód w bukietach, więdnąc prędko. Można jednak dłużej je zachować, zdrapując końce lodyg i wstawiając do gorącej wody, w której powinny zostać, dopóki woda nie ostygnie. Następnie trzeba trzymać je w ciemności przez dwanaście godzin co najmniej.

Groszki pachnące, zerwane z rosą na nich, zachowują kolor dłużej, niż zebrane w słońcu. To samo stosuje się do irysów, które trzeba ścinać, zanim pączki się otworzą i dać im rozwinąć się w pokoju.

Maki są zwykle zaliczane do kwiatów małej wartości do zrywania. Jeżeli jednak, z chwilą wniesienia ich do pokoju, końce lodyg będą spalone do kruchości, — nie tylko osmalone z wierzchu, — będą trwać znacznie dłużej.

Róże, zerwane wczesnym rankiem i zaraz wstawione do wody, będą rozwijać się w oczach, na stole w czasie śniadania, jeżeli np. śniadanie nie będzie bardzo opóźnione.

Fiołki najlepiej jest wiązać w małe pęczki z 8-iu do 10-ciu kwiatków i wsuwać je do zwilżonego mchu w płaskim naczyniu. Zwiedle można ożywić, wrzucając je do dzbanka bez wody, i nakrywając zmoczoną bibułką; dzbanek trzeba także bibułką obwiązać. Można również zawinąć je w zwilżony papier, a dłużej zachowają zapach, niż trzymane w wodzie.

Róże zwiedle można odświeżyć, zanurzając w wodzie całą długość lodygi, na kilka godzin. Inny sposób stosujący się również do wszystkich kwiatów o twardych lodygach, jest ostrugać nożem końce lodyg i zanurzyć w dzbanku, lub wiaderku z gorącą wodą. Ale dla ochronienia kwiatów, trzeba je owinąć bibułką, lub szmatką i zostawić parę cali lodygi ponad wodą.

Wysyłając kwiaty, najlepiej jest ułożyć je w pudełku tekturowym, napełnionym mchem wilgotnym, kwiaty skropić, przykryć cienką warstwą mchu i szczelnie pudełko zamknąć.

Żadne kwiaty nie mogą trwać długo, jeżeli będą ściśnięte wazonie o wąskiej szyjce, nie dopuszczającej powietrza; zamrą wkrótce z braku tlenu. Wyniesione na noc z ciepłego pokoju i postawione na ziemi w chłodzie, po zmienienu w pierw wody, dłużej zachowują świeżość. Zaleconem jest także codzienne ucinanie końca lodygi na jeden cal mniej więcej, a naturalnie trzeba zawsze chronić zerwane kwiaty od słońca.

K. Dziekońska.

K O N S E R W Y .

Konserwy jarzynowe i owocowe mogą i powinny robić tylko panie ze wsi, rozporządzające własnym materiałem, świeżym, wprost z ogrodu, większą ilością służby, aparatem Weck'a, dostateczną ilością słoików do niego, lub też blaszankami wprost z fabryki, aparatem do lutowania i t. d. Robienie konserwów w miastach nie oplaca się zupełnie. Nie mówię tu o konfiturach, jam'ach i marmoladach, te zawsze w domu przyrządzone są i smaczniejsze i tańsze o połowę od kupnych, — lecz o zwykłych konserwach, pomidorach i gruszkach, kompotach z wisien i renklod i t. p. Wszelkie sałaty octowe, pikle, korniszony i grzybki marynowane należy też zrobić w domu, wypadną stanowczo taniej i będą zrobione według naszego indywidualnego smaku i gustu. Mówię to dla tego, że nie dawno miałam możliwość spróbowania prześlicznie wyglądających grzybków, niestety zamarynowanych z cukrem, dodanym w dużej ilości do octu. Skoro poważne firmy tak marynują te grzybki, widocznie są na nie amatorzy, dla mnie ta nieprzewidziana kombinacja smaków była okropna. Groszek i fasolka szparagowa, najbardziej rozpowszechnione jarzynki z puszek, po dostarczeniu na rynek miejski już są nieco pobite, co w konserwie zmniejszyłoby jej trwałość, a głównie wygląd, każde miejsce uderzone byłoby ciemniejsze, groszek w dodatku jest tak drogi, że latem świeży, a zimą z konserwy gotowej, prawie tyle samo kosztuje, musieliśmy do niego dodać naczynia do konserwowania, robociznę, albo czas własny stracony, opał — i nieuniknione, nieudane egzemplarze. Ach, te nieudane egzemplarze! Tutaj szczególnie często spotykamy szparagi w nasadzie twarde, a z łepkami tak miękkimi, że z puszek się wyjąć nie dają, a to wszystko dla tego, że do konserwy nadaje się szparag natychmiast po wyjęciu z ziemi, łądygę ma jeszcze soczysta, a główkę jędrną. Już po kilku godzinach łądyga twardnieje, a po paru dniach staje się łykowaty, główka zaś przeciwnie mięknie, wyciąga się, traci ładną białą lub różowo-fioletową barwę, a przecież na targach możemy mieć szparagi w najlepszym razie wycięte dnia poprzedniego, a nie raz w kilka dni później, — szparagi więc, a raczej konserwowanie ich, zostawmy właścicielom ich plantacji. Toż samo się tyczy pomidorów. Wprawdzie marmelada pomidorowa w butelkach lub kompotjerach jest rzeczą wyborną, powinna być jednak wyrabiana z doskonale dojrzałych i nienadpsutych owoców. Dwa ostatnie lata, niezbyt w dni słoneczne obfite, spowodowały, że przywożono na rynek przeważnie pod szkłem dojrzewające pomidory, z masą plam i nieraz nadpsute. Marmelada z nich była gorzka, łatwo psująca się, — nietylko korki z butelek wylatywały, nie raz same butelki pękały przy gwałtownej fermentacji. Kto jednak w mieście może dostać prawdziwie świeże i dojrzałe pomidory, powinien konserwy pomidorowe robić w domu, wyjdą o połowę taniej niż kupne, — materiał jednak na nie użyty, powinien być pierwszorzędny. Ponieważ polecam czytelnikom wyłącznie tylko rzeczy wypróbowane przezemnie samą, muszę się przyznać, że solone pomidory, tak reklamowane przez niektóre książki gospodarskie, mnie się stale nie udają. Robiłam je dziesiątki razy na wsi i w mieście i zawsze rezultat był ten sam, pomidory wyglądały ślicznie, trwały do wiosny, ale ani smaku ani aromatu właściwego nie zachowywały, natomiast zawsze były przeraźliwie słone. Jedną z czytelniczek Bluszcza radziła przekładać je w słoju nacią pietruszki, — usłuchałam, — oprócz smaku soli, miały aromat pietruszki, co jest mniej pożądané. Oprócz kon-

serwów jarzynowych w Weck'u, kompetjerach i puszkach, niektóre jarzyny, a głównie fasolę zieloną i szparagową można solić w garnkach lub faszczkach, także samo solą szczaw, szpinak i koperek, nie są to sposoby idealne, ale przy dużej rodzinie, dosyć praktyczne. Można tanim sposobem zrobić duże zapasy. O ile groszki, fasolki i kompoty są względnie tanie, kupowane gotowe w puszkach, o tyle grzyby są przeważnie bardzo drogie, to też, kto może latem ich nabyć większą ilość, po cenach przystępnych, powinien oprócz marynat octowych, zrobić zapas grzybów w maśle, lub chociażby solonych w słojach. Rydze i grzyby prawdziwe, konserwowane w maśle, zalane po wierzchu łożem baranim, mogą stać lato całe; nie psując się. Z tanich konserwów owocowych należy się zaoptażyć w czarne jagody w butelkach, — w zimowe dni postne, dają one smaczne zupy i różne kombinacje z kluseczkami. Należy je wprost zagotować raz bez cukru, na każde kilo dodać jedną pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, ostudzić, zlać do zupełnie czystych i zupełnie suchych butelek, zakorkować, zawiązać korek sznurkiem, aby nie wystrzelił, i trzymać leżące do użytku. Równie prostą jest konserwa z borówek, (na Kresach, brunsznicami zwanych), przebrane, nasypuje się w czyste, suche butelki, zalewa gęstym, zimnym syropem cukrowym, korkuje i używa zimą na sałatę. Taki kompot ze świeżych borówek jest tak smaczny, że żadne inne kompoty z najwykwintniejszych owoców mu dorównać nie mogą.

Pani Elżbieta.



KWAS MIODOWY.

Miód dobry, aromatyczny, rozpuścić w wodzie, dodać drugie tyle cukru, — na kilo miodu i cukru, razem wziętych, brać piętnaście butelek (piwnych) wody. Wlać w to butelkę, lub nawet dwie, czarnego piwa i jedno deko drożdży, przykryć serwetą, trzymać tak dwadzieścia cztery godziny. Pozlewać do czystych, suchych butelek, zakorkować mocno, odrutować korki, lub pozawiazywać mocnym szpagatem. Przez dwadzieścia cztery godziny trzymać w kuchni, lub innym ciepłym miejscu, potem wynieść do piwnicy lub lodowni. Po dwóch dniach jest już zdatny do użycia. Kwas ten jest tak mocny, że często butelki rozrywa, należy więc go trzymać leżący w piasku, lub na lodzie i przy odkorkowywaniu zachowywać należy ostrożność.

KURCZĘTA Z GROSZKIEM.

Dwoje dużych, tłustych kurcząt nastawić w nie dużej ilości wody z dużą marchewką, pietruszką i paru gałązkami kopru, gdy zawrze dobrze, odszumować, posolić, gotować aż się rosół dobrze nagotuje, ale kurczęta jeszcze będą nawpół twarde. Włoszczyznę wyrzucić, wsypać cztery szklanki (litr) młodego, zielonego groszku, łyżkę masła dobrego i łyżkę cukru. Dusić wolno, aż kurczęta i groszek razem zmiękną. Nakoniec wsypać garść drobno usiekanej natki pie-

truszek. Na półmisku groszek ułożyć w środek i obłożyć pokrajanymi na ćwiartki kurczętami. Sosu żadnego do tej potrawy się nie podaje.

DZIKIE KACZKI Z SOSEM.

Młode kaczki, oczyszczone starannie z supłów i opalone nad spirytusem, osolić zewnątrz i wewnątrz, zawinać w cienkie płatki słoniny i upiec jak zwykle. Zrumienić łyżkę masła, zasmażyć łyżkę mąki, rozprowadzić szklanką mocnego rosółu, lub wody i kawałkiem suchego buljonu, dodać parę łyżek kopru lub kormiszonów drobno krajanych, wcisnąć sok z pół cytryny, zakolorować mocno karmelem, zagotować parę razy i wylać na ułożone na półmisku i przekrajane na półki kaczki.

CIETRZEWIE PIECZONE.

Najsmaczniejsze są cietrzewie młode, tegoroczne. Jeżeli mamy cietrzewie starsze, należy je zamarynować na dni dwa w lekkim occie, przegotowanym z korzeniami lub jałowcem; kto się boi mieszać octu do kuchni, może cietrzewia trzymać dwa dni w serwatce lub zsiadłym mleku, poczem należy go jeszcze godzin sześć moczyć w wodzie. Cietrzewia naszpikować cienko krajaną słoninką, (najlepiej wędzona), owinać w wysmarowany tłuszczem papier, ułożyć na brytfannie i piec, polewając masłem lub topioną słoniną. Gdy cietrzewie są już miękkie, papier z nich zdjąć, lekko zarumienić. Na dopieczeniu polewać paru łyżkami śmietany. Najodpowiedniejszym dodatkiem do cietrzewia są młode buraczki duszone ze śmietaną, oprócz tego podaje się do cietrzewia wszelkie kompoty z owoców sezonowych.

TORT OWOCOWY.

Trzy ćwiertki kilo mąki, ćwierć kilo masła czy świeżego szmalcu, ćwierć kilo cukru i trzy żółtka zagnieść na kruche ciasto, gdyby ciasto nie dało się zagnieść dodać nieco wody lub mleka; ciasto wyrobić doskonale, cienko rozwałkować i wyłożyć niem tortownicę o wysokich brzegach, nasypać w to suchego grochu polnego, wstawić w piec i zrumienić dobrze. Tymczasem utrzeć dziesięć deka migdałów sparzonych i oczyszczonych z łupin, zmieszać do dziesięć deka cukru, pudru. Trzy białka ubić na sztywną pianę, zmieszać ostrożnie z cukrem i migdałami, położyć to na dno formy z kruchego ciasta, (z której oczywiście groch wysypano). Wstawić w niezbyt gorący piec, dać się upiec warstwie makaronikowej. Pół kilo czerśni, dużych wisien, lub trzy ćwiertki mirabelek, czy rengłod, moreli, lub brzoskwiń, ugotować w gęstym syropie, (trzy ćwiertki szklanki wody na pół kilo cukru), jak na kompot, owoce osączyć z ulepu, dać ostygnąć, poczem ułożyć ładnie na warstwie makaronikowej. Sześć do ośmiu listków żelatyny rozmoczyć w zimnej wodzie, rozpuścić w ulepie owocowym, dolać kieliszek marasquino, kirschu, lub araku. Stygnącym ulepem zalać owoce, uważając, aby ulep nie przelewał się przez brzeg z kruchego ciasta. Zastudzić na chłodzie i podawać w jakieś sześć godzin po zrobieniu. Wyśmienity, orzeźwiający tort. Zamiast jednego gatunku owoców, można ich zmieszać kilka. Zamiast świeżych owoców, zimą, można użyć owoców konserwowych w Weck'u lub puszkach.

TARTLETKA MALINOWA.

Pół kilo mąki i ćwierć kilo cukru zagnieść z taką ilością tłustej śmietany, (najlepiej na to brać kozuch, co się formuje na wierzchu garnka ze śmietaną), aby

się ciasto dało zagnieść i cienko rozwałkować. Wyłożyć cienko tem ciastem tortownicę o niskich brzegach i upiec na rumiano. Trzy białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z paru łyżkami cukru. Na upieczonym ciasto włożyć pół kilo świeżych malin, zmieszanych obficie z cukrem, powlec pianą z białek, wstawić do niegorącego pieca, aby się piana lekko zrumieniła.

POLEDWICA Z BARANINY PO FRANCUSKU.

Należy wybrać siodło z dużego, mięsistego barana, wyjąć zeń całe mięso z obu stron, posługując się ostrym, cienkim nożykiem. Dolne poledwiczki wraz z cynaderkami i łojem też wybrać, kostki porąbać i ugotować z włoszczyzną na sos. łyżkę mąki zasmażyć z łyżką masła, rozprowadzić rosółem z baraniny, dodać kilka obgotowanych oddzielnie pieczarek, lub młodych grzybów prawdziwych, wraz z wodą, w której się gotowały, wcisnąć sok z cytryny, wlać karmelu, aby sos był dobrze brązowy, zagotować raz, dodać marchewkę i pietruszkę, które się gotowały wraz z kostkami na smak, — sos cały powinien być bardzo zawiesisty, — wstawić go w drugi rądel z gorącą wodą, aby nie skręplł. Poledwice wierzchnie oczyścić ostrożnie ze skórki, dodać małe dolne poledwiczki i cynaderki, skropić sokiem cytrynowym, posolić i popieprzyć. Na patelni zrumienić mocno łyżkę masła, ułożyć poledwice, zrumienić mocno z obu stron, jak befsztyki, uważając, aby wewnątrz pozostały soczyste. Na półmisku przygotować młode kartofle z wody, lub zieloną fasolkę, (może być i żółta, szparagowa) obgotowaną, poledwiczki pokrajać na ukos, w zręczne kawałki, obłożyć niemi jarzynę, polać sosem w pierw przygotowanym i podawać bardzo gorące.

KURCZĘTA Z RAKAMI.

Dwoje dużych kurcząt oczyszczonych, jak zwykle ugotować w wodzie z włoszczyzną. Kurczęta wyjąć, przykryć serwetą, aby nie obeschły, na połowie smaku z kurcząt ugotować szklankę ryżu, dodając łyżeczkę masła i gotując na wolnym ogniu, aby ryż był sypki. Mendel raków sporych ugotować z koprem zielonym i cebulą w wodzie dobrze osolonej. Gdy czerwone, wyjąć z wody, oczyścić, łapki i szyjki przechować, zebrać starannie na spodek, jadalne części wnętrzości raków, pę herzyk z cieczą i wszelkie kiszeczki, czy to wewnątrz raka, (białe, zwinięte), czy w szyjce znajdujące się odrzucić. Bułeczkę namoczyć w mleku, odcisnąć, utrzeć z wnętrzościami jadalnymi raków, dodać łyżeczkę masła, jedno j. jko, garstkę koperku, osolić, nadziać tem skorupki raków i ugotować na wodzie, lub rosole. Resztę skoruppek utłuc jaknajdrobniej, przesmażyć z dużą łyżką masła, polać resztą rosółu z kurcząt, aby czerwone masło spłynęło na górę. Na tem masle i rosole, po zcedzeniu ze skoruppek, zrobić sos, zaprawiając go łyżką mąki i paru łyżkami śmietany. Na półmisku ułożyć ryż, na nim ładnie pokrajane kurczęta wraz z dróbkami, obłożyć skorupkami nadziewanymi po b. zegu półmiska. Do sosu włożyć szyjki i nóżki rakowe, zagrzać, nie gotując, połowę wylać na kurczęta, drugą połowę podać w sosjerce.

Począwszy od 1 września b. r., będą zorganizowane przy Kole Polek kursy modniarstwa, pod kierunkiem p. H. Wilczyńskiej — mistrzyni Cechu Warszawskiego. Zapisy od 15 sierpnia w Zarządzie Koła Polek — Krak.-Przedm. 99, od godz. 12 do 2 i od 5 do 7-ej.

Korespondencje działu praktycznego.

Od jednej z Czytelniczek otrzymaliśmy z prośbą o umieszczenie.

My, matki polki, przejęte do głębi serca niedolą i niedzą tysięcy dzieci polskich w chwili obecnej, pragniemy przyjść im z pomocą i przyłączyć się do ogólnej akcji ratunkowej, prowadzonej dotychczas.

Większość z nas nie rozporządza znacznymi środkami materialnymi, zobowiązujemy się więc chociaż do tej najskromniejszej ofiary, do obiadu, ofiarowanego w naszym domu najbardziejemu dziecku.

Zwracamy się zatem, do wszystkich matek polek, którym los głodnego dziecka leży na sercu, z gorącą prośbą o współdziałanie z nami, ufając, że przyczynimy się tym skromnym wysiłkiem, o ile będzie ogólnym, do ulżenia choć w części niedoli naszej biednej dziatwy.

Prosimy uprzejmie wszystkie Panie, chcące ofiarować obiad najbardziejemu dziecku, o zwrócenie się do Koła Pracy Kobiet, ul. Kredytowa 16, między godz. 11 — 1.

Pani Maryli.

Aby wytepić pchły, trzeba przedewszystkiem utrzymywać podłogi we wzorowym porządku. Zakitować szpary wszelkie i wyszorować posadzki, nawet wrzącą wodą, z solą, amoniakiem lub odwarem roślin mocno aromatycznych, jak piołun, psi rumanek, kalender, mięta i t. p. Przytem pościel wietrzyć często, przesypując ją w łózkach startymi liśćmi orzecha włoskiego, lub nasieniem lawendy. Najważniejszym jest wyparzenie i pokitowanie podłóg i posadzek, aby jednorazowo wytepić te przykre pozostałości, później łatwo już wzorowym porządkiem ustrzec się od nich. Jest sposób stary, ale pewny ściągnięcia pcheł w jedno miejsce: trzeba postawić garncezek, wysmarowany z zewnątrz i z wewnątrz krwią wołową, zmieszaną z sadzami. Przy dnie zrobić małe otworki, które pchły do środka garnka wchodzić będą.

Niedoświadczonej.

Szkoła typu, którego Pani potrzebuje, jest: Państwowa Szkoła Przemysłowa Żeńska — Warszawa, Wilcza 18. O bliższe warunki niech Sz. Pani zwróci się pod wyżej wskazanym adresem.

Co do toalet odpowiednich na wesele, sądzę, że na wszystkie najlepiej użyć crêpe de chine'u — kolory w nim są śliczne, nosi i pierze się doskonale. Dla starszej Pani kolor lila — bois de rose w dyskretnych cieniach, pomidorowy, lub tak bardzo modny perłowy, dla panienek w wyraźnym, jasnym, dobrze do cery dobranym kolorze. W południe kapelusze są niezbędne, mogą być leciutkie, jasne, zrobione szydełkiem z rafji, są one dzisiaj najmodniejsze. W handlu znajdują Panie takie kapelusze we wszystkich kolorach farbowane. Najładniejsze jednak będą zawsze koloru naturalnego, przybrane odpowiednio do sukni. O ile crêpe de chine byłby za drogi, można użyć dla panienek markizety w deseń, ale to już nie będzie równie strojne.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Sosnowiec — Czytelniczka.

Natychmiast udać się do lekarza chorób nerwowych, zanik mięśni w kończynie jest jedną z bardzo przykrych dolegliwości. Jedynie sumienne leczenie neurologa może dać pewne polepszenie.

Janka.

Usunąć włosy z twarzy lub kończyn można za pomocą depilatorów; będzie to tylko chwilowe. Doskonały sposób stałego usunięcia zarostu daje Diatermia — 10 — 12 włosków na jedno posiedzenie. Zabieg kosztowny i uciążliwy, natomiast jedynie pewny.

Żółtej róży.

Poszczególny typ, jako odrębna indywidualność, wymaga dla siebie półtonów światła, czy też kąpeli słonecznych. Nie znając typu Pani, trudno mi jest uważać za wskazane, czy przeciwskazane, opalanie się. Naogół opalać się powinny brunetki, brunetki z niebieskimi oczami i szatunki. Natomiast blondynkom rzadko bywa do twarzy z opalenizną. Każda skóra inaczej znosi promienie słoneczne, przeto, aby zapobiec niemiłym następstwom zbyt forsownego opalania się, należy stosować je bardzo indywidualnie i stopniowo, zaczynając nawet od 5 minut. Nie należy przy opalaniu się używać wesołiny, która, zawierając różne zanieczyszczenia, może rozdrażnić skórę. Natomiast zupełnie idealnym środkiem jest „Mój Krem“, jako tańsze środki polecam — lanoline i mityne. Słońce wtedy nie wysusza skóry nadmiernie, a tłuszcz, rozszczepiając promienie słoneczne, powoduje, że skóra opala się równo i bez plam.

Opis sukien i robót do № 33.

718. Sukienka spacerowa z miękkiej wełny granatowej, przybrana paskiem marszczonym ze skóry piaskowej i plisą, haftowaną barwnymi kolorami.

719. Suknia spacerowa z wełny perwenche koloru, krawca i guziczki z aksamitki ciemniejszego koloru, jak suknia.

720. Suknia z kasha białej, przybrana czarną taśmą jedwabną, czarny krawat z miękkiej materji.

721. Suknia z crêpe marocain'u, dół wykończony riuszą, suknia ozdobiona szwami wymarszczonemi.

722. Suknia spacerowa z miękkiego jedwabiu, przybrana lekkim sukienkiem białym.

723. Suknia z crêpe de chine'u lila, przybrana fiołkowym krawatem i paskiem z fiołkowej zamszowej skóry.

724. Płaszczyk z kasha koloru kamiennego, kamizelka bois de rose.

725. Suknia z wełny koloru szaro-zielonego, przybrana barwnym haftem na jasnym tle.

726. Sukienka z piaskowego jedwabiu, przybrana plisami bronzowemi w dwóch cieniach; górna plisa jaśniejsza, dolna ciemniejsza.

727. Suknia z popeliny koloru palonych migdałów, haft kolorowy, przerabiany złotem.

728. Suknia — płaszczyk z angielskiej wełny w dużą kratę, ozdobiony paskami i guzikami.

729. Sukienka dla panienki z wełny niebieskiej, ozdobiona łatwym haftem brązowym ręcznym.

730. Sukienka z woalu barwnego przybrana plisą w jednym kolorze.

731. Strojna sukienka koralowa dla panienki, spódniczka układana, ozdobiona haftem czarnym.

732. Sukienka z sukienka granatowego, zęby wycinane i dziergane grubą włóczką.

733. Sukienka dla dziewczynki z niebieskiej wełny, ozdobiona czarnym haftem.

734. Sukienka dla panienki z satynki deseniowej na kremowym tle — plisa pod szyją z kremowego płótna.

735. Wzór na poduszkę richelieu.

736. Wzór na ręczniki do kuchni, ścięciem pocztowym i płaskim.

737. Wzór na ręczniki do kuchni, do wycierania noży i widelców.

738. Wzór na ściereczki w kuchni.

739. Wzór na przykrycie na kuchenny kredensik.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku MÓD, dostarczamy po cenach następujących:
 palto lub suknia fantazyjna zł. 3.50
 suknia zwyczajna „ 2.50
 bluzka „ 2.00
 formy dzieciinne „ 2.00
 bielizna „ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu“ w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrús — maka'a — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumeratorów nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.